

Margit Sandemo

MÓRI I LUDZIE LODU

Saga o Królestwie Światła 02

norweskiego przełożyła

ANNA MARCINIAKÓWNA

POL-NORDICA

Otwock 1997

Czarnoksiężnik Móri był nieśmiertelny i dlatego leżał uśpiony w nie oznakowanym grobie, podczas gdy cała rodzina z wyjątkiem Dolga przekroczyła tajemnicze Wrota. Teraz Marco oraz Nataniel z Ludzi Lodu pomagają mu odnaleźć zaginionego syna.

Poszukiwania Dolga wymagają pełnej niebezpieczeństw podróży na Islandię i do krainy elfów.

STRESZCZENIE

W roku tysiąc siedemset czterdziestym szóstym rodzina czarnoksiężnika wraz z przyjaciółmi przekroczyła Wrota i przybyła do Królestwa Światła znajdującego się we wnętrzu Ziemi.

Sam czarnoksiężnik Móri oraz jego syn Dolg nigdy jednak nie przeszli na drugą stronę Wrót. W ostatnim momencie wzięli ich do niewoli pozostający jeszcze przy życiu rycerze Zakonu Świętego Słońca. Zarówno ojciec, jak i syn byli nieśmiertelni, lecz rycerze żywcem pogrzebali Móriego w lesie w zachodniej Szwecji, przebijając uprzednio jego ciało osikowym palem, by nie wstał. Zdołał on pogrążyć się w rodzaju letargu, dzięki czemu nie doświadczał bólu.

Dolg został zwabiony na Islandię do najbardziej samotnego miejsca na świecie, Drekagil w wulkanie Askja. Stamtąd elfy przeniosły go do pięknej doliny Gjáin.

Minęło dwieście pięćdziesiąt lat.

Pewna młoda para zaczęła budować sobie dom w pobliżu grobu Móriego, a kiedy robotnicy wyczuli na działce obecność kogoś ni to żywego, ni to umarłego, wezwano Nataniela z Ludzi Lodu, by uwolnił miejsce od upiora. Nataniel zorientował się szybko, że stoi wobec niezwykłego zadania, z którym sam sobie nie poradzi, i że jedynym, który mógłby mu pomóc, jest Marco z Ludzi Lodu. Gdzie on się jednak znajduje? Opuścił Ziemię w roku 1960 i tylko Nataniel domyślał się, że nawiązanie kontaktu byłoby możliwe. Ale w jaki sposób?

W głębi Ziemi, w Królestwie Światła, rodzina czarnoksiężnika prowadzi fantastyczne życie. Tam czas toczy się w odmiennym rytmie. Rok w Królestwie Światła to mniej więcej

dwanaście lat na powierzchni Ziemi. Zatem w Królestwie Światła minęło dopiero nieco ponad dwadzieścia lat. Wyrosło nowe pokolenie, ale Móri i Dolg nigdy nie zostali zapomniani, a Tiril, żona Móriego i matka Dolga, nie pogodziła się z myślą, że utraciła ich na zawsze. Wszystkie drogi do świata zewnętrznego były jednak zamknięte, nikt więc nie mógł wyjść i podjąć poszukiwań.

1

W oddali słychać było głosy i szum samochodów z nowego osiedla mieszkaniowego. W lesie, gdzie stała grupa ludzi, panowała absolutna cisza. Nie mącił jej nawet najmniejszy szelest spadającej gałązki czy szmer wiatru w koronach drzew. Stali i spoglądali, to na porośniętą mchem kupkę kamieni, to na dwóch mężczyzn z Ludzi Lodu. Na czterdziestosiedmioletniego Gabriela Garda i jego wuja, sześćdziesięciodwuletniego Nataniela. Robotnicy budowlani nie wiedzieli, jak mają się odnosić do egzorcystów, czy wzruszyć pogardliwie ramionami, parsknąć śmiechem i pójść swoją drogą, czy potraktować sprawę poważnie. Zwłaszcza że ów Nataniel twierdził, iż nie ma tu żadnych duchów, jedynie ktoś, kogo pochowano żywcem. Żywy trup? I że on, Nataniel, nie poradzi sobie z tym sam, musi więc wezwać kogoś, kogo nazywał „Marco z Ludzi Lodu”; ów Marco miał jakoby opuścić Ziemię trzydzieści pięć lat temu.

Co to znaczy „opuścić Ziemię”? Umarł? Czy też udał się do nieba na pokładzie UFO? A może jeszcze inaczej?

Żona Nataniela, Ellen, i dwie córki wdowca Gabriela, Indra i Miranda, słuchały tego z niezwykle spokojem. Same pochodziły z Ludzi Lodu i sporo wiedziały o tego rodzaju sprawach.

Peter i Jenny, właściciele nieszczęsnej działki, bez słowa czekali, co z tego wyniknie.

W końcu Peter zapytał:

- Kim jest ten Marco, albo raczej: kim był?

- Marco jest - odparł Nataniel stanowczo. - Trudno będzie wam to wyjaśnić, powiedzmy jednak tak: Bardzo dawno temu wybrano mnie na tego, który pokona złego ducha naszego rodu. Zostałem więc wyposażony w liczne zdolności ponadnaturalne, skupiły się we mnie wszystkie tego rodzaju talenty naszego rodu, tak można to powiedzieć. Zdolność uwalniania miejsc od duchów i innych upiorów jest jedną z tych, jakie odziedziczyłem. Ale na długo przede mną przyszedł na świat Marco, a jego talenty są dziesięciokrotnie większe niż moje. W walce ze złym przodkiem pomagaliśmy sobie. Potem jednak Marco, który na dodatek jest nieśmiertelny, zdecydował się opuścić nasz świat. Jest on przede wszystkim księciem Czarnych Sal, chociaż nie mogę wam teraz wyjaśnić bliżej, co to takiego.

Peter był inteligentnym młodym człowiekiem. Wskazał na porośniętą mchem kupkę kamieni

- Powiedziałeś, że z tą istotą sam nie dasz sobie rady. Dlaczego potrzebna ci jest w tym przypadku pomoc Marca?

- Ponieważ tutaj chodzi o innego nieśmiertelnego i, jeśli się nie mylę, jest to czarnoksiężnik, ja tego rodzaju istoty nie odważyłbym się dotknąć. Czuję zresztą, że moje siły są ograniczone, Marco potrafiłby się uporać z tą sprawą. Ja nie mam odwagi.

- Jesteś pewien, że Marco będzie mógł?

- Oczywiście.

Zebrani rozmyślali o owym niezwykłym Marcu. Musi to być rzeczywiście ktoś wyjątkowy!

Jenny rzekła niepewnie:

- Czy mam rację, sądząc, iż ten, który został tutaj pogrzebany, jest nieszczęśliwy?

Nataniel skierował na nią spojrzenie swoich połyskujących żółto oczu.

- Ty byś też z pewnością była nieszczęśliwa, gdybyś tak musiała leżeć nie wiadomo jak długo. Problem polega na tym, że tak niewiele wiem o spoczywającym tu czarnoksiężniku. Sol powiedziała, że prowadził walkę ze złym zakonem rycerskim.

- To by wskazywało, że był dobrym człowiekiem - wtrąciła Miranda ufnie.

- Owszem, może się jednak zdarzyć, że dwie złe strony zwalczają się nawzajem.

Peter powstrzymał uśmiech.

- To tak, jak walka dwóch gangów, ciągle się o czymś takim słyszy.

- No właśnie.

Ellen, delikatna, sympatyczna, pełna ciepła i w dalszym ciągu bardzo pociągająca mimo swoich pięćdziesięciu siedmiu lat, powiedziała:

- Ale w jaki sposób nawiążesz kontakt z Markiem, Natanielu?

- Otóż to jest problem! Jak to zrobić? - spytał Gabriel. - Nie możesz przecież jeździć po świecie w nadziei, że gdzieś przypadkiem go spotkasz, że on przypadkiem powrócił na Ziemię.

- Widzę jednak, że wiesz, jak to zrobić - ucieszyła się Ellen.

Wreszcie do głosu dopuszczono Nataniela.

- Ja nie wiem, moi drodzy. Naprawdę nie wiem. Miewałem z nim jakiś kontakt, zdarzyło się parę epizodów... Ale to było bardzo dawno temu... Raz otrzymałem pomoc w zupełnie nieoczekiwany sposób. Wiele się nad tym zastanawiałem, wyobrażałem sobie, że tego rodzaju wsparcie mogło pochodzić tylko od Marca - Nataniel roześmiał się niepewnie. - Miałem wrażenie, że odebrałem jakieś ciche, bardzo sympatyczne... pozdrowienia, nie jestem w stanie lepiej tego wyrazić. Ale to, rzecz jasna, wyobraźnia. Drugie wydarzenie...? - Nataniel szukał w pamięci. - Nie, nie przypominam sobie.

Stali jeszcze przez chwilę, po czym Gabriel rzekł:

- Zrobiło się późno, wrócimy tutaj jutro rano.

Rodzina odjechała do hotelu w mieście, Nataniel jednak pozostał jeszcze na skraju lasu, by w samotności zastanowić się, o co może tutaj chodzić. Zbyt wielu chętnych do pomocy widzów może bardzo przeszkadzać.

Padał cichy nocny deszczyk, ale to Nataniela nie martwiło. Miał na sobie nieprzemakalną kurtkę, a jeśli włosy trochę zmokną, to tylko dobrze im zrobi. Nie ma nic lepszego dla włosów niż taki deszcz.

Stał obok usypiska kamieni, ledwie widocznego na tle zielonego podszycia lasu.

Ogarnęły go wspomnienia, złe i dobre. Mimo wszystkich strasznych wydarzeń, przez jakie rodzina musiała przejść w walce z Tengelem Złym, był to bardzo piękny czas, członkowie Ludzi Lodu czuli się sobie tacy bliscy. Smutno o tym myśleć teraz, kiedy większość odeszła, a on tak strasznie za nimi tęskni. Młoda generacja, która tymczasem wyrosła, nie ma już tego poczucia przynależności do rodu, młodzi nawet nie zdają sobie sprawy z tego, co tracą, chociaż z drugiej strony wolni są od wiecznego lęku i przerażenia.

Nataniel myślał o wysokich etycznych wartościach Ludzi Lodu. Uważał, że również pod tym względem rodzina stanowi wyjątek. Ludzie Lodu są prostolinijni, wierni, ogromnie cenią sobie honor. Kiedy jednak bardziej wszedł w sprawy zwyczajnego społeczeństwa, przestał żyć jedynie dla rodu i jego niewiarygodnych problemów, poznał również inne strony życia. To, co gazety piszą o przestępczości, ludzkiej podłości i chciwości, to czyste szaleństwo, bardzo wykrzywia obraz świata.

Szeptał teraz sam do siebie:

- Świat jest pełen ludzi próbujących czynić dobro, zachowywać się przyzwoicie, życzliwie odnosić się do bliźnich, okazywać im troskliwość i chęć pomocy. Istnieją dużo więcej

takich, którzy oddają wszystko, co mają, niż takich, którzy żądają zapłaty tylko za to, że złożą swój podpis, pozwolą się sfotografować, uściskną komuś rękę czy po prostu pokażą się publicznie. Świat jest pełen szlachetnych, pracowitych i dobrych ludzi. Często się jednak o nich zapomina, wzrusza ramionami na ich widok, nie chce się o nich słyszeć, bo są mało interesujący, natomiast ulega się krzykliwemu reklamiarstwu!

Zakończył rozważania z ironicznym uśmiechem: No i proszę, sam przybieram pozę sędziego.

Nataniel czuł się źle, przez cały czas nie opuszczał go dojmujący niepokój. Niepokój, pochodzący nie od niego, lecz od tego kogoś nieznanego w pobliżu.

Przyglądał się uważnie leśnemu podszyciu. Usunięcie kamieni byłoby sprawą stosunkowo łatwą, lecz Nataniel nie chciał niczego robić pod nieobecność Marca. Czuł, że występują tu elementy, nad którymi on sam nie panuje, i że pochopnym działaniem mógłby wiele zniszczyć. Tak mało wiedział o całej sprawie. Sol z Ludzi Lodu wspomniła tylko o rodzinie czarnoksiężnika, prowadzącej walkę ze złym zakonem rycerskim. I z jakąś przedhistoryczną bestią czy człowiekiem-jaszczurem. To wszystko.

Nataniel zdawał sobie sprawę z tego, że pod kamieniami spoczywa ktoś, kto nie mógł umrzeć. Poznawał to po rodzaju wibracji. Czy to sam czarnoksiężnik? Prawdopodobnie. Równie dobrze jednak w grobie może znajdować się ktoś inny, trudno coś takiego określić z całą pewnością, impulsy są za słabe. Nataniel rzeczywiście utracił sporo paranormalnych zdolności po tym, gdy wypełnił zadanie i zdołał wylać na Tengela Złego jasną wodę dobra.

Spojrzał na swoje ramię. Wciąż jeszcze, trzydzieści pięć lat po tamtych wydarzeniach, miał na skórze głębokie blizny po szponach Tengela.

Oczywiście, w tym lesie mógł zostać pochowany całkiem inny człowiek, historia czarnoksiężnika to jedynie domysł.

Marco. W jaki sposób odnajdzie Marca? Jeździć po świecie i szukać, to przecież nie ma sensu. Zresztą wcale nie był pewien, czy Marco w ogóle jest na Ziemi. To także tylko domysł.

Może zamieścić ogłoszenie w gazetach? Kompletna bzdura, nie nawiązuje się kontaktu z potężnym Markiem z Ludzi Lodu przez ogłoszenie prasowe!

Książę Czarnych Sal... Dlaczego ktoś taki miałby chcieć wracać na Ziemię?

Marco, czysty, wyniesiony ponad wszystko, co ziemskie.

Twarz Nataniela rozjaśniła się. Nareszcie sobie to uświadomił! Kogoś, kto został wyniesiony ponad wszystko, co ziemskie, nie można przecież wezwać jakimś ziemskim sposobem, jeśli w ogóle kontakt z nim jest możliwy.

Wciąż próbował sobie przypomnieć tamten drugi epizod, w jaki sposób wyczuł wtedy obecność Marca? To było rankiem... Nie tak dawno temu. Co? Dlaczego?

Nataniel opuścił ramiona z uczuciem rozczarowania. Już sobie przypominał, już wiedział, jak to się stało. Niestety, nie wydarzyło się wtedy nic szczególnego, to był tylko sen. Widział zgrabną sylwetkę Marca, a przede wszystkim jego urodziwą twarz. „Jak idzie, Natanielu?”, zapytał Marco, a jego głos brzmiał czysto i mocno.

Tak! Właśnie to sprawiło, iż uwierzył, że Marco tam był. Głosy we śnie są zawsze niejasne i stłumione, trudno je zrozumieć. Tym razem było inaczej..

Nataniel usiadł na suchej ziemi pod sosną, objął rękami kolana, oparł kark o szorstką korę drzewa i zamknął oczy.

- Marco - szeptał w nocnej ciszy, zakłócanej jedynie szumem deszczu - Marco, słyszysz mnie? To ja, Nataniel, cię wzywam, potrzebuję twojej pomocy, możesz do mnie przyjść?

Cisza. Znikąd żadnego dźwięku, tylko ten monotonicznie szmerzący deszcz, żadna odpowiedź nie pojawiła się w głowie Nataniela.

Spróbował znowu.

- Znajdujemy się w zachodniej Szwecji...

Następnie podał wszystkie informacje, dotyczące tego miejsca, opowiedział, co jego zdaniem kryje się pod porośniętym mchem usypiskiem kamieni.

Potem siedział jeszcze przez jakiś czas, aż poczuł, że morzy go sen. Wtedy wrócił do hotelu, na palcach wszedł do pokoju i położył się obok śpiącej Ellen, wciąż nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Nie otrzymał przecież żadnej odpowiedzi. Z drugiej jednak strony... O ile dobrze pamiętał stare opowieści, Marco nigdy nie zjawiał się natychmiast. Nie był istotą na tyle nadprzyrodzoną, by poruszać się wyłącznie za pomocą myśli, z prędkością światła. Marco potrzebował trochę czasu. Jego sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce był bardziej ludzki, choć oczywiście nie do końca. Przemieszczał się dużo szybciej niż zwyczajni śmiertelnicy.

Nataniel spojrzał na śpiącą spokojnie Ellen i przepeliła go czułość. Dobrze pamiętał straszne przeszkody, które nie pozwalały im być razem. On, wybrany Ludzi Lodu, nie miał prawa tracić czasu na miłość. Ona natomiast kochała go tak bardzo, że gotowa była ofiarować życie, by móc mu pomagać. Jak to się stało, że w końcu mogli się połączyć...?

Tak dawno temu. A zarazem tak niedawno. Spędzili ze sobą trzydzieści pięć dobrych lat.

Teraz znowu rozpoczyna się gra. Z niepokojem zastanawiał się, do czego może ich to doprowadzić.

Nie chciał, żeby ta nowa sprawa rozdzieliła go z Ellen. Nie zniósłby jeszcze jednej rozłąki.

Ale też rzecz mogła okazać się całkiem prosta i wkrótce wszystko się wyjaśni. Zawsze trzeba mieć nadzieję.

2

Biorący udział w wyprawie członkowie Ludzi Lodu spotkali się następnego ranka przy śniadaniu. Z wyjątkiem Indry, oczywiście. Ona nie należała do osób podejmujących rankiem jakiś wysiłek. Postanowili ją obudzić, ale wszelkie próby kończyły się tym, że jak zwykle wygłaszała zdanie: „Ja jestem człowiek-sowa. Mój dobowy rytm nie znosi, by go zakłócać w środku nocy”. A kiedy stwierdzili, że minęła już ósma, Indra odparła spokojnie: „No właśnie”.

Indra nie była typową przedstawicielką Ludzi Lodu, Chyba w całej Norwegii nie znalazłoby się człowieka równie powolnego jak ona. Ciemnowłosa, zawsze uśmiechnięta, brwi niczym skrzydła ptaka ponad niepospolicie wielkimi i pięknymi oczyma, o miękkich, kocich ruchach. Wciąż jeszcze smukła jak lilia, ale jej siostra Miranda zwykła mówić: „Jeśli nadal będziesz się zachowywać w ten sposób, to długo nie zachowasz szczupłej figury”. „Jesteś po prostu zazdrosna - ripostowała Indra z uśmiechem - ponieważ nie masz mojej zdolności unikania wszelkich nudnych zajęć”.

„Ja przez ciebie zwariuję” - wykrzykiwała często Miranda. - „Nawet nie potrafisz zatrzymać swoich wielbicieli, pozwalasz, by Bodil ci ich kradła, zgarniała dosłownie sprzed nosa”.

„Skoro nie są więcej warci, to niech ich sobie zabiera” - odpowiadała Indra lekceważąco.

„No i zabiera, ale w ten sposób utwierdzasz ją w przekonaniu, że nikt nie może się jej oprzeć”.

„I niech tak myśli dalej, zobaczymy, co z tego wyniknie” - uśmiechała się Indra.

Ostatnio siostry przestały się ze sobą sprzeczać, miały mianowicie wspólnego wroga.

Bodil wkradła się niczym wąż do małego rajcu obu dziewcząt. Studiowała w Oslo i Gabriel w chwili słabości obiecał kuzynowi swojej zmarłej żony, że jego córka Bodil może u nich zamieszkać. Mieli wolny pokój.

Gabriel od tragicznej śmierci żony pozostawał mężczyzną samotnym. Wciąż pogrążony w żałobie, nawet nie spoglądał na inne kobiety. Spotkanie z Bodil okazało się dla niego szokiem, młoda dziewczyna, ale już dojrzała, zadbana i po prostu śliczna. Poza tym dająca mu dowody ogromnego zainteresowania. Gabriel rozkwitł od czasu, kiedy Bodil zawitała do ich domu. Cieszył się powrotami z pracy i zdawało mu się, że świat pod wieloma względami stał się lepszy.

Nie była to miłość starszego pana. Zresztą Gabriel sam nie zdawał sobie sprawy, co to wszystko oznacza. Uważał jedynie, że Bodil jest sympatyczną i bardzo ładną dziewczyną, za młodą, by chciał obdarzać ją innymi uczuciami niż tylko wujowską sympatią.

Bodil natomiast świetnie wiedziała, że może go sobie owinać wokół małego palca, i czyniła to z zimnym wyrachowaniem. On otwierał jej wiele drzwi, załatwiał dla niej różne sprawy, a od czasu do czasu wspierał również finansowo, kiedy wydała już pieniądze przysłane przez ufnego ojca... Krótko mówiąc, przyjaźń naiwnego Gabriela była dla niej źródłem korzyści.

Zachowywała się jednak bardzo ostrożnie i przezornie nie ujawniała, jakiego rodzaju grę prowadzi z jego córkami.

Miranda nie dawała Bodil okazji do triumfu, ponieważ nigdy nie przyprowadzała do domu swoich wielbicieli, a poza tym teraz mniej już bawiły ją flirty. Serce i umysł Mirandy zajmowało ulepszanie społeczeństwa i przyjaciół również wybierała sobie z podobnie myślącego środowiska. Traktowała ich przede wszystkim jako rozumiejących ją towarzyszy. Od czasu do czasu wdawała się oczywiście w jakiś romans, ale zachowywała to dla siebie.

Z Indrą było gorzej. Zawsze otoczona chłopcami, budziła wściekłość Bodil, która nieustannie dążyła do udowodnienia swojej atrakcyjności i podbijała wielbicieli Indry jednego po drugim.

Tyle tylko, że cieszącą się życiem Indrę niewiele to obchodziło. „Weź go sobie, on i tak jest niejadalny” - mówiła ze śmiechem do Bodil, kiedy ta przychodziła z zapewnieniem, że jest jej strasznie przykro, iż ten lub tamten chłopak zakochał się właśnie w niej, ale przecież nic nie może na to poradzić. Przez jakiś czas obojętne odpowiedzi Indry strasznie ją denerwowały, nie tak wyobrażała sobie triumf.

Wkrótce jednak zmieniła reakcję. Mówiła teraz: „Przemawia przez ciebie zazdrość, mnie nie oszukasz!”

Bodil bowiem zawsze miała sto pięćdziesiąt procent pewności, że racja jest po jej stronie, a inni się mylą. Jej ego było niezależne i niezłomne.

Atmosfera w domu stawała się coraz bardziej napięta. Nawet Gabriel to zauważał, ale nie mógł pojąć swoich córek, kiedy mówiły, że popełnił wielki błąd, przyjmując Bodil pod ich wspólny dach. Muszą przecież zrozumieć, że Gabriel nie może jej teraz wyrzucić na ulicę, a poza tym co takiego niewłaściwego ta biedna dziewczyna robi? Zawsze jest taka sympatyczna, a jaka perfekcyjna i czysta, zarówno jeśli chodzi o ciało, jak i duszę! Co można mieć przeciwko komuś takiemu?

„Ten jej przeklęty perfekcjonizm, który jest tylko pozorem” - wykrzykiwała Indra ze złością, a zraniony ojciec patrzył na nią pełnym wyrzutu wzrokiem.

Nie poprawiały też sytuacji złośliwe repliki Indry, kierowane do „biednej dziewczyny”, wypowiedane słodkim głosem. Indrze jednak wybaczało się wiele ze względu na jej autoironię, nikt nie był taki wielkoduszny i życzliwy jak Indra, chociaż potrafiłaby kamień wyprowadzić z równowagi tą swoją powolnością.

Tak więc przy szwedzkim stole w sali jadalnej spotkało się ich tylko czworo. Nataniel i Ellen oraz Gabriel i jego siedemnastoletnia córka Miranda.

Miło było widzieć znowu krewnych, zwłaszcza że ostatnio nie zdarzało się to zbyt często. Mieli sobie wiele do powiedzenia. Rozmawiali o innych krewnych: Tova i Ian Morahan, a tak, rzeczywiście, mają już wnuki. Boże, jak ten czas leci. Tova, tak! Ona też powinna tutaj być, pomyśleli Nataniel i Gabriel, ale nie, chyba nie. Tova od dłuższego czasu prowadzi spokojne życie, a jej zdolności nigdy nie były zbyt wielkie, w każdym razie nie dorównywały zdolnościom dotkniętych z Ludzi Lodu.

Linia Voldenów? Jej członkowie rozproszyli się po całej Norwegii, a żadne z nich nie odziedziczyło tego straszego, czy też błogosławionego, daru nawiązywania łączności ze światem równoległym, czy inaczej mówiąc z tamtym światem. Przy śniadaniu rozmawiano o różnych sprawach, o tym, jak się ułożyły losy tego czy tamtego, liczone wnuki w rodzinie, i wszyscy czuli się znakomicie.

Nagle podszedł kelner i oznajmił, że pewien młody człowiek chciałby rozmawiać z Natanielem Gardem. Kelner sprawiał wrażenie nieco zdumionego.

- To chyba Peter - ucieszył się Nataniel. - Proszę mu powiedzieć, żeby do nas przyszedł. Porozmawiamy nad filiżanką kawy.

Kiedy jednak gość stanął w progu, Ellen, Nataniel i Gabriel wydali z siebie stłumiony okrzyk.

Miranda bez słowa wpatrywała się w młodego mężczyznę.

Zapomniała o wszystkich problemach współczesnego społeczeństwa i o swojej niechęci do dekadentkich historii miłosnych Indry. Miranda siedziała milcząca i czuła, że ogarnia

ją paląca, bolesna tęsknota. Bolesna dlatego, iż wiedziała, że zakochanie się w tym człowieku skazane jest od pierwszej chwili na niepowodzenie.

Po serdecznych powitaniach z nieprawdopodobnie urodziwym młodzieńcem poznała, że się nie myli, że naprawdę ma przed sobą owego otoczonego legendą Marca.

Tak, już jego wygląd wprowadził ją w osłupienie. Marco był ciemny, ciemny niczym noc, ale nie należało go porównywać z przedstawicielami rasy czarnej. To zupełnie inna sprawa. Miał jakiś taki odcień skóry, który zmieniał się w zależności od światła. Oczy natomiast przypominały czarne, gorące węgle. Właściwie to skórę miał złocistobrazową, tylko włosy kruczoczarne, pozbawione niebieskich refleksów. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany i emanował od niego ogromny autorytet. Kiedy witał się z Mirandą, ona spojrzała w te jego niezwykle oczy i zaczęła się zastanawiać. Młodzieniec? Owszem, takie sprawia wrażenie na pierwszy rzut oka. Później jednak odkryła coś innego, niewiarygodną wiedzę przekraczającą ludzkie doświadczenie. Spojrzenie należało do człowieka, który żył dłużej niż ktokolwiek inny. Była w nim mądrość. Smutek. I samotność.

Te dwie ostatnie obserwacje łączyły się w jedno. Smutek z powodu samotności.

Urodzony w roku 1861. A zatem sto trzydzieści cztery lata temu. Niepojęte! Usiedli znowu i Marco również zaczął jeść śniadanie.

- Wiedziałem, że znajdujesz się gdzieś wśród nas - powiedział Nataniel uszczęśliwiony. - Ale dlaczego jesteś na Ziemi? Skąd przybywasz? Co się z tobą działo?

-Właściwie niewiele - odrzekł Marco i Miranda zadrżała, słysząc jego wspaniały głos. - Jestem niespokojnym duchem, Natanielu. Moja ludzka krew daje o sobie znać, nie mogłem dłużej pozostać w Czarnych Salach.

- No, a Tiili? Gdzie ona się podziewa? - To pytała Ellen. O tego rodzaju sprawy zawsze pytają kobiety.

- Tiili jest tam nadal, widzicie, właściwie to do niczego między nami nie doszło, ja nie jestem stworzony do ziemskiej miłości, ona się we mnie zakochała, ponieważ ja... uratowałem ją w ten... specjalny sposób.

Ellen skinęła głową. Gabriel również. Nie chciał o tym rozmawiać w obecności Mirandy, chociaż córka znała bardzo dobrze całą historię Ludzi Lodu.

Wiedziała też o Tiili, która swoim ciałem broniła dostępu do wody zła. Została ulokowana w przejściu siedemset lat temu, mała, samotna dziewczynka. A klucz do wody? Był nim sam Tengel Zły. Przejście miało zostać otwarte, kiedy on dokona defloracji dziewczynki. To znaczy, odbierze jej dziewictwo. Potworny los dla tej biednej istoty, która przez wiele

stuleci musiała czekać właśnie na to! Marco wyprzedził jednak złego przodka. Uczynił to z obowiązku, ale Tiili go ubóstwiała.

Teraz wszystko minęło. Co się stało?

- Jak wiecie, Tiili przeniosła się ze mną do Czarnych Sal. Była strasznie samotna i nieszczęśliwa, więc nie miałem sumienia wyjawić jej prawdy: że ją bardzo lubię, odczuwam dla niej współczucie, ale nic poza tym. Na szczęście zaraz po przybyciu do Czarnych Sal ona sama uświadomiła sobie, że jej uczucie do mnie to jedynie uwielbienie dla bohatera. Wkrótce potem zakochała się ponownie, tym razem głęboko i szczerze, rozstaliśmy się więc jako przyjaciele.

- W... kim? - chciała wiedzieć Ellen. Znowu typowo kobiece pytanie. - W kimś, kogo znamy?

Marco uśmiechnął się, a wyglądał wtedy bardzo pociągająco.

- W moim bracie, Ulvarze. Na szczęście tym razem z wzajemnością i wszystko ułożyło się dobrze.

Ulvar, zły bliźniaczy brat Marca, który pod koniec strasznej walki stał się dobrym człowiekiem. On, jeden z najwierniejszych współpracowników Tengela Złego, odwrócił się do niego plecami i został księciem Czarnych Sal, zgodnie z tym, co zostało postanowione przy jego urodzeniu.

- A czy ty nie mógłbyś sobie znaleźć jakiegoś kobiecego czarnego anioła? - drażyła Ellen.

- Na to mam w sobie zbyt dużo człowieczej krwi.

Przez chwilę panowała cisza.

- A więc wciąż jesteś wolny? - upewnił się Nataniel.

- Jeśli tak to można nazwać. Miałeś rację, Natanielu, wróciłem na Ziemię, ponieważ w znacznej mierze należę do ziemskiego świata. Ale, uff, byłem strasznie samotny na tym zimnym świecie! Szukałem cię ze względu na naszą dawną przyjaźń, wszyscy jednak się przeprowadzaliście. Kiedy wezwałeś mnie dzisiejszej nocy, poczułem się bardzo szczęśliwy. No i widzieć was wszystkich tutaj dzisiaj... to zupełnie fantastyczne!

- Nie, zaczekaj chwilę - rzekł Nataniel zakłopotany. - Mówisz, że mnie szukałeś. Tak, wiem o tym i kiedyś nawet widziałem cię we śnie. Ale przecież musiałeś mnie już wcześniej odnaleźć, bo przecież kiedyś udzieliłeś mi pomocy, prawda?

- A, tak, o to ci chodzi - roześmiał się Marco. - Nie, to nieco bardziej skomplikowana sprawa z tym, kogo potrafię odnaleźć, a kogo nie. Ukazać się komuś we śnie, to dla mnie bardzo proste. Ale wtedy, kiedy ci pomogłem... Nie pamiętam już, o co to chodziło, domyśliłem się jednak, że potrzebujesz pomocy. Błąd polegał na tym, że odnalazłem twoją duszę, twoje myśli, natomiast nie dowiedziałem się, gdzie przebywasz czysto fizycznie. Bardzo dobrze, że kiedy mnie wzywałeś dziś w nocy, tak dokładnie opisałeś, gdzie jesteś, i że przemawiałeś bezpośrednio do mnie. Widzisz, mnie jest bardzo łatwo wezwać. Jeśli jakiś człowiek wzywa mnie osobiście, znajduje mnie natychmiast.

- Rozumiem - mruknął Nataniel i miał nadzieję, iż rzeczywiście rozumie.

Marco zwrócił się do Gabriela z uśmiechem:

- Trudno mi się do ciebie przyzwyczaić jako do dorosłego mężczyzny, Gabrielu. W dalszym ciągu widzę tamtego przestraszonego, ale dzielnego dwunastolatka. A tymczasem ty masz dzieci starsze, niż sam wtedy byłeś.

W jego oczach pojawił się smutek.

- Ziemskie życie płynie tak szybko.

Wkrótce wszyscy odejdziemy, przemknęło przez głowę Ellen. Poczula, że lodowata obręcz ściska jej serce. A ty pozostaniesz tutaj. Sam.

Marco otrząsnął się ze złych myśli.

- No dobrze. Nataniel i Gabriel opowiedzą mi teraz o tym grobie w lesie.

Przekazali wszystko, co wiedzieli. Marco słuchał z uwagą. Miranda nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy.

Kiedy skończyli opowiadanie, Marco rzekł:

- Musimy tam pójść jak najszybciej. Załatwię tylko parę spraw i spotkamy się ponownie tutaj... powiedzmy za trzy godziny.

- Znakomicie - zgodził się Nataniel. - Ty, oczywiście, będziesz mieszkał w tym samym hotelu co my?

Marco wyglądał na nieco skrępowanego.

- Nie, ja... Ale dam sobie radę. Na swój sposób.

Natanielowi przyszła nagle do głowy pewna myśl:

- Marco! Ty naturalnie nie masz pieniędzy! Skąd zresztą miałbyś je mieć?

Nieziemsko urodziwy gość potrząsał głową, nie chciał rozmawiać o takich sprawach.

Miranda zdążyła już jednak sięgnąć po swój plecak.

- Dostaniesz ode mnie - rzekła pośpiesznie. - Właśnie wczoraj ojciec wypłacił mi tygodniówkę. Zresztą, jeśli wolisz, może to być pożyczka.

Wszyscy inni również wyjęli portfele.

- Chociaż to możemy dla ciebie zrobić - przekonywał Nataniel. - Za wszystko, co ty zrobiłaś kiedyś dla nas. Dla tych członków rodziny, którzy znaleźli się w potrzebie. Uratowałaś Benedikte. I André. Tove. Mali. I wielu, wielu innych, nie mówiąc już o mnie samym. Jakbym sobie poradził z Tengelem Złym, gdyby nie ty?

Protesty Marca na nic się zdały. Nalegali, by przyjął pieniądze.

- Dziękuję - powiedział wzruszony, biorąc wcale okazałą sumkę, zebraną od wszystkich.
- Muszę przyznać, że uwolniliście mnie od sporego problemu. A także od wielu drobnych. Mam na przykład okropną ochotę znowu skosztować lodów.

Uśmiechali się do niego serdecznie.

- Trzeba coś postanowić w sprawie twoich dochodów - oznajmił Gabriel zdecydowanie. - Ja się na takich sprawach znam, a Ludzie Lodu mają odłożony spory fundusz. Niestety, na naszym świecie trudno sobie poradzić bez pieniędzy.

- Rzeczywiście, zdążyłem się o tym przekonać - przyznał Marco ze smutkiem. - Dziękuję wam wszystkim.

Kiedy ujął dłoń Mirandy, dziewczyna poczuła potężny strumień energii, płynący od niego do niej.

Potem Marco wyszedł, a oni zostali przy stole. Początkowo milczeli, a po chwili podjęli ożywioną rozmowę.

Wkrótce pojawiła się Indra. Z daleka widzieli, że jest niezwykle podniecona, jej na ogół spokojna twarz płonęła.

- Miranda żałuj - wykrztusiła, podchodząc do stołu - Czy wiesz, kogo spotkałam w recepcji? Najwspanialszego mężczyznę świata! Był tak przystojny, że wprost trudno w to uwierzyć.

- To ty powinnaś żałować, że nie wstałaś wcześniej droga Indro - odparła Miranda spokojnie, a wszyscy zebrani uśmiechali się. - Ten twój urodziwy młodzieniec siedział tu przy tym stole. Spójrz, to jego nakrycie i filiżanka.

Indra otworzyła usta.

- To Marco - wyjaśniła Ellen krótko.

- O Boże - szepnęła Indra i opadła na krzesło. - Dlaczego nikt mnie nie obudził?

3

Marco wrócił do hotelu w umówionym czasie. Indra pożerała go wzrokiem, a Miranda szepnęła złośliwie:

- Daj sobie spokój, po prostu się ośmieszysz albo będziesz nieszczęśliwa.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Sama się zastanów! W tym przypadku nietrudno przewidzieć, co się może stać. Na nic się nie zda twoje trzepotanie rzęsami. Jego nie interesują dziewczyny wylegujące się na kanapach.

- Zaciekle reformatorki też z pewnością nie. Ludzie, którzy nieustannie wytykają błędy innym, są po prostu męczący.

- Ktoś musi to robić - odparła Miranda, zraniona w imieniu wszystkich swoich kolegów.

- Oczywiście, ale nie można być zawodowym demonstrantem!

Miranda poczerwieniała. Strzała trafiła celnie, bo rzeczywiście organizowała demonstracje z byle okazji, nie zawsze do końca wiedząc, co chciałyby uzyskać.

Cała grupa udała się na nowe osiedle mieszkaniowe.

Dom Petera i Jenny był niemal gotowy, oni jednak nie tęsknili za przeprowadzką. W każdym razie nie chcieli tu zamieszkać, dopóki las nie zostanie oczyszczony. A później też chyba nie za bardzo.

Oboje właściciele przyłączyli się do gromadki, z mieszanymi uczuciami podążającej do lasu. Szło sześcioro członków Ludzi Lodu: Marco, Nataniel, Ellen, Gabriel, Indra i Miranda, a poza tym czterech robotników budowlanych, wśród nich majster i młody Ernst, który pośredniczył w nawiązaniu kontaktu z Ludźmi Lodu, przez wuję swojej dziewczyny, znającego pewną panią, która ma rodzinę w Norwegii, i tak dalej, i tak dalej.

Zdumiewające, ile mogą człowiekowi pomóc znajomi znajomych! Ernst nie ukrywał dumy ze swojego dokonania.

Kiedy stali tutaj poprzednim razem, wszyscy wpatrywali się w Nataniela. Teraz patrzyli na Marca, czemu nie należy się specjalnie dziwić. Sprawiał wrażenie istoty z tamtego świata, był niczym echo z innego wymiaru. Tak wyglądał, kiedy jeszcze żył na Ziemi, a teraz chyba nawet bardziej, albowiem dopiero co wrócił z Czarnych Sal.

Wszyscy pomagali w usuwaniu kamiennych bloków. Pracowali kilofami, dźwigali kamienie i odnosili je na bok. Dziewczęta odgarniały ziemię, to znaczy Indra organizowała pracę i dyrygowała, ale sama nie zamierzała się wysilać. Kamienie nie były zbyt ciężkie, przecież złożyli je tutaj tylko dwaj mężczyźni nie mający do pomocy ani konia, ani wozu.

Marco zarządził krótką przerwę. Widzieli, że twarz niezwykle młodzieńca jest dziwnie napięta.

Korzystali z okazji, by trochę odetchnąć.

- Czy ty coś wyczuwasz? - zapytał Nataniel cicho.

- Prawdopodobnie to samo, co ty.

- Tak, jakieś niecierpliwe czekanie, niemal desperacka nadzieja.

- Otóż to właśnie! Musimy być bardzo ostrożni. Wydaje mi się, że wkrótce do niego dotrzemy. Ale ja...

Umilkł, a wszyscy czekali w skupieniu.

- Co takiego, Marco? - chciał wiedzieć Gabriel.

- Nie podoba mi się ten pal tutaj - odparł Marco powoli.

Zebrani nie zwrócili na to uwagi. Dopiero teraz dojrzeliby resztki czegoś drewnianego, co sterczało pomiędzy kamieniami. Mirandę przeniknął dreszcz. Podobną reakcję zauważyła u innych.

- Neeee - jęknęła Indra, wytrzeszczając oczy z dosyć mało inteligentną miną.

- Co? - zapytał majster równie głupawo. - Czy to wampir?

Niektórzy z trudem chwyтали powietrze. Peter i Jenny byli bardzo bladzi. Kilku robotników zachichotało, ale Marco odnosił się do sprawy poważnie.

- Nie, to nie wampir. Po pierwsze, w skandynawskich wierzeniach ludowych nie ma wampirów, choć to może nie znaczy zbyt wiele. Któryś z rycerzy złego zakonu mógł jednak pochodzić z południa i chciał się zabezpieczyć przed sztuczkami czarnoksiężnika. Albo... Może tutaj leży właśnie jeden z braci zakonnych, nic przecież o tym nie wiemy. Ktoś pochodzący z Europy południowo-wschodniej, gdzie wiara w wampiry przetrwała do naszych czasów.

- Z Transylwanii - wtrąciła Indra, żeby pokazać, jak wiele wie.

- No właśnie - Marco uśmiechnął się do niej, a dziewczyna musiała stłumić uszczęśliwione westchnienie. - Nie sądzę jednak, żeby tu mógł zostać pochowany zakonnik - dodał.

- A po drugie? - zapytał Gabriel. - Dlaczego to nie może być wampir?

- Właśnie, po drugie. Wampir, który by został przebity palem, byłby definitywnie i nieodwołalnie martwy. Ta istota jednak żyje, może się z nami porozumiewać. I myślę, że to jest ktoś nieśmiertelny. Ktoś, kto nie może umrzeć. I dlatego zwraca na siebie naszą uwagę, co świadczy o jego niebywale silnej osobowości. O wielkiej mocy. Tak więc musi to chyba być sam czarnoksiężnik. Natanielu, jak on się nazywał?

- Tego Sol nie powiedziała.

- Szkoda! Imię bardzo by nam ułatwiło sprawę.

Marco wahał się, wciągał głęboko powietrze.

- To może podniesiemy ostatnie kamienie? Jeśli ktoś z was się boi albo jest zbyt wrażliwy, nie musi z nami pozostawać.

Chociaż wielu rzucało na siebie nawzajem lękliwe, pytające spojrzenia, nikt nie chciał opuścić skraju lasu. Rzecz jasna, ten i ów głośno przetykał ślinę i cofał się nieznacznie, zaś Indra i Miranda nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

Marco bardzo ostrożnie dźwignął jeden kamień i odniósł go na stronę. W ziemi ukazało się czyjeś ramię.

- Jezu - szepnął młody Ernst.

Nikt z zebranych nie był w stanie wykrztusić słowa. Sytuacja stawała się tak fantastyczna, że zaczęli wierzyć, iż im się to wszystko śni. Woleli, żeby tak było. W przeciwnym razie można zwariować, myślało wielu.

Tak też działo się z małym dwunastoletnim Gabrielem, który uczestniczył w ostatecznej walce z Tengelem Złym. Wierzył wtedy, że wszystko, co przeżywa, jest snem.

Fakt, że robotnicy budowlani przyjmowali to jako coś mniej więcej „naturalnego”, był z pewnością wynikiem tego, że od wielu tygodni wyczuwali, iż w lesie znajduje się coś dziwnego. Od dawna wiedzieli, że nie może się tu ukrywać nic pospolitego. Tak więc zarówno robotnicy, jak i młoda para, Peter i Jenny, przygotowani byli na wiele. Nie przygotowani, pewnie by pomdleli albo po prostu uciekli.

Wyczuwali jednak wyraźnie, iż balansują pomiędzy rzeczywistością a tym, co niewiarygodne, dlatego bardzo się starali zachować spokój i chłodny umysł.

Ramię było chude, ale nie wysuszone, jak można by się spodziewać. W ziemi znajdowały się też resztki ubrania.

Gabriel i majster budowlany uwolnili nogi i stopy pogrzebanego od ziemi i kamieni, a jednocześnie Nataniel i Marco odkopali drugie ramię i barki. Dziewczyny usuwały kępy trawy, zsuwające się do grobu.

- Dobre skórzane buty - mruknął majster. - To znaczy, resztki, jakie z nich zostały. Ciało wygląda natomiast, jakby ciężkie kamienie nie wyrządziły mu krzywdy.

- Rzeczywiście nie. Jak na człowieka, który żył w osiemnastym wieku, to on jest bardzo wysoki - skostatował Gabriel. - Choć nie tak wysoki jak ty, Natanielu, albo jak Marco, raczej jak ja, a ja się szczególnie wzrostem nie wyróżniam.

- Jesteś taki jak trzeba - rzekła Ellen przyjaźnie, chociaż głos jej drżał z przejęcia.

Zwrócili uwagę, że Marco próbuje nawiązać kontakt z pogrzebanym człowiekiem, cały czas starając się przy tym go odkopać.

- Jeśli mnie słyszysz, to porusz palcami - poprosił Marco po norwesku. Był przekonany, że to czarnoksiężnik i że zrozumie ten język. Poza tym nikt z zebranych nie mówił po islandzku.

Czekali w napięciu. Już niemal zrezygnowali, gdy jeden z palców czarnoksiężnika poruszył się ledwie dostrzegalnie, jakby zardzewiał od długiego leżenia w ziemi.

Rozległo się głośnie westchnienie ulgi. Teraz zemdleję, pomyślała Indra. Była jednak na to zbyt ciekawa. Musiała się przekonać, kto przez tyle lat spoczywał w grobie.

- W porządku - rzekł Marco do nieznanego. - Świetnie, a teraz oczyścimy ci twarz. Postaram się to zrobić najdelikatniej jak można. Bądź przygotowany!

Pracowali bardzo ostrożnie. Odsunęli trzy niewielkie kamienie, odgarnęli ziemię.

- O Boże - szepnął Ernst.

- Hej - uśmiechnął się Marco do ciemnych oczu, które się właśnie otworzyły i błyszczały matowym blaskiem. - Witaj z powrotem na świecie!

Mężczyzna, bez wątpienia będący czarnoksiężnikiem, o czym świadczyła jego niezwykła twarz, coś szepnął. Marco uklęknął i nasłuchiwał. W końcu skinął głową.

- Tak, zaraz wyciągniemy pal. Ale o twoim synu nic nie słyszeliśmy.

Błysk rozczarowania pojawił się w ciemnych oczach. Nataniel na polecenie Marca chwycił resztkę drewnianego pala, tkwiącego w przeponie czarnoksiężnika, a ten naprężył mięśnie.

- Jak on mógł przeżyć? - zapytał jeden z robotników, wstrząśnięty.

- Jest nieśmiertelny - odparł Marco krótko. - Wiercie mi, o tych sprawach wiem wszystko.

Czarnoksiężnik spojrzał na niego pytająco.

- Jestem Marco z Ludzi Lodu. Wszyscy zebrani po twojej prawej stronie należą do Ludzi Lodu.

Wtedy nieszczęsny człowiek zamknął oczy i próbował rozluźnić mięśnie, by Nataniel mógł wyciągnąć pal. Buchnęła krew, lecz Marco błyskawicznym ruchem położył dłoń na ranie. Drugą rękę wsunął pod plecy leżącego w miejscu, w gdzie pal przeszedł na wylot. Wkrótce rana przestała krwawić.

- To się nazywa zatrzymywać krew - mruknął zdumiony majster. Zastanawiał się, co też naprawdę potrafią ci dwaj mężczyźni. Który z nich jest bardziej dziwny: ten, co leżał żywcem pogrzebany w grobie przez dwieście pięćdziesiąt lat, czy też jego niewiarygodny wybawca?

Czarnoksiężnik skulił się. Myśleli, że stracił przytomność z bólu, ale tak się nie stało. Kiedy Marco zapytał, czy będzie w stanie się podnieść, czarnoksiężnik odpowiedział jasno i wyraźnie: Nie.

Odsunęli resztki kamieni i ziemi, ułożyli leżącego na kocu, który przyniosła Jenny, i ostrożnie dźwignęli go z grobu.

- Proszę do naszego domu - rzekł Peter, więc tam go ponieśli. Większość zebranych była tak przejęta, że kiedy procesja wychodziła z lasu, niemal deptali sobie po nogach.

Gabriel zauważył, że uratowany drży na całym ciele. Trudno jednak powiedzieć, czy z zimna, czy z emocji.

Urządzili postanie w pustym jeszcze salonie Petera i Jenny. Kroki i głosy odbijały się echem od ścian.

- Mój syn - szepnął czarnoksiężnik.

- Spróbujemy odnaleźć go później - obiecał Nataniel. - Najpierw jednak musimy, się zająć tobą. Nasi przyjaciele chcą się podzielić jedzeniem, a poza tym musimy sprowadzić lekarza, żeby opatrzył rany.

Marco potrząsnął głową. Chciał coś powiedzieć, ale czarnoksiężnik go uprzedził:

- Dolg. Mój syn, Dolg. Czas nagli!

- Chyba nie ma się co tak bardzo śpieszyć - rzekł Nataniel łagodnie. - W końcu minęło parę lat...

Czarnoksiężnik rozejrzał się po pustym pokoju, patrzył na nowoczesne okna i pokryte boazerią ściany. Zdawało się, że nie ma odwagi zadać pytania. W końcu jednak się zdecydował:

- Ile lat?

- Teraz mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty.

W milczeniu, z wyraźnym trudem, liczył. W końcu szepnął zrozpaczony:

- Dwieście pięćdziesiąt lat. Och, Dolg, Dolg!

- On też jest nieśmiertelny, prawda? - zapytał Marco.

- Tak, chyba tak. Kamienie. Święte Słońce. Proszę mi wybaczyć, z pewnością nie rozumiecie, o czym mówię - starał się opanować. - Dziękuję wam za uratowanie. Nazywam się Móri. Pochodzę z rodu islandzkich czarnoksiężników.

A więc tak! Więc mimo wszystko mieli rację! Witali się z uratowanym i wymieniali swoje imiona.

- Ludzie Lodu - uśmiechnął się blado. - Tak, już kiedyś nam pomogliście. Sol. Tengel Dobry. Villemo...

- Co nieco na twój temat słyszałem - powiedział Nataniel. - Podczas naszej ostatniej walki spotkałem Sol i wspomniała mi, że kilkoro naszych krewnych pomogło w osiemnastym wieku rodzinie jakiegoś czarnoksiężnika.

Pozostali spoglądali po sobie zdumieni. Owa Sol musiała być niepospolitą, a teraz również posuniętą w latach damą!

Móri powiedział:

- Ale ciebie, Marco, nie widziałem. Nikt mi też o tobie nie wspomniał. Dziwne, powinni byli to zrobić!

- Nie - odparł Nataniel. - Nie powinni byli, z jednego bardzo prostego powodu, otóż w osiemnastym wieku on nie zdążył się jeszcze urodzić.

- No tak, nietrudno to zrozumieć - uśmiechnął się czarnoksiężnik.

Język Móriego był dziwnie staroświecki. Czarnoksiężnik używał słów, o których większość zebranych wiedziała jedynie z bardzo starych przekazów. Jego zdumienie ich uproszczonym językiem również było wyraźne. Często miewał problemy ze zrozumieniem, co mówią, dokładnie tak jak oni, i musiał raz po raz o coś pytać. Tak spotykają się dwie różne epoki. Miranda pomyślała, że tak właśnie musiało być, kiedy mieszkańcy Starej Wsi Szwedzkiej zostali przeniesieni w 1928 roku do Szwecji. Przedtem mieszkali przez kilkadziesiąt lat na Dagö, wyspie na Morzu Bałtyckim, następnie przez kolejne stulecia na Ukrainie. Posługiwali się dawno zapomnianą formą języka szwedzkiego i budzili ogromne zainteresowanie językoznawców. Nawet bardzo uczeni historycy języka nie rozumieli wszystkiego.

Mirandę zafascynował sposób mówienia Móriego. Nie zdążył on jeszcze co prawda zbyt wiele powiedzieć, ale dziewczyna z przejęciem chłonęła każde jego słowo. Nie tylko archaiczne wyrażenia były w jego mowie takie niezwykle. Posługiwał się bowiem niewiarygodną mieszaniną różnych języków, w których słyszeli norweski, islandzki, a także austriacką odmianę niemieckiego. Napotkała spojrzenie jego płonących oczu w wychudzonej, bladej twarzy. W tym momencie uświadomiła sobie, że zostało nawiązane między nimi jakieś dziwne porozumienie.

Dlaczego?

On nie pochodził przecież z Ludzi Lodu. Był jednak czarnoksiężnikiem i jeśli Miranda miała rację twierdząc, że odziedziczyła część dawnych zdolności Ludzi Lodu, które wygasły po ostatniej trudnej walce... Tak, w takim razie łatwo zrozumieć, dlaczego powstała między nimi ta iskra...

Bo na Indrę nie patrzył w taki przenikliwy sposób.

- Musimy czym prędzej sprowadzić lekarza - rzekł Gabriel.

Marco powstrzymał go.

- Myślę, że nie będzie to konieczne, Peter i Jenny, czy wasza łazienka jest już urządzona?

- Oczywiście,

- I woda podłączona? - zwrócił się Marco do majstra.

- Wszystko w porządku, ciepła woda również.

- Świetnie!

Gabriel natychmiast pojechał do hotelu, żeby przywieźć dla czarnoksiężnika trochę swoich zapasowych ubrań. Jenny, Ellen i dziewczyny przygotowały gorącą kąpiel, ustawiły też przy wannie szampon, który jedna z nich miała w torebce. Żywiły nadzieję, że Móri będzie wiedział, jak tego używać.

Były niezwykle podniecone. Teraz, kiedy największe napięcie opadło, jedynym ich celem było jak najlepiej zaopiekować się czarnoksiężnikiem.

- A więc nasza łazienka przejdzie swój chrzest - uśmiechnęła się Jenny niepewnie.

- Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić!

4

Tymczasem Marco pracował z Mórim. Zebrani byli zdumieni, kiedy ów piękny, młody mężczyzna położył ręce na okropnej ranie w piersi czarnoksiężnika. Widzieli, że wióry i kawałki kory zostały usunięte, a Nataniel zgarnął wszelki brud, i jak w końcu rana się zamknęła jedynie dzięki... „błogosławieństwu” jego kształtnych rąk. Później zamknęła się również rana na plecach, tam gdzie pal przeszedł na wylot i przykuł czarnoksiężnika do ziemi.

Wszystkie zadrapania i mniejsze skaleczenia zostały wyleczone w ten sam sposób. Poszło to bardzo łatwo i nawet Marco niczego nie komentował

- Ty mi również pomagasz, prawda? - uśmiechnął się do Móriego. - Naprawdę jesteś czarnoksiężnikiem.

- Myślę, że jest nas tutaj przynajmniej kilkoro - zauważył Móri sucho, a wszyscy obecni roześmiali się trochę nerwowo.

- No, może, chociaż nie nazwałbym Marca właśnie czarnoksiężnikiem - stwierdził Nataniel. - W jakiś jednak sposób należycie obaj do tej samej branży. Albo, inaczej mówiąc, posiadacie podobne umiejętności.

Panie usunęły się dyskretnie, gdy zdziwiony Móri został przeniesiony do łazienki. Ileż tam było technicznych finezji! Wszystko takie błyszczące i czyste, tyle jasnych barw! Podobały mu się te kolory, a zarazem nie podobały. Sprawiały wrażenie czystości, były jednak zimne i Móri zatęsknił za ciemnym drewnem ze swoich czasów. Bardziej przytulnym. Ale, oczywiście, ten dom nie został jeszcze urządzone, wszystko może się zmienić, nie znał po prostu tej epoki.

Biała piana w wannie przerażała go, lecz nie chciał tego okazywać. Nie musiał się zastanawiać, do czego służy szampon, ponieważ Nataniel umył i wyplukał jego sięgające do ramion włosy najlepiej jak umiał. Dziwne, ale włosy w ciągu tych lat wcale nie urosły, podobnie jak zarost i paznokcie Móriego.

On sam umiał to wyjaśnić.

- Zatrzymałem wszystkie procesy życiowe, zanim pogrążyłem się w letargu.

Nataniel skinął głową.

-Ja też tak zrobiłem wtedy, gdy spędziłem pięć dni i nocy w grobowej krypcie - powiedział.

- Oni z pewnością nie znali się na czarach, ci którzy złożyli cię do grobu, Móri - stwierdził Marco. - W przeciwnym razie mielibyśmy problemy z obudzeniem cię.

Nikt nic nie mówił, ale wszyscy myśleli to samo: że Marco z pewnością poradziłby sobie i z takim kłopotem.

Móri siedział wymyty do czysta, ubrany w zapasową odzież Gabriela, z kawą i kanapkami, którymi poczęstowali go robotnicy. Prace budowlane całkiem zawieszono, wszyscy bowiem chcieli siedzieć w domu i sycić oczy widokiem tego, którego dopiero co uratowali. Zarządzono ogólną przerwę śniadaniową i zebrani po bratersku dzielili się zapasami.

On wziął swoją kanapkę z pasztetem, pomyślał jeden z robotników z dumą. Muszę opowiedzieć o tym żonie. Ale czy żona zrozumie? Czy zresztą oni sami dokładnie rozumieli, co się stało? Wielu o mało nie zemdlalo od nadmiaru wrażeń. Przytrafiło się bowiem nieprawdopodobnie dużo dziwnych rzeczy. Najpierw ta nieprzyjemna atmosfera poza domem i na skraju lasu. Potem egzorcyci. Następnie ów tajemniczy Marco, który był czymś więcej niż zwyczajnym egzorcystą. Pogrzebany czarnoksiężnik, który leżał z otwartymi oczyma po trwającym dwieście pięćdziesiąt lat uśpieniu. Zbliżnianie jego strasznych ran...

Nie można było mieć za złe niektórym robotnikom, że czasami odchodzili na bok.

Gabriel zapytał Móriego:

- Powiadasz, że zanim pogrążyłeś się w letargu, powstrzymałeś wszystkie procesy życiowe, ale przecież wysyłałeś sygnały już od jakiegoś czasu, prawda? Kiedy ocknąłeś się z transu, czy też z letargu, autohipnozy czy po prostu drzemki, nie wiem, jak to nazwać?

- Jakiś czas temu - odparł Móri. - Najpierw zauważyłem, że ludzie przechodzą obok mojego grobu... I próbowałem skupić na sobie ich uwagę. Ale chyba właśnie to ich przerażało i uciekali.

Peter skinął głową.

- Droga przez las została zapomniana, to prawda. Przed wielu, wielu laty.

- Tak chyba było - przyznał Móri ze smutkiem. Siedział we współczesnym ubraniu Gabriela, przystojny, o obcych rysach, z ciemnymi włosami przetykanymi z rzadka srebrnymi nitkami siwizny, o twarzy bladej niczym śmierć, ale niesłychanie interesującej dzięki swoim bardzo ostrym rysom. No i te głęboko osadzone, płonące oczy... Porażający, ale nieodparcie pociągający widok.

Móri ciągnął swoją opowieść:

- Potem nastał spokój. Ile lat trwał, nie mogę powiedzieć, bo znowu zasnęłam głęboko. Faktem jest, że byłem przekonany, iż chodzi o tygodnie, nie o setki lat! Później jednak wokół mnie znowu zaczęli się kręcić ludzie. To drażniło moje zmysły i próbowałem jakoś ich poinformować o swojej obecności. Próbowałem po prostu wdrzeć się do ich świadomości.

- W końcu ci się to udało - powiedział Peter. - To wtedy władze zaczęły oczyszczać teren i planować budowę osiedla. A kiedy już ten dom został wzniesiony, straszyles nas nie na żarty.

Móri uśmiechnął się.

- Niektórzy z was jednak mieli dość rozumu, by moje wołania o pomoc potraktować poważnie.

- To niełatwa sprawa dla współczesnych, trzeźwo myślących ludzi - odparł majster. - Ale bardzo się cieszymy, że postanowiliśmy w końcu wyjaśnić tę tajemnicę.

- Ja również się cieszę, możecie mi wierzyć - uśmiechnął się Móri blado. - I znaleźliście też najlepszą pomoc, jaką mogłem dostać. Nie istnieje na Ziemi nikt taki poza Ludźmi Lodu. Z wyjątkiem mojej rodziny, oczywiście. Ale jej i tak tutaj nie ma.

Na twarzy uratowanego pojawił się wyraz bólu.

- No właśnie, a gdzie są twoi krewni? - zapytała Ellen cicho. - Czy umarli?

- Oni przeszli przez Wrota, Wszyscy, z wyjątkiem Dolga i mnie, ale o tym porozmawiamy później. Teraz moim największym zmartwieniem jest właśnie najstarszy syn, Dolg. Musi się znajdować gdzieś na Ziemi, ponieważ on nie mógł umrzeć.

Miranda, a razem z nią wielu innych, zwróciło uwagę na reakcję Marca, kiedy Móri wspomniał o Wrotach. Ów niezwykle książę Czarnych Sal zmarszczył brwi, jakby szukał w pamięci. On musiał już słyszeć dawniej o Wrotach, pomyślała Miranda. Nie może sobie jednak przypomnieć, kiedy.

Młody Ernst roześmiał się nerwowo, zwracając się do czarnoksiężnika:

- Początkowo myśleliśmy, że jesteś wampirem.

- Nie, wampirem nie jestem - uśmiechnął się Móri ze smutkiem. - Chociaż rycerze tak właśnie myśleli. Jeden z nich to książę Siebenburgen, książę Valakii i Besarabii, a także gospodarz Mołdawii i Transylwanii. Jak więc słyszycie, pochodził z okolic, w których występują wampiry. Nic dziwnego, że przebili mnie tym drewnianym pałem. Zostałem również postrzelony przez jednego z rycerzy i dlatego nie mogłem z nimi walczyć. Znalazłeś ranę po kuli, Marco?

- Tak, w nerce. Teraz kula została wyjęta, a rana zablizniona.

- Dziękuję - uśmiechnął się Móri tak, jakby go to bawiło. - Nie, Ernst, byłbym martwy od dawna, ale kiedyś Anioł Śmierci udzielił mi odroczenia. Wprowadzie tylko do chwili, gdy ponownie znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I rzeczywiście, groziło mi ono wtedy w lesie, ale miałem już za sobą doświadczenie ze świętymi kamieniami, które dały mi życie wieczne.

- Pomyślcie, mieć życie wieczne - westchnął Ernst.

Móri spojrzał na niego swymi przenikliwymi oczyma.

- To może się także okazać przekleństwem, mój przyjacielu. Jeśli człowiek utraci swoich najbliższych, to pozostaje mu jedynie ból i pustka. I z tym musi żyć.

Marco w milczeniu skinął głową.

Inni też zrozumieliby z pewnością słowa czarnoksiężnika, gdyby mieli czas poważnie się nad nimi zastanowić.

Święte kamienie. Wrota. Wiele rzeczy nie zostało jeszcze wyjaśnionych. Nie mówiąc już o Czarnych Salach Marca, ale teraz najważniejsza była aktualna sytuacja.

- O, to było pyszne - rzekł Móri, gdy skończył posiłek. Najadł się solidnie, dbał bowiem o to, by przyjąć dary od wszystkich, widział pełne niepokoju spojrzenia, a potem dumę i pełne napięcia oczekiwanie, jak mu będzie smakować.

- Teraz czuję się dużo lepiej, dziękuję wam serdecznie.

Rozpromienili się niczym słońca, od majstra do Mirandy, która też dołożyła się do poczęstunku.

Będziemy musieli poważnie naruszyć fundusz Ludzi Lodu, myślał Gabriel zatroskany. To on odpowiadał za ów fundusz i on wydzielał w ciągu ostatnich lat zasiłki potrzebującym. Czarnoksiężnik nie należał co prawda do Ludzi Lodu, ale zarówno on, jak i Marco powrócili do świata po bardzo długiej nieobecności i musieli mieć z czego żyć.

Zresztą właściwie nie ma powodów do zmartwienia. Fundusz Ludzi Lodu jest spory i po roku 1960 raczej wzrastał, niż się zmniejszał, bowiem większość członków rodu opuściła Ziemię i udała się do miejsca, gdzie pieniądze nie mają znaczenia. Do Czarnych Sal.

- To by była prawdziwa sensacja dla gazet - stwierdził Ernst przejęty. - „Czarnoksiężnik obudzony po dwustu pięćdziesięciu latach”.

- Nie, nie! - wykrzykiwali zebrani, jeden przez drugiego. W końcu głos zabrał Nataniel:

- Ludzie Lodu zawsze pracowali w ciszy, a myślę, że czarnoksiężnik i jego rodzina czynili podobnie. Prowadziliśmy naszą walkę ze złem w imieniu ludzkości, całkowicie poza bieżącymi wydarzeniami. I tak powinno być nadal. Ludzi łatwo przestraszyć i wtedy bez namysłu chwytają za broń na widok czegoś, choćby trochę niezwykłego. Dlatego, myślę, pozaziemskie UFO nie kontaktują się z mieszkańcami Ziemi. Dowództwa wojskowe używają zawsze w takich sytuacjach ciężkiej broni i niszczą wszelkie możliwości bliższego kontaktu. Czy chcecie, żeby Móri stał się sensacją, czymś w rodzaju małpy w klatce, i żeby ani na chwilę nie opuszczali go dziennikarze i inni ciekawscy z całego świata? Życzycie Marcowi podobnego losu?

Nie, oczywiście, nikt o czymś takim nie myślał.

- No, jeśli o mnie chodzi, to umiem unikać przykrych sytuacji - uśmiechnął się Marco dobrotliwie. - Ja po prostu znikam.

Nie, nie, nie możesz tego zrobić, pomyślały jednocześnie Indra i Miranda. To by było tak, jakby dać dziecku cukierek i zaraz potem mu go odebrać.

- Proszę was o zachowanie dyskrecji, na ile to możliwe - ciągnął dalej Nataniel. - Wkrótce opuścimy to miejsce i zatrzymamy za sobą ślady. Jeśli chcecie o tym, co się tutaj stało, opowiedzieć w domu, to bardzo proszę, chociaż myślę, że i tak nikt wam nie uwierzy. Obiecacie jednak, że nie pójdziecie z niczym do gazet!

Rozumieli, o co mu chodzi, i obiecali. A ile odważą się opowiedzieć w domu...? Przecież oni sami ledwo mogli uwierzyć w to, co widzieli.

Najchętniej dowiedzieliby się czegoś więcej o historii obu rodzin, a także o tym, co będzie dalej.

Nataniel wahał się.

- Jesteśmy wam wiele winni - zaczął powoli. - Myślę jednak, że musimy poczekać. Móri powinien odpocząć, a my wszyscy musimy wrócić do Norwegii najszybciej jak to możliwe... Nie będzie więc czasu. Ale Gabriel, który jest najwybitniejszym znawcą historii Ludzi Lodu, później prześle wam jej skrót. Dobrze?

Gabriel obiecał.

- I dowiecie się też ode mnie, czy odnalazłem syna - dodał Móri. - Wtedy opowiem wam naszą historię. Teraz jednak jestem na tyle niespokojny, że nie mogę tu dłużej zostać. Muszę natychmiast rozpocząć poszukiwania i wyjaśnić, co się z nim stało.

Znakomicie to rozumieli. Móri podziękował robotnikom oraz Peterowi i Jenny raz jeszcze za ich wspaniałą pomoc, po czym razem z Ludźmi Lodu opuścił dom. Zanim jednak odjechali, Móri i Marco obeszlili dom i ogród, uwalniając go od wszelkich nieprzyjemnych wibracji. Jenny i Peter mówili później, że nigdy nie czuli tak zdrowej i przyjaznej atmosfery, a robotnicy przyznawali im rację.

Tym sposobem młoda para odzyskała wymarzony dom i teraz tęsknili już tylko, by się do niego wprowadzić.

Spotkanie z miastem było dla Móriego szokiem. Już sama jazda samochodem wstrząsnęła nim do głębi. Nataniel mógł wiele wyczytać z jego twarzy.

- Żałujesz tych wszystkich straconych lat? - zapytał.

- I tak, i nie - uśmiechnął się Móri niepewnie. - Któż nie pragnie zajrzeć w przyszłość? Nie, ja myślałem o duchach powietrza i wody. One to przewidywały. Zanieczyszczenia. Dobrze, że w odpowiednim czasie opuściły Ziemię!

- Ty naturalnie nie masz pojęcia, jak się potoczyły losy członków twojej rodziny?

- Najmniejszego. Żywię tylko szczerą nadzieję, że jest im dobrze. I że zdołam znaleźć do nich drogę. Inne Wrota. Miało ich przecież istnieć wiele. Strasznie tęsknię za bliskimi. Teraz jednak liczy się tylko Dolg.

Towarzyszący mu ludzie wiele rozmyślali o owych Wrotach, nie chcieli jednak na razie dręczyć Móriego pytaniami. Opowie im, co wie, kiedy nadejdzie taki czas.

Móri nieustannie był wystawiany na nowe próby. Budownictwo. Jakie obce, takie jakieś kanciaste i... brzydkie! Ubrania ludzi, sposób zachowania, wszystko.

Potrząsał głową na widok długich damskich spodni. Niektóre panie nosiły zresztą spodnie sięgające im zaledwie do pól uda. No a spódnice! Nawet stare kobiety ubierały się w spódnice do kolan. Panie w jego rodzinie używały do końskiej jazdy długich spodni i to szokowało ludzi, których spotykały, ale coś takiego? To przekracza wszelkie granice wyobraźni.

A jak brzydko ubierają się mężczyźni! Nigdy nie widział takiej beznadziejnej szarości i równie paskudnych ubrań, przy tym wszystkie są takie same! Młodzi chłopcy ubierali się nieco jaskrawiej, ale też stereotypowo. Pewnie chodzi o to, by nie wyróżniać się w tłumie.

Nudne. Potwornie nudne i smutne!

Móri uśmiechnął się niepewnie.

- Można by sądzić, że wyspałem się za wszystkie czasy, ale, szczerze mówiąc, bardzo bym potrzebował chwili odpoczynku.

- To są dwie zupełnie różne sprawy - rzekł ze zrozumieniem Marco. - Wiem bardzo dobrze, co odczuwasz. Ja sam niedawno wróciłem do świata po zaledwie trzydziestu pięciu latach, ale też dostrzegam tak wiele nowego, że kręci mi się w głowie. Czuję się całkiem wyrzucony poza margines.

- Właśnie tak - uśmiechał się Móri. - Jeśli już nic więcej, to chciałbym chociaż przez chwilę poleżeć na boku.

Tak więc Nataniel musiał zamówić jeszcze jeden pokój w hotelu i kiedy przekonali się, że Móriemu niczego nie brakuje, opuścili go, by odpoczął przez kilka godzin. Marco mieszkał w pokoju obok, więc gdyby Móri czegoś potrzebował, wystarczy, że zawoła.

Kiedy czarnoksiężnik został sam, najpierw uważnie obejrzał pokój. Znajdowało się w nim tyle rzeczy, których nie rozumiał, a bardzo nie chciał się wygłupić. Najlepiej więc sprawdzić wszystko na własną rękę. Wymknął się na korytarz i dalej do wielkich sal. Największe jego zainteresowanie budziło oświetlenie elektryczne. Kontakty znajdowały się na ścianach. O telewizorze nie wiedział nic, najpierw sądził, że to jakaś odmiana lustra, ale nie odważył się go dotknąć. Opiekacz do chleba w sali jadalnej był czymś kompletnie niepojętym...

Na korytarzu minęła go pokojówka i Móri z wielkim szacunkiem jej się uklonił. Ona patrzyła na niego obojętnie.

Błazen, pomyślała. Takich najlepiej się wystrzegać.

W pokoju Móri rozebrał się i wślizgnął z największą przyjemnością do pięknej, chłodnej pościeli. Na nocnym stoliku stał jakiś dziwny aparat. To telefon, powiedział Nataniel, nie wyjaśniając dokładnie. Móri postanowił go nie dotykać.

Następnego dnia wypadła niedziela, więc w domu Petera i Jenny nie pracowano. Co prawda Nataniel i jego przyjaciele zamierzali jak najszybciej wrócić do Norwegii, ale wciąż nie opuszczał ich niepokój. Czuli, że nie wszystko jeszcze zostało załatwione tutaj, w Västergötland, a kiedy Móri spotkał Gabriela i Mirandę na hotelowym tarasie już o szóstej rano, wiedział, że wszyscy myślą to samo, co on. Marco przyszedł chwilę potem i Miranda wyruszyła obudzić Nataniela i Ellen. Niepotrzebnie, ponieważ oni też już wstali. Nawet Indra upierała się im towarzyszyć. Rany boskie, jęknęła Miranda, a Gabriel podzielał jej przerażenie.

Ciągnęła ich stara droga przez las. Móri pokazał im, gdzie musieli popasać rycerze zakonni. Teraz okolica wyglądała zupełnie inaczej, było więcej drzew, i to innych gatunków, wierzył jednak, że znajdzie to miejsce.

- Co oni do ciebie mówili, Móri? - zapytał Gabriel. - Co ci odpowiedzieli, kiedy pytałeś, co zrobili z Dolgiem? „Czarnoksiężnik żyje. On leży w...” Czy nie tak to brzmiało?

- Owszem, to prawda. Ale nie dokończyli informacji, bo ktoś im przerwał.

- „Leży w...” - zastanawiała się Ellen. - W czym może leżeć człowiek przy leśnej drodze? W krzakach, nie, to nie o to chodziło. W szalasy? Pod kamiennym usypiskiem, podobnie jak ty?

- Nie zdążyliby uspać w tak krótkim czasie drugiego stosu kamieni. A żadnych szalasów w pobliżu nie widziałem.

- Może w rozpadlinie - zastanawiał się Marco.

Móri myślał przez chwilę.

- O ile pamiętam, w tej okolicy nie było żadnych rozpadlin. A poza tym on z pewnością już tam nie leży. Musiał opuścić las dawno, dawno temu.

Widoki na odnalezienie Dolga rysowały się marne. Po chwili zaczęli się oddalać od tego, co kiedyś stanowiło drogę ciągnącą się przez pół Szwecji.

Po jakimś czasie Nataniel powiedział:

- Masz rację, Móri, nie ma tutaj żadnych rozpadlin. A co u ciebie, Marco? Nie wyczuwasz niczego?

Szlachetny człowiek zmarszczył czoło.

- Gdybym tylko mógł dotknąć czegoś, co należało do Dolga, poszukiwania byłyby łatwiejsze. Chodzi mi o to, żeby dotknąć miejsca, przez które przechodził lub w którym leżał, ale tutaj niczego takiego nie znajduję.

Móri sprawiał wrażenie głęboko zawiedzionego.

- Uważasz, że jego tu nie było?

- Tego nie powiedziałem. Nie zostawił tylko na ziemi żadnych śladów ani niczego w tym rodzaju.

Popatrzyli po sobie zdumieni.

- Albo więc nigdy tędy nie przechodził - rzekła Ellen - albo też wyjechał stąd konno.

Marco skinął głową.

- Właśnie tak. I to jest najtrudniejsze. Ale mamy na razie wczesny ranek. Nie damy za wygraną, Móri. Odnajdziemy jakieś ślady, niezależnie od tego, jak niemożliwe się to wydaje.

- Dziękuję - szepnął czarnoksiężnik.

Wrócili do domu i dopiero teraz uświadomili sobie, jak daleko na zachód odeszli.

To Indra wygłosiła teorię, o której wszyscy chyba pomyśleli, ale w zamieszaniu nikt nie wprowadził jej w życie.

- Załóżmy, że rycerz powiedział coś takiego: „On leży w rozpadlinie”.

- Tak? - zapytał Nataniel. - Masz jakiś pomysł?

Indra jęknęła.

- Jest stanowczo za wcześnie na trzeźwe myślenie, ale jeśli oni złożyliby go w rozpadlinie, to przecież nie wracaliby na popas?

Wszyscy spoglądali na nią pytająco. W oczach niektórych pojawił się błysk, który mógł oznaczać: „aha”.

- Zastanawiam się więc, dlaczego przez cały czas szukaliśmy od zachodniej strony - rzekła Indra.

- Ponieważ prawdopodobnie on pojechał dalej tą właśnie drogą - odparła Miranda. - Ale masz rację, droga siostrzo, chyba jest tak, jak nieustannie powtarzasz: w tobie skupiła się inteligencja rodziny.

- Tyle tylko, że ona za wszelką cenę stara się to ukryć - wtrącił Gabriel cierpko. - Brawo, Indro, tak prostą sprawę powinniśmy wszyscy natychmiast zrozumieć.

Inni kiwali głowami.

- Dobrze, że jest ktoś z nami, kto zachował rozsądek - uśmiechnął się Marco, a Indra gotowa była za ten uśmiech oddać życie.

Później wzdęli kurs na wschód. I tam znaleźli rozpadlinę.

Marco zszedł na dół. Inni czekali w oddaleniu, rozumieli bowiem, że musi się skoncentrować. Nic jeszcze nie zostało ustalone, teoria Indry mogła być błędna, poza tym mogły istnieć także inne rozpadliny.

Wkrótce jednak Marco wyszedł na górę.

- On tutaj był - oznajmił krótko. - Dokąd właściwie wiedzie ta droga? Wydaje mi się, że na zachód.

Móri jako jedyny mógł mu na to odpowiedzieć.

- Sądzę, że droga idzie ku morzu i że wcześniej czy później rozdzieli się na dwoje. Północna odnoga prowadzi do Norwegii.

- To brzmi prawdopodobnie, ale takim starym duktem nie możemy jechać samochodem... Musimy więc skierować się na ten objazd ku zachodowi.

W oczach Móriego pojawił się nowy żar, tym razem ze szczęścia, że Marco wyczuwał obecność Dolga. Był to ogromny krok naprzód. Mieli teraz jakiś ślad, za którym mogli podążać. Hotel został opłacony, bagaże znajdowały się w samochodach.

Uświadomili sobie, że zaszli już tak daleko na zachód, iż wkrótce wyjdą z lasu. Dalej natomiast rozciągały się równiny i tam będzie pewnie łatwiej podążać starą drogą, być może nawet jechać samochodem.

Rzeczywistość okazała się jednak dużo gorsza. Droga, która graniczyła z rozległymi polami, często po prostu została zaorana. Odnajdywali ją zwykle po krótkich poszukiwaniach, problem polegał jednak na tym, że Marco za każdym razem musiał

sprawdzać, czy Dolg tutaj był. W ogóle wszystko przypominało jedną wielką zgadywanke, także to, czy Dolg podążył ku zachodowi.

Optyzm Móriego przygasał. Poszukiwania pochłaniały potwornie dużo czasu. Dzień powoli mijał.

W końcu dotarli na rozstaje, gdzie droga kierowała się ku Norwegii. Odnaleźli ją bez trudu. Najwyraźniej Dolg zsiadał tutaj z konia.

Marco poszukiwał. Próbował swoimi wrażliwymi zmysłami odtworzyć scenę, która rozegrała się w tym miejscu przed dwustu pięćdziesięciu laty. Naprawdę niełatwe zadanie.

W końcu uniósł głowę.

- On leżał tutaj na ziemi - wyjaśnił. - I nie był sam. Wyczuwam ślady jeszcze dwóch męzczyzn. Stali przy nim po obu stronach. Wciąż się poruszali, Dolg jednak nie.

Móri jęknął cicho.

- Rycerze - szepnął. - Księżę i ten drugi musieli wieźć Dolga związanego, przerzuconego przez koński grzbiet...

- Tak to rzeczywiście wygląda - potwierdził Marco.

- Ale dlaczego? Co oni chcieli z nim zrobić?

- Potrafisz określić, Marco, w którą stronę stąd pojechali? - zapytał Nataniel.

- Na zachód - odparł tamten bez wahania. - Ku morzu.

- Czego tam szukali? - zdziwiła się Ellen.

- Prawdopodobnie chcieli znaleźć jakiś statek udający się na południe - stwierdził Móri przygnębiony.

A zatem marne widoki. Wyruszyli jednak w dwa samochody, Nataniela i Gabriela, i mieli wiele szczęścia, odkryli bowiem, że na miejscu starej drogi została wybudowana nowa. Zyskali więc bardzo na czasie, choć Marco mimo wszystko wysiadał raz po raz i podejmował kolejne próby odszukania śladów Dolga. To oczywiście łatwiej powiedzieć, niż zrobić, dopóki bowiem rycerze siedzieli na koniach, Marco niczego nie wyczuwał. A trzeba było naprawdę szczęśliwego trafu, żeby zatrzymać się właśnie w tych miejscach, w których rycerze popasali.

Droga doprowadziła ich do Uddevalla, a tymczasem Marco nie odnalazł żadnych nowych śladów.

- Czy wtedy to miasto już istniało? - zapytała Miranda.

- Oczywiście - odrzekł Móri. - Uddevalla była za moich czasów głównym miastem handlowym Szwecji, do którego zawijały statki z całego świata.

Przeprowadzili, rzecz jasna, drobiazgowo poszukiwania statku, który wypłynął z Uddevalla w roku 1746. Nie było to jednak proste zadanie. Rejestry portowe okazały się bardzo powściągliwe i zawierały mnóstwo luk. W końcu musieli zrezygnować i odjechali na północ, w stronę Norwegii. Móri był wycieńczony i zmęczony, wszyscy inni musieli wracać do domu, każde z innego powodu.

Nie czuli się jednak całkiem przygnębieni. Uważali, że mimo wszystko dotarli przynajmniej do połowy drogi.

5

Bodil suszyła świeżo pomalowane paznokcie i przyglądała się sobie w lustrze. Uśmiechała się anielsko do swojego odbicia, potem kokieteryjnie przechylała głowę i wciąż patrzyła.

Doskonale, pomyślała po raz co najmniej tysięczny, ponieważ podziwiała swój wygląd od czasu, gdy skończyła trzy lata i wszyscy nazywali ją małą czarodziejką. To oczywiście dobrze chwalić dziecko i dodawać mu otuchy, ale jeśli pozwoli mu się uwierzyć, że jest najpiękniejszym stworzeniem na świecie, cudownym pod każdym względem, sprawy mogą przybrać... Teraz Bodil nie potrzebowała już żadnej zachęty, sama umiała odkryć swoje przewagi bez pomocy rodziców, rezultatem czego był ów pożałowania godny fakt, że wierzyła, iż może mieć wszystko na świecie i że w pełni na to zasługuje.

No i oczywiście dostawała wszystko. W każdym razie dotychczas. Zamierzała nadal tak postępować.

Odbierała wielbicieli Indrze i Mirandzie, na przykład, w każdym razie zawsze do tego dążyła. Wprawdzie uważała, że Miranda może zatrzymać sobie swoich wyobcowanych idealistów, rzadko kiedy zresztą nadawali się do pokazywania koleżankom, a przy tym byli śmiertelnie nudni, potrafili rozmawiać wyłącznie o efekcie cieplarnianym i mokradłach, które powinny zostać mokradłami ze względu na florę i faunę. Okropieństwo!

Indra miała lepszy gust, na przykład ten ostatni... On wyraźnie gapił się w śmieszna Indrę! Bardzo szybko Bodil wybiła mu to z głowy, choć musiała się o to bardzo starać,

aranżować przypadkowe „spotkania”, a to w księgarni, a to na ulicy, by ją potem mógł odprowadzić do domu.

Kiedy któregoś wieczora nie potrafił opanować zmysłów i pocałował ją w cieniu wysokiego drzewa, a potem cierpiał z powodu wyrzutów sumienia, Bodil wiedziała, że chłopak na pewno skończy z Indrą. Tak też zrobił i wyobrażał sobie pewnie, że teraz jest ukochanym Bodil. Łaził za nią, co wkrótce stało się udręką, ona bowiem nie była już zainteresowana kontynuowaniem znajomości. Dostała to, co chciała, po cóż więc jej taki chłopak?

Triumf zmaćił fakt, że Indra przyjęła to bardzo lekko, z pewnością za bardzo lekko. Któregoś ranka powiedziała do Bodil: „Słyszę, że jesteś teraz z małym Sveinem Karlsenów. Czy zawsze musisz się pocieszać chłopakami, z którymi ja zerwałam? Nie masz dość wyobraźni, by ich sama wybierać?” Bodil zrobiła się czerwona ze złości i powiedziała uszczypliwie:

„Nie jest to z całą pewnością chłopak, którego porzuciłaś, myślę, że wprost przeciwnie!”

Indra spojrzała na nią znad szklanki mleka z ironicznym uśmiechem.

„Więc myślałaś, że mi go ukradłaś?”

Uszy Bodil poczerwieniały jeszcze bardziej, gdy mówiła: „Nie, naprawdę nie, ja nie potrzebuję nikomu niczego kraść, ale nic nie mogę poradzić na to, że wolał mnie...”

„Dziękuję, dziękuję, tego rodzaju wypowiedzi słyszeliśmy już niejednokrotnie” - przerwała jej Indra. - „Nie powtarzaj w kółko tego samego, Bodil. To jest warunek interesującej konwersacji”.

W tym momencie Bodil odwróciła się i pośpiesznie wybiegła z kuchni. W żadnym razie nie chciała słuchać takich argumentów! To przecież ona ma rację i Indra wie o tym bardzo dobrze. Nie może jednak opanować rozczarowania i zazdrości.

Teraz Bodil siedziała przed lustrem i złościła się na wspomnienie tamtej rozmowy.

Indra to dziwna osoba. Człowiek nigdy nie wie, co ona myśli. Miranda ze swoim idiotycznym zaangażowaniem i głupimi poglądami na wszelką niesprawiedliwość świata była niczym otwarta księga.

Z wyjątkiem spraw związanych z miłością. W takich przypadkach Miranda milczała jak ostryga i tylko Bodil potrafiła wywęszyć, że również ona przeżywa teraz podniecającą historię miłosną. Prawdopodobnie pierwszą. Chłopak ma na imię Christian i jest naprawdę za dobry, by chodzić z Mirandą.

Teraz dziewczyny wyjechały do Szwecji i Bodil zastanawiała się, jak wykorzystać okazję. Co prawda Christian był od niej młodszy, miał zaledwie osiemnaście lat, ale dwudziestoletnia Bodil sama nie wyglądała na więcej. Wstała i oglądała w lustrze całą sylwetkę, uznała, że wszystko jest jak trzeba i wygląda wspaniale. Wiedziała bardzo dobrze, że większość mężczyzn woli u dziewcząt długie włosy, zdecydowała się jednak ostrzyć krótko, z niewielką zmięszoną grzywką nad czołem. Było jej w tej fryzurze bardzo ładnie, sama uważała, że jest bardziej sexy, ale, to musiała przyznać, przeważnie kobiety podziwiała zmianę. Wielu młodych mężczyzn pytało ze zdziwieniem w głosie, co zrobiła ze swoimi pięknymi, długimi włosami.

Czasami żałowała decyzji, ale co tam, teraz uczesanie jest dużo bardziej nowoczesne, a poza tym jej we wszystkim dobrze.

Na przykład przy takiej fryzurze lepiej widać małe, słodkie uszy. I te wielkie, niebieskie oczy... Nigdy nie widziała ładniejszych, nawet Julia Roberts nie ma takich ładnych oczu.

A to co? Pryszcz na brodzie? Bodil nigdy nie miała pryszczu ani innych paskudztw. Teraz pochyliła się do lustra i z bliska oglądała twarz. Nie, Bogu dzięki, to tylko złe oświetlenie. Odetchnęła z ulgą.

Oznaczało to jednak jakieś nierówności na jej doskonałej skórze! Oglądała podbródek pod różnymi kątami, niczego złego na szczęście nie znalazła.

Uff! To równie straszne, jak odkrycie kiedyś w cukierni okruchu ciastka w kącikach ust. O zgrozo, to był chyba najgorszy moment w jej życiu! Otrząsnęła się z nieprzyjemnych wspomnień i powróciła do dużo miłszych oględzin swego ciała. Jest piękna, trzeba ją pokazać całemu światu, z pewnością zajdzie daleko. Może nawet na sam szczyt. Oczywiście myślała też o zawodzie modelki, ale zebrawszy z wielkim wysiłkiem wszystkie potrzebne fotografie, już prawie w drodze do agencji przeczytała w gazecie, że modelki muszą być wysokie. Ona nie była, niestety, nigdy jednak nikomu nie przyznała się do porażki. Ale dlatego właśnie nigdy też nie szukała pracy fotomodelki. Nikt nie będzie jej mówił, że coś w niej jest nie tak jak powinno.

Z tego samego powodu, ukryty głęboko w szufladzie komody, leżał pewien list i dołączone do niego zdjęcia. Postanowiła go napisać, kiedy obejrząwszy ubiegłoroczne kandydatki do tytułu Miss Norwegia uznała, że bez najmniejszych kłopotów pokona wszystkie. Znowu jednak wzrost popsuł jej szyki. Była o wiele centymetrów za niska, a nie życzyła sobie żadnych dyskusji na temat, czy może brać udział w konkursie, czy nie, tylko z powodu takiego drobiazgu. Uważała, że jest doskonała i nikt nie może jej niczego wytykać.

Pogładziła dłonią zewnętrzną stronę uda. Chłopcom podobało się, że ma takie kształtne biodra, to czyniło jej talię szczuplejszą i sprawiało, że sylwetka wyglądała bardzo

kobieco. Miranda ma szerokie ramiona i wąskie biodra niczym chłopak. Biedna dziewczyna!

Bodil unikała myślenia o Indrze, która jeśli chodzi o figurę, jest od niej dużo bardziej kobieca. W myślach nieustannie nazywała Indrę wiejską babą, a określenie „wiejski” w ustach Bodil oznaczało pogardę.

W ogóle wszystko, co dotyczyło Indry, było złe, tak jak jej niepospolicie szczupła talia i pełne biodra oraz biust.

Wygląd zewnętrzny zajmował wszystkie myśli Bodil, nie potrafiła zająć się niczym innym.

List do biura konkursu Miss Norwegia, no tak... trzeba go zniszczyć, zanim wpadnie w niepowołane ręce. Szkoda, bo jest bardzo ładnie napisany. Na maszynie, podpisany przez Gabriela Garda. Bodil skopiowała jego podpis. „Niniejszym przesyłam kandydaturę do udziału w konkursie. Jest to moja droga kuzynka Bodil, która o niczym nie wie. Ja jednak uważam, że jeśli ktoś może wygrać, to właśnie ona. Jest tak doskonała, że trudno znaleźć w niej jakiś niedostatek. Wymiary ma następujące...” I tak dalej.

Oczywiście przemknęła jej przez głowę taka wątpliwość, że skoro ona o niczym nie wie, to skąd Gabriel Gard zna tak dokładnie jej wymiary? Ale co tam, nieważne. Nikt nie będzie się nad tym zastanawiał, kiedy tylko zobaczą zdjęcia.

Tak myślała Bodil, nie przypuszczając nawet, że nie po raz pierwszy organizatorzy dostają zgłoszenia kandydatek, wysłane przez nie same w cudzym imieniu.

Wuj Gabriel zapytał, rzecz jasna, czy Bodil nie chciałaby z nimi pojechać, ale ona wolała zostać sama w domu. Powiedziała, że jest niestety zajęta, bo przecież czy mogła jechać, siedzieć wiele godzin w samochodzie i się nudzić? A poza tym co miała do roboty w Szwecji? Polowanie na duchy? O rany boskie! Wuj wyglądał na zasmuconego, jakby już zaczął się cieszyć, że Bodil będzie z nimi. No tak, oczywiście, tak myślał, jest przecież bardzo nią zajęty, podobnie jak inni mężczyźni, ale cóż ona na to poradzi.

Postanowiła, że będzie z nim postępować troszkę bardziej ostrożnie. Będzie go oczywiście kokietować, ale niech czeka i trzeba uważać, by nie pobudzać go za bardzo. Bodil nie może się przecież pokazywać z takim starym dziadem. To by dopiero było! Przecież jednak go potrzebuje, będzie więc miał prawo usługiwać jej.

On to zresztą robił już od dawna i z wielką chęcią. Oczywiście, jakżeby inaczej?

Rozległ się dzwonek u drzwi i Bodil poszła otworzyć. To Christian, przyszedł zapytać o Mirandę.

- Ona jest w Szwecji - odparła Bodil słodko swoim leciutko ochrypłym głosem, którego wobec młodych mężczyzn zawsze używała. - Ale wejdź, właśnie miałam sobie robić herbatę.

Bodil oficjalnie nie pijała kawy. Dużo lepiej brzmi, że ma się angielskie przyzwyczajenia i pija wyłącznie herbatę.

Z pewnym wahaniem młody człowiek wszedł do mieszkania, mówiąc przy tym, że chyba nie powinien tu zostawać, skoro nikogo nie ma w domu.

- A więc uważasz, że jestem „nikim” - zachichotała Bodil i biedny chłopak zaczerwienił się po korzonki włosów. Uśmiechał się nieśmiało.

Bodil paplała i śmiała się, przygotowując na stole kuchennym niewielki posiłek dla obojga. Kokieteryjnie wspiniała się na palcach, kiedy szukała czegoś w wiszących wysoko szafkach, i pochylała ślicznie, gdy potrzebowała czegoś z niskich.

Christian był oszołomiony. Bodil to piękność, dziewczyna super, a mówiono o niej, że jest bardzo wybredna. Zadaje się tylko z elitą, z najbogatszymi, najbardziej bezczelnymi i największymi szczęściarzami. Tylko oni mogą z nią chodzić. Innych odprawia z wyniosłą miną.

Christian nie wiedział tylko, co elita o niej mówi, i tak było chyba najlepiej.

Czego ona ode mnie oczekuje? zastanawiał się. Oczywiście, wyglądam zupełnie nieźle, ale też nie ma we mnie nic szczególnego.

Wspólnych zainteresowań również nie mieli. On zamierzał studiować biologię morza i o tych sprawach najlepiej mu się rozmawiało z Mirandą. Zainteresowań Bodil nie znał. Podobno zamierza zostać kosmetologiem, ale nie bardzo wiadomo, co to znaczy.

Być może nie takie to dziwne, że Christian nie znał zainteresowań Bodil, bo, szczerze mówiąc, nie miała żadnych, oprócz własnej osoby i tego, jak otoczenie na nią reaguje.

Bodil nie tęskniła do domu w małym miasteczku. Oslo, to miejsce dla niej. Tutaj można się pokazać i spotkać interesujących mężczyzn, a potem przeglądać się w ich pełnych podziwu oczach. Ojciec i mama są bardzo sympatyczni, robią dla niej wszystko, mają jednak beznadziejnie nienowoczesne poglądy. Nie zastanawiając się nad tym, Bodil traktowała ich niczym swoje pokorne sługi... Oni zaś z wdzięcznością przyjmowali krytykę, bo to świadczyło, że córka się nimi interesuje, co stanowiło dla nich największe szczęście. W domu było jeszcze rodzeństwo Bodil: brat i siostra. Wiedziała jednak bardzo dobrze, że to ona jest ukochanym dzieckiem. Taka piękna, taka uzdolniona, wszystko jej się udaje.

Mimo woli skuliła się. Minęło już sporo czasu od chwili, gdy po raz ostatni odwiedziła dom, i nie odczuwała za nim żadnej tęsknoty. Ale pieniądze zaczynały się kończyć, chociaż miały wystarczyć do jesieni, będzie więc musiała chyba odbyć podróż do tej przeklętej dziury, by przekonać bogatego tatę farmera. Nie powinno być trudno skłonić go do szczodrości. A ona naprawdę potrzebuje nowej wyjściowej sukienki. Swoją najładniejszą wkładała już dwukrotnie. Wszystko ma jednak swoje granice.

Znowu skoncentrowała się na Christianie. Nigdy nie miała dość męskiego uwielbienia. Wciąż potrzebowała więcej i więcej. Nikt jednak nie może się nawet domyślać, że to ona z nim flirtuje, bo przecież cóż to za kawaler. Niespecjalnie urodziwy, a poza tym przyjaciel Mirandy.

I właśnie Miranda to jedyna osoba, która powinna się dowiedzieć, że Christian jest śmiertelnie zakochany w Bodil. Trzeba przebiegłości, by jego i Mirandę przekonać, że to on pierwszy okazał Bodil zainteresowanie, że to on zdradził swoją przyjaciółkę z powodu beznadziejnej miłości do Bodil. I pożądaną, rzecz jasna. W takich sprawach Bodil była ekspertem. Chłodna życzliwość, kuszenie z miną niewinnego baranka. Nie, jakżeż on mógł pomyśleć, że Bodil się nim interesuje? Nie, kochana Mirando, nie sądzisz chyba, że ja... i tak dalej.

Indra ją przejrzała, ale Bodil była również ekspertem w ukrywaniu różnych niewygodnych spraw. Miranda jest dzieckiem, jeśli chodzi o sztukę uwodzenia. Ją łatwo oszukać.

Poczęstunek był gotowy, a Christian coraz bardziej zakłopotany. Bodil paplała o niczym, taka sobie gadanina jak w niezobowiązującym towarzystwie nad szklanką piwa lub coli, rozmowa, do której nie przywiązuje się znaczenia. I z pewnością nie zdała sobie sprawy z tego, że odbierając telefon od koleżanki pochyliła się zbyt mocno i pokazała trochę za dużo w wycięciu bluzki. Kiedy zaś demonstrowała, jak próbował ją uwieść pewien znany prezenter telewizyjny, ale ona przebiegle mu się wymknęła, spódnica podniosła jej się tak wysoko, że widać było całe piękne uda. Czy Christian miał jej o tym powiedzieć? Na pewno by ją speszył, więc lepiej udawać, że nic się nie stało. Przypuszczał, że dziewczyna jest bardzo wrażliwa, a on sam teraz czuł się podle. Bodil była kusząco piękna, czysta i delikatna, wpatrywał się w jej usta z takim uporem, jakby znajdowały się w nich magnesy przyciągające wzrok. Krew pulsowała mu w skroniach. Jego dłoń jakby z własnej inicjatywy spoczęła na kształtnym przedramieniu dziewczyny i wzrok zaczynał mu się mącić, gdy nagle usłyszeli, że na podjeździe domu zatrzymał się jakiś samochód.

- O Boże, oni chyba jeszcze nie wrócili! - zawołała Bodil spłoszona.

Christian był bliski paniki na myśl, jak zdoła spojrzeć w oczy Mirandzie i jej rodzinie po tym, co się tu działo. Najchętniej wlałby sobie szklankę wody w spodnie. Miał jednak nadzieję, że trochę potrwa, zanim przybyli wejść do domu.

Bogu dzięki, że przyjechali. Z mieszaniną przerażenia, wyrzutów sumienia i mimo wszystko rozczarowania myślał, co by się mogło stać, gdyby samochód nie nadjechał.

Samochody, bo przyjechały dwa.

Bodil odchyliła firankę i wyglądała na zewnątrz.

- To Indra i Miranda oraz wuj Gabriel. A także ich krewni: Nataniel i Ellen, wstępowali tutaj po drodze do Szwecji. I...

Umilkła. Christian usłyszał jej zdławiony okrzyk: „O Boże!”

Miał wrażenie, że w tym okrzyku zawierał się też żal.

I to prawda. Bodil myślała: „Dlaczego, do diabła, nie pojechałam z nimi do tej Szwecji? Teraz zarówno Indra, jak i Miranda mają nade mną przewagę. One zdążyły już poznać tego tam. O Boże, co za mężczyzna! Och, ratunku!

Ale ja wkrótce zlikwiduję ich przewagę”.

Z samochodu wysiadł ktoś jeszcze. Jakiś niewiarygodnie chudy i blady mężczyzna o długich, ciemnych włosach z nitkami siwizny. Nie był podobny do rodziny Gabriela, w ogóle do nikogo nie był podobny. Interesujący, to prawda, ale za stary i prawdopodobnie ubogi.

Nie ma się nad czym zastanawiać.

Nie, Bodil interesował ten drugi, młodszy. Serce tłukło się w jej piersi. Takiego zdobyć! Jaka by to była przyjemność pokazać się z nim w mieście! Dziś wieczorem Bitten urządza prywatkę. Bodil już postanowiła, że zabierze tam ze sobą owego pięknego młodzieńca. Ten to naprawdę bliski jest doskonałości, ma wszystko. Wszystko! Do cholery, że też te głupie dziewczyny, Indra i Miranda, musiały ją uprzedzić.

Ale nie mają szans. Gdy tylko on zobaczy Bodil, natychmiast przestanie myśleć o tamtych.

Odsunęła od siebie Christiana, który położył jej dłoń na ramieniu. Nie widziała nikogo oprócz mężczyzny, który pomagał Indrze nieść walizkę. Ta cholerna, leniwa Indra!

Tu na pewno rozegra się walka. Ale zwycięstwo jest już właściwie przesądzone, myślała Bodil poprawiając fryzurę, która prezentowała się znakomicie.

Christian cierpiał, spoglądając na przybyłych. Przecież bardzo lubił Mirandę, jej żywotność, jej zaangażowanie. Jeśli chodzi o urodę, to też jej niczego nie brakowało. Świeża, piegowata, z włosami o rudych refleksach, ale tylko w pewnym oświetleniu.

Ciemnozielone oczy, takie szczere, że chyba w tej dziewczynie nie znalazłaby się ani odrobina zła. Christian był w niej trochę zakochany. A w każdym razie bardzo go interesowała. To zaś zwykle świetny początek.

Urodą nie mogła się wprawdzie równać z Bodil... Ukazała się Indra. Ciemna, trochę dziwna Indra z wiecznym błyskiem w oku, jakby zawsze patrzyła na świat z ironią.

Również Christian zobaczył Marca i serce zabiło mu boleśnie. Doznał przygnębiającego uczucia, że w tym przypadku nie ma wielkiego znaczenia, którą z dziewcząt on wybierze. One wszystkie bowiem za wszelką cenę pragną zdobyć niezwykle urodziwego młodzieńca, który szedł żwirowaną alejką.

6

Bodil nigdy nie interesowała się historią Ludzi Lodu. Nigdy nie pytała o żadnych jej członków, nawet kiedy ktoś w jej obecności ich wspominał. Sama nie pochodziła z tej rodziny, to siostra jej dziadka ze strony matki, Lisbeth, wyszła za mąż za Jonathana Voldena z Ludzi Lodu i to oni stali się potem dziadkami Indry i Mirandy. Kiedy była naprawdę rozgniewana na dziewczyny, zwykła mawiać, że pochodzą z kazirodczego związku, ponieważ ich rodziców łączyło stosunkowo bliskie pokrewieństwo. One jednak się tym nie przejmowały. Były dumne, że mają w żyłach tyle krwi Ludzi Lodu. Bodil życzyła całej rodzinie jak najgorzej i nie była w stanie słuchać, kiedy się o nich rozmawiało.

A oto teraz Indra z promiennym wzrokiem przedstawiała jej tego fantastycznego mężczyznę jako Marca z Ludzi Lodu, co Bodil nie mówiło nic a nic. Komuś lepiej zorientowanemu zadzwęczałyby w głowie ostrzegawcze dzwoneczki. Marco i Ulvar, bliźniaki Sagi z Ludzi Lodu i owego strąconego do otchłani anioła światłości, który później został czarnym aniołem, nie mylić z szatanem czy innym diabłem. Marco okazał się wyjątkowo pięknym połączeniem człowieka i czarnego anioła. Księżę Czarnych Sal, a poza tym bardzo samotna istota.

Teraz krewni wzięli go pod swoje opiekuńcze skrzydła, albo odwrotnie? Cała rodzina czuła, że można w jego ręce złożyć wszelkie zmartwienia.

Bodil doznała lekkiego szoku, kiedy witała się z drugim przyjezdnym. Został on jej przedstawiony jako „Móri, Islandczyk”.

O rany boskie, pomyślała. Jej gust kierował się raczej ku salonowym lwom. Uff, Móri stanowczo lepiej pasował do świata Mirandy. Chudy, o hipnotycznych oczach i okropnie zarośnięty. Ma w sobie coś czarodziejskiego, uznała, poza tym był potwornie stary, co najmniej pięćdziesiąt lat, a w ogóle to nie było się czym przejmować. Gdyby nie te taksujące spojrzenia, jakie jej posyłał.

Poczuła, że się rumieni. O co chodzi temu facetowi? Czyżby żywił dla niej współczucie? Czy on ma źle w głowie? Bodil nie jest żadną „biedną dziewczyną”, jak czytała w jego spojrzeniu. Nigdy w całym swoim życiu nie została tak źle oceniona. Miała ochotę rzucić się na niego i wykrzyknąć, że jest najbardziej popularną dziewczyną w swojej paczce, ale on odwrócił się od niej, a poza tym Bodil nie zwykła urządzić scen.

Przy obiedzie ukarała Islandczyka, ignorując go całkowicie, natomiast całą swoją przebiegłość włożyła w to, by pokazać Marcowi, jaką wyjątkową perłę spotkał. Inni jednak byli okropnie irytujący. Wciąż zajmowali jego uwagę jakimś bezsensownym gadaniem. Na przykład opowieściami, że plemiona przedinkaskie w Ameryce Południowej miały tajemnicze miasto z równie tajemniczymi Wrotami. Miasto miało jakoby leżeć nad jeziorem Titicaca w Andach. Kogo obchodzi tego rodzaju sprawy, skoro ona właśnie opowiada o komplementach, jakie mówiono na temat jej głosu, a także o tym, że pewien znany aktor odwrócił się za nią na ulicy?

- Skąd wiesz, że on się odwrócił? - spytała Indra. - Ty też się odwróciłaś?

Od czasu do czasu Bodil miała ochotę udusić tę swoją flegmatyczną kuzynkę.

W końcu po obiedzie znalazła się na chwilę w pobliżu Marca. To przecież jasne, że w tym towarzystwie liczą się tylko oni, Marco i Bodil, wszyscy musieli zdawać sobie z tego sprawę, nawet niesforna Indra.

Bodil zaatakowała natychmiast.

-Ty... nie znasz oczywiście nikogo w naszym mieście - powiedziała swoim najśłodszym głosem. Och, jakie on ma oczy, westchnęła, kiedy w końcu na nią spojrzął i nikt niepowołany im nie przeszkadzał. - Wiesz co, mogłabym ci może przedstawić kilkoro młodzieży w twoim wieku, bo w tym domu mieszkają przeważnie starcy i dzieciaki. Dziś wieczorem wybieram się na przyjęcie i chętnie cię zabiorę.

Marco przyglądał jej się badawczo i w przerażającym momencie doznała wrażenia, że wcale nie patrzy na jej piękną twarz, lecz przenika ją na wylot.

- Dziękuję za zaproszenie... Bodil, bo tak masz na imię, prawda? Ale obiecałem już Mirandzie i Christianowi, że pójde obejrzeć mokradała tu w pobliżu.

Cholera! Cholera! I jeszcze raz cholera! Jak Miranda może się wpychać między nich? Czy jej się wydaje, że zdoła podbić Marca? Kompletna idiotka, czy ona nie ma oczu? I chce go prowadzić na mokradała! Do jakiego stopnia można być dziecinny?

- Nie brzmi to specjalnie podniecająco - roześmiała się Bodil. - Ale rozumiem, że nie mogłeś odmówić, kiedy cię prosiła.

- Szczerze mówiąc, to prosił Christian - odparł Marco, jakby go ta rozmowa bawiła.

- W porządku, ale przecież nie zajmie to wam całego wieczoru.

- Zobaczymy - odparł i odszedł do swoich krewnych. - Pomyślę o tym, dziękuję ci bardzo!
- rzucił jeszcze przez ramię.

- A ja zadbam, byś naprawdę pomyślał - szepnęła Bodil z zawziętością.

Starsi wycofali się do jadalni, by porozmawiać o tragedii Dolga, natomiast Indra i Miranda miały surowy nakaz trzymać Bodil z daleka. Złościły się z powodu jej obecności, ponieważ też bardzo chciały uczestniczyć w rozmowie, ale nawet prośba do Christiana, by zabrał ją do miasta, nie pomogła. Bodil zamierzała pozostać w pobliżu Marca.

Szczerze mówiąc, zdążyła już zadzwonić do Bitten i kilku innych przyjaciółek, żeby je poinformować iż przyjdzie na przyjęcie w towarzystwie absolutnie fantastycznego wielbiciela, teraz więc zaczynała się poważnie niepokoić. Czas płynął.

Nieszczęsny Christian stawał się coraz bardziej i bardziej przygnębiony. Czy Miranda naprawdę życzy sobie, żeby on się zajmował Bodil? Nie wróżyło to najlepiej. Skoro jednak Bodil nie chciała wyjść, siostry zatrzymywały i jego.

Mimo to Christian czuł się tu absolutnie niepotrzebny. Nie rozumiał tej gry, nie domyślał się, że to śliczna, łagodna Bodil jest niepożądaną osobą, i że dziewczyny bardzo nie chciały siedzieć tu z nią i trzymać ją z daleka od dorosłych i spraw, które roztrząsali.

- Ja naprawdę nie pojmuję, że Marco, taki młody, może tkwić tam i gadać ze starcami - rzekła Bodil, wskazując na drzwi pokoju jadalnego. - My młodzi przecież moglibyśmy się bawić we własnym towarzystwie.

Chyba po raz pierwszy w życiu Bodil łączyła swoją osobę z Indrą i Mirandą.

- A właściwie, to ile on ma lat? - zapytała rozmarzonym głosem, siedząc dekoracyjnie w fotelu.

- Kto? Marco? Sto trzydzieści cztery - powiedziała Indra z brutalną szczerością.

- Ech, to twoje poczucie humoru.

- A może wszyscy wyszlibyśmy do miasta? - zaproponowała Miranda.

Bodil przyglądała się swoim paznokciom.

- Idźcie! Ja zostanę tutaj.

W takim razie oni też nigdzie nie poszli. Atmosfera stawała się coraz cięższa.

Miranda popatrzyła na śliczne paznokcie Bodil, potem na swoje własne i westchnęła. Nigdy ich nie lakierowała, bo zawsze brudziła lakierem także skórę dłoni i trzeba to było potem usuwać, a wtedy zmywacz rozpuszczał też lakier na paznokciach. Kiedy później próbowała pomalować je od nowa, robiły się brzydkie. Nigdy też nie udało jej się wyhodować dłuższych niż kilka milimetrów nad opuszką palca, ciągle się jej łamały. Pewnie ma za mało wapnia.

Bogu dzięki, w jadalni rozległo się odsuwanie krzeseł i całe towarzystwo wyszło do salonu.

Bodil pobiegła przejrzeć się w lustrze. Dziewczęta słyszały, jak Nataniel, otwierając drzwi, mówił:

- Niełatwo będzie odnaleźć ślad człowieka, który zaginął w osiemnastym wieku. Nie ma już przecież żadnych świadków, których można by zapytać.

- Dolg nie wiedział, że ja w dalszym ciągu przebywam na Ziemi - odparł Móri. - W przeciwnym razie szukałby mnie i prawdopodobnie by znalazł.

Bodil wróciła i wszyscy umilkli. Większość dorosłych poszła do swoich pokoi.

Marco, ów nieodparcie pociągający mężczyzna, rzekł przyjaźnie:

- Mirando i Christianie, chyba dziś wieczorem nie będziemy mieli czasu na oglądanie mokradeł, ale czy moglibyśmy to zrobić jutro wcześniej rano?

- Tak! - krzyknęła Miranda entuzjastycznie. - To jeszcze lepiej, bo wtedy jest tam wszędzie zatrzęsienie ptaków.

- Właśnie o to mi chodziło.

- Ja mogę też pójść... - zaczęła Bodil, ale przerwał jej Christian.

- Musimy wyjść bardzo wcześniej - powiedział równie podniecony jak Miranda. - Chyba nawet o czwartej.

- Bardzo chętnie - odparł Marco.

Bodil przeniknęła dreszcz. O godzinie czwartej? Tak wcześniej nigdy nie wstała. Często natomiast o tej porze jeszcze nie zdążyła się położyć.

Przyszła jej do głowy pewna myśl i powiedziała słodkim głosem:

- W takim razie będziesz miał trochę czasu dla mnie dziś wieczorem, Marco.

Popatrzył na nią jak na kogoś zupełnie obcego.

- Przyjęcie! - musiała mu przypomnieć dość zirytowana.

- Co? Ach, tak, to. Nie, niestety. Musimy jeszcze porozmawiać, a to nam z pewnością zabierze znaczną część wieczoru. Może nawet będziemy musieli wyjść na jakiś czas.

- Pójdę z wami.

Nareszcie Bodil uświadomiła sobie, że robi coś, czego nigdy przedtem nie czyniła. Poluje na mężczyznę. Ona, która dotychczas nie potrzebowała nawet kiwnąć palcem, żeby wzbudzić zainteresowanie. To upokarzające, ale niestety pośpieszyła się z informacją. Zapowiedziała, że przyjdzie na przyjęcie w towarzystwie niezwyklego mężczyzny. Co więc teraz ma zrobić? No cóż, dzień jeszcze nie minął.

- A zresztą nie - mruknęła obojętnie. - Nie mam czasu włóczyć się po mieście, muszę przecież iść na przyjęcie, nie mogę rozczarować moich przyjaciół.

- Nie, bo bez ciebie przecież przyjęcie byłoby do niczego, kochana Bollo - wtrąciła Indra.

Ale Bodil nie pojęła ironii.

- Oczywiście. A poza tym mam na imię Bodil, jeśli można prosić! Christian, pójdziesz ze mną?

Młody chłopak sprawiał wrażenie przestraszonego szczeniaka, któremu rzucono dwie piłeczki i teraz musi wybierać.

- Eee... - zająknął się.

- Idź - zezwoliła Miranda wielkodusznie. - Tylko nie siedź za długo i nie pozwól, żeby Bodil cię uwiodła. Zobaczymy się o czwartej nad ranem.

Chłopak ucieszył się, że postanowiono za niego. Bodil jednak wyglądała na umiarkowanie zadowoloną.

- Nie potrzebuję nikogo uwodzić, a już zwłaszcza Christiana - rzuciła złośliwie, a jej słowa miały oznaczać, że to się już stało. Akurat w tym momencie rozległ się głośny klakson samochodu przed domem. Duża grupa młodzieży krzyczała: „Bodil, Bodil!” Piękna panna rozpromieniła się. Teraz mogła udowodnić, jak bardzo jest popularna. Zwycięstwo było po jej stronie. Desperacko próbowała jeszcze przekonać Marca, by jej towarzyszył, żeby go chociaż na chwilę pokazać, ale on uprzejmie odmówił. W końcu spojrzawszy na niego po raz ostatni pieszczotliwie, opuściła pokój wraz z Christianem jako żalonym surogatem wielbiciela.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Marco milczał. Popatrzył tylko na swoje kuzynki i wszyscy troje wybuchnęli stłumionym śmiechem. Rozumieli się nawzajem doskonale.

- Dziękuję, Marco - powiedziała Indra serdecznie. - To była pierwsza porażka w jej życiu.

- Boję się tylko, że ona tego nie zrozumie - wtrąciła Indra.

- Ta cała Bodil jest nieznośna, prawda? - zapytał Marco ze zrozumieniem.

- Ona jest okropna - odparła Indra i dała upust długo tłumionym uczuciom. - Pewnie myślisz, że jesteśmy złośliwe wobec niej, ale kiedy tu przyjechała, przyjęliśmy ją bardzo serdecznie. Zrobiliśmy wszystko, żeby się u nas dobrze czuła, przedstawialiśmy jej naszych przyjaciół i w ogóle... Ona jednak odpłaciła za to obgadywaniem nas za plecami, poza tym zawsze stara się poderwać moich chłopców, a teraz także unicestwić pierwszą nieśmiałą próbę Mirandy. Ona nas jawnie nienawidzi i ciągle nam opowiada, jak to wszyscy ją kochają, jak każdego może sobie owinać wokół małego palca i w ogóle jaka jest wyjątkowa. W końcu nie mogliśmy być już dla niej miłe.

Marco wykazał zrozumienie także wtedy, gdy Indra odetchnąwszy z ulgą oznajmiła, że to wielka przyjemność móc poplotkować na temat Bodil. Po prostu psychoterapia.

Zachichotała.

- Widzisz, odkąd stwierdziłyśmy, jak miło jest ją drażnić, nie robimy nic innego.

- Trzeba ci jednak wiedzieć, Marcu, że ją trudno zranić - wtrąciła Miranda. - Wcale nie chcemy robić jej krzywdy, tylko wbić od czasu do czasu kilka szpilek w ten nadmuchany balon. Ona się jednak wcale nie obraża, nie ma poczucia humoru, a tym bardziej autoironii. Uważa, że jej po prostu zazdrościmy i że jesteśmy głupie.

- A ona wspaniała, jak rozumiem - rzekł Marco ze śmiechem. - Ale jeśli wam ulżyło, to może porozmawiamy o czymś bardziej interesującym?

- Oczywiście - roześmiała się Indra. - Na przykład o nas samych.

- Koniecznie - oświadczył Marco z udaną powagą. - Czy wiecie, jak przyjemnie jest żartować i śmiać się razem z bliskimi osobami?

Dziewczyny przestały chichotać.

- W twoim życiu było wiele poważnych spraw, prawda? - zapytała Miranda cicho. - I samotności?

- Tak- potwierdził. - Ale zdaje się, że kolacja gotowa.

Po kolacji wszyscy poszli spać. Podróż była wyczerpująca, a jutro też czekało ich wiele zajęć.

Marco został jeszcze jakiś czas w salonie. Wyszedł na werandę i patrzył na świecący księżyc oraz usiane gwiazdami niebo.

Wkrótce zamknął oczy z wyrazem udręki na twarzy.

Samotność, samotność, myślał. Dokąd się udać, czego ja właściwie chcę? Źle się czuję w Czarnych Salach i równie źle na Ziemi. Dlaczego oni mi to zrobili, dlaczego urodziłem się jako bastard?

Pomogłem Natanielowi w pokonaniu samego zła, nadałem cielesną formę Tengelowi Złemu, to było moje zadanie, ale potem?

Nieśmiertelny? Cóż za straszny los dla kogoś, kto nie pasuje do żadnego miejsca!

Wrota, o których mówi Móri?

Słyszałem już o Wrotach istniejących w jakimś państwie, ale nie pamiętam, w związku z czym to było. Oczywiście, mamy Bramę Słońca nad jeziorem Titicaca i podobno tam znajduje się jakieś tajemnicze przejście do czegoś. Wiem, że istnieją ludzie, którzy widzieli osadę, klasztor i wejście do nieznanego.

Ci ludzie jednak nigdy ponownie nie odnaleźli drogi do tamtego miejsca, chociaż bardzo dokładnie przeszukiwali okolicę północno-wschodnich Andów. Znalezione czaszki, ogromne, z górskiego kryształu, nieprawdopodobnie lśniące i doskonale ukształtowane, one nie mogły być wykonane ludzkimi rękoma. Ale przecież znajdowały się tam, w pobliżu tak zwanej świątyni. Inni zabrali ze sobą kosztowności z tajemniczego miasta, ale na co to się zdało, skoro nie można ponownie odnaleźć tego miejsca?

I w południowej Ameryce? Czy rzeczywiście trzeba jechać aż tak daleko, by odnaleźć Wrota? Móri chce przez nie przejść, chce spotkać swoich bliskich. Nie opuści jednak świata, dopóki nie dowie się czegoś więcej na temat losu syna Dolga.

Tak więc Marco ma znowu zadanie do wykonania. Musi pomóc Móriemu w poszukiwaniach. Poczł się lepiej.

I, oczywiście, to fantastyczne móc spotkać znowu żyjących krewnych z Ludzi Lodu! Jacy to wspaniali ludzie! I ci, których już wcześniej poznał, Gabriel, Nataniel i Ellen. I młode pokolenie, córki Gabriela.

Marco uśmiechnął się mimo woli. On i córki Gabriela porozumieli się natychmiast. Żeby się tylko pozbyć tej Bodil, czepiającej się niczym kleszcz!

No nic, jedno jest pewne, na wycieczkę do mokradeł ona się nie wybierze.

Marco cieszył się z tego. Teraz jednak najlepiej będzie spróbować się przespać. Humor znacznie mu się poprawił. Zadanie. Nocna wędrówka do królestwa wodnych ptaków. I bardzo sympatyczni krewni.

Przypomnijmy sobie, jaki to stopień pokrewieństwa nas łączy? On sam jest najbliższy Natanielowi, prawnukowi swego bliźniaczego brata Ulvara. Ellen, Tova oraz Gabriel i jego córki pochodzą z bocznej linii, ale oczywiście wszyscy noszą w sobie czystą krew Ludzi Lodu. Trzeba się jednak cofnąć aż do Cecylii Meiden z Ludzi Lodu, by odnaleźć wspólnego przodka. Marco zaczął rysować na kartce papieru.

Przypomniał sobie, że Tova Jest późnym potomkiem Arva Grippa, a z drugiej strony Sölvego, brata Ingeli Lind.

Schował kartkę do kieszeni. Zanim opuścił werandę na której siedział i odtwarzał fragment ogromnego drzewa genealogicznego Ludzi Lodu, spojrzął na uśpioną dzielnicę willową, skąpaną teraz w blasku księżyca.

Co sobie wtedy myślał o ludziach i ich przyszłości, nie wiadomo. Twarz miał nieprzeniknioną, wszedł do domu i starannie zamknął za sobą drzwi na klucz. To teraz, niestety, konieczne. W 1960 roku, kiedy opuszczał ten świat, można było zostawić drzwi otwarte. Teraz już nie.

7

W chwili nieuwagi zebranych Bodil zdołała po kryjomu zrobić Marcowi zdjęcie swoim polaroidem, Więc jej porażka, że nie przyszła na przyjęcie w towarzystwie zapowiadanego niezwyklego mężczyzny, nie wydawała się już taka straszna, gdy wyjaśniła, że z różnych powodów nie mógł się tutaj pojawić, i z udaną obojętnością, jakby od niechcenia, pokazała fotografię.

Zrobiło to ogromne wrażenie. Dziewczyny pozieleniały z zazdrości, a chłopcom zrzędyły miny.

Inna sprawa, którą udało jej się przy okazji osiągnąć, to to, że jak zwykle stała się najważniejszą osobą na przyjęciu. To znaczy dla chłopców i dla przyjaciółek, które ją podziwiałały i starały się zawsze być blisko niej. Na inne osoby machała ręką. Są po prostu

zazdrosne, mawiała zwykle, a najgorsze, że sama w to wierzyła. Jej dobre samopoczucie było trwałe i nienaruszalne.

Ukradkiem spoglądała na zdjęcie Marca. Zaciskała szczęki w taki sposób, od którego z czasem powstają głębokie zmarszczki. Tę mężczyznę musi zdobyć. Nic innego nie wchodzi w rachubę. W końcu przecież on ulegnie jej urokowi. Ale musi się to stać zaraz, szybko, w ciągu najbliższych dni. Nie miała ochoty wymyślać w nieskończoność jakichś wymówek dla przyjaciółek, a już zwłaszcza dla dziewczyn, które jej zazdroszczą.

Musi, musi zdobyć go jak najszybciej.

Och, on powinien teraz widzieć, jaka jest popularna, jak ją wszyscy uwielbiają. Dlaczego, do diabła, nie chciał z nią przyjść?

To wina tej beznadziejnej rodziny, mogłaby przysiąc. To oni wciągnęli go w jakąś pułapkę, z której nie potrafi się wyrwać, chociaż bardzo chce. Przecież to oczywiste, że najbardziej pragnie być z nią, z Bodil, ale jest zbyt dobrze wychowany, by łamać obietnice.

Ooo, westchnęła cicho. Pomyśleć, że teraz mogłoby mnie obejmować jego ramię.

Złotobrzazowe sitowie porastało całe mokradła, które niegdyś były jeziorem. Teraz prawie kompletnie zarosły, tylko tu i ówdzie migała niewielka tafla wody. Wielka szkoda i wielki wstyd, mówili esteci, uważając, że skraj jeziora powinien być czysty, wypielony z trawy i chwastów i mieć piękne równe brzegi. To fantastyczne, odpowiadali miłośnicy natury, którzy najpierw myśleli o życiu zwierząt, przede wszystkim ptaków.

Teraz, wczesnym rankiem, mgła leżała nisko i trawa pomiędzy kępami sitowia mieniła się kroplami rosy. Powietrze było czyste i rześkie, a śpiewy różnych gatunków ptaków po prostu cudowne.

Z samochodu wysiadły cztery osoby. W ostatniej chwili nastąpiły pewne zmiany. Młody Christian pojawił się co prawda wprost z przyjęcia, ale mocno zawiany, chwiając się na nogach, dzwonił zębami i był śmiertelnie blady. Miranda podziękowała mu za to, że przyszedł, ale natychmiast odesłała go do domu, żeby się wyspał. Mamrotał coś ochrypłym głosem, co wyglądało na przeprosiny, poza tym jednak był jej bardzo wdzięczny, że w tym stanie nie musi robić żadnych wycieczek.

Tymczasem Móri obudził się bardzo wcześnie i poprosił, by zabrali go ze sobą. W ostatniej chwili przyszedł też Nataniel. Zjadł kromkę chleba i popił ją mlekiem na stojąco w kuchni, po czym mogli ruszać. Musieli przejechać całe osiedle, by dotrzeć do mokradeł.

Gabriel, Indra i Ellen nadal spali, gdy ta czwórka spoglądała na chłodny, pogrążony we mgle krajobraz.

- Fantastyczne - mruknął Marco. - Już tylko to czyni życie wartościowym.

Spoglądali na niego ukradkiem. Jego głos wyrażał coś, czego nie pojmowali. Nie wiedzieli o jego wyobcowaniu i cierpieniu samotnika, zdającym się nie mieć końca. Nie wiedzieli, to prawda, ale domyślali się, że tak jest.

Miranda zapytała go wprost właśnie o to.

- Teraz musisz nam pokazać drogę, Mirando - przerwał jej Nataniel.

Dziewczynę ogarnęła duma. Trzech dorosłych mężczyzn o niezwykłych, ponadnaturalnych zdolnościach i ona, pospolita... Ale to ona jest tutaj ich przewodniczką.

Tak się tym przejęła, że pomyliła kierunki. Wściekła na samą siebie musiała zawrócić i poprowadzić ich inną ścieżką.

- Musimy zachowywać się bardzo cicho - powiedziała. - Żeby nie przeszkadzać ptakom.

Pokazywała im gniazda wzdłuż wąskiej ścieżki. Setki, a może nawet tysiące kaczek zrywało się koło nich, większości gatunków mężczyźni nie znali. Ale Miranda tak. Pokazywała im bekasy, brodzie, siewki, słonki, kszuki i tak dalej. Wielkie gniazdo łabędzi, mające daleko w sitowiu, muszą ominąć z daleka, ostrzegła Miranda. Mogliby zostać zaatakowani.

- Jesteś imponująca - stwierdził Nataniel, a tymczasem jakiś duży brodziec zaczął wyśpiewywać swoje charakterystyczne melodyjne trele. Głos niósł się daleko nad bagnami.

- Szkoda, że Ellen nie chciało się wstać. Powinna by to wszystko zobaczyć - westchnął Nataniel.

- A ojciec powinien usłyszeć, jak mnie chwalisz - roześmiała się Miranda cicho. - Bardzo jest rozczarowany moimi wynikami w nauce. Należę do tak zwanych szczególnie uzdolnionych. Tacy ludzie słabo radzą sobie w szkole, ale na jeden temat wiedzą niemal wszystko.

- Jak ty o ptakach? - wtrącił Móri.

- Nie, w ogóle o przyrodzie, ale to nie wystarczy. Nigdy nie będę biologiem ani niczym takim, ponieważ moja tępa głowa za nic nie może opanować ani niemieckich czasowników, ani matematyki. Zastanawiam się tylko, po co mi te czasowniki, czy miałabym rozmawiać ze zwierzętami po niemiecku?

- Jak widzę, system szkolny nie bardzo się zmienił od moich czasów - zauważył Marco sucho. - Specjalnie uzdolnieni sprawiają kłopot, więc należy wybijać im z głowy zbytnią aktywność. Tak zwani średniacy natomiast przemykają się przez szkołę jakby nigdy nic. Czy więc to takie dziwne, że potem mamy tyle papierowych głów na ważnych stanowiskach?

- Dziękuję, Marco. Twoje słowa będą mi podporą co najmniej przez tydzień - uśmiechnęła się Miranda. - Ale tu musimy się zatrzymać. Dalej nie możemy iść, ponieważ tam gnieździ się większość ptaków chronionych.

Zawrócili do porośniętego trawą wału pomiędzy bagnami a drogą. Nataniel przyniósł z samochodu pled i rozłożył go na ziemi.

- Chciałbym tu trochę posiedzieć i porozkaszować się okolicą - rzekł i dał znać, by inni usiedli obok niego. - Tutaj ludzie chyba rzadko zagląдают?

- Myślę, że w ogóle nigdy - odparła Miranda, sadowiąc się na kocu.

Przez chwilę milczeli. Słońce powoli przebijało się przez zaslonę mgły, a jego promienie rozjaśniały migotliwym blaskiem pokryte rosą rośliny. Jakaś stara łódź, zmurszała i wywrócona do góry dnem, leżała pomiędzy dwiema brzożami jako pozostałość z czasów, gdy jeszcze łowiło się tutaj ryby.

- Te mokradła powinno się chronić - stwierdził Nataniel.

- Pracujemy nad tym - zapewniła Miranda. - Pobliscy rolnicy nas wspierają, ale teraz ktoś wymyślił, żeby wybudować tu centrum sportowe, boiska do piłki nożnej i inne takie. A z potężnym sportem trudno walczyć. Oni argumentują, że to bardzo dobre dla młodzieży, żeby ćwiczyć na otwartych przestrzeniach, męczyć się do upadłego i zwyciężać, zwyciężać, zwyciężać tych, którzy są słabsi lub nie są dość wytrwali.

- Boże uchowaj, co za salwa - uśmiechnął się Marco. - Domyślam się, że nie przepadasz za sportem?

- Ciekawe, jak to zgadłeś? - zachichotała Miranda. - Ale posłuchałbyś Indry! Ona to po prostu nienawidzi lekcji gimnastyki.

- Bardzo dobrze ją rozumiem - westchnął Nataniel i wszyscy roześmiali się serdecznie. Mieli wiele pobłażliwości dla niekonwencjonalnych zachowań Indry.

Słońce świeciło przez mgłę. Był to nieprawdopodobny spektakl.

Móri rzekł ze smutkiem:

- Kiedy szliśmy przez mokradła, myślałem, że to po takiej okolicy wędrował mały Dolg, by pokonać ogromne bagna i zdobyć szafir, który miał mnie przywrócić do życia.

Słyszeli już w Uddevalla dzieje Móriego, tam bowiem nocowali, zdążyli również poznać historię Dolga.

Nataniel uniósł głowę. W jego oczach pojawił się błysk.

- Móri... Marco i Miranda... Posłuchajcie mnie! Narzekaliśmy bardzo, że nie ma z nami przodków Ludzi Lodu, bo oni by z pewnością pomogli nam odszukać Dolga. Ty, Móri, byłeś rozżalony, że nie ma przy tobie twoich duchów. A Marco nie może akurat teraz prosić o pomoc czarnych aniołów. One, jak powiadasz, są dużo potężniejsze niż ty sam, bo jesteś w połowie człowiekiem, chociaż jesteś też księciem Czarnych Sal i w pewnym sensie stoisz ponad czarnymi aniołami. Czuliśmy się bezradni, ale czy o czymś nie zapomnieliśmy?

- O czym? - wykrzyknęli równocześnie.

- O przyjaciółach Dolga. On był wyjątkowy, prawda?

- Nawet bardzo - odparł Móri. - Ale to nic nam nie pomoże, jego duch opiekuńczy, Cień, opuścił świat. Podobnie ogniki i elfy oraz inne istoty, które uratowały go tamtej nocy na bagnach, daleko na południe stąd. Ja sam widziałem, jak przekraczają Wrota.

- Tak - przyznał Nataniel zirytowany sam na siebie że nie potrafi wyjaśnić dokładnie, o co mu chodzi. - Ale to dotyczyło ogników z tamtych właśnie mokradeł. Tam bowiem ci, którzy dawniej byli Lemurami, a potem przemienili się w ogniki, gromadzili się w pobliżu szafiru. Mogą jednak istnieć inne, w innych miejscach.

- Nie Lemurowie - zaprotestował Móri. - Oni wszyscy byli na tamtych bagnach, poza tym ogniki nie występują tak daleko na północy jak tutaj.

Zniecierpliwiony Nataniel machał rękami.

-Nie, ale tutaj istnieją przecież inne istoty natury? wierzcie mi, widywałem zarówno upiory, jak i tak zwany szary ludek. Podziemne istoty.

Spoglądali po sobie, zastanawiając się. Móri z nową nadzieją w oczach.

- Dolg miał bardzo dobry kontakt ze wszystkimi niewidzialnymi stworzeniami - rzekł z wahaniem, jakby nie chciał cieszyć się za wcześnie.

Miranda wtrąciła z ożywieniem:

- Siedzicie tutaj, trzej ludzie obdarzeni ponadnaturalnymi zdolnościami. Czy nie możecie spróbować nawiązać kontaktu z jakimiś innymi istotami, które przebywają w okolicy? Nie odczuwacie obecności nikogo takiego w pobliżu?

- Popelniasz błąd, Mirando - wtrącił Marco łagodnie i zapał dziewczyny zgasł. Marco mówił dalej: - Nie tylko my trzej mamy paranormalne zdolności. Jest nas tutaj czworo takich.

Popatrzyła na nich, niczego nie rozumiejąc. Wszyscy trzej kiwali głowami.

- Twój ojciec wspominał, że od czasu do czasu przekonujesz rodzinę, iż odziedziczyłaś zdolności Ludzi Lodu - oznajmił Nataniel. - Masz co do tego całkowitą rację.

- Nie - zaprotestowała Miranda, ale zaraz z zapałem zaczęła opowiadać: - Czasami przeczuwam to, co stanie się w następnej sekundzie, albo zdaje mi się, że widzę istoty, które właściwie nie powinny istnieć. I... Nie, nie mówicie tego poważnie.

- Jak najpoważniej - oświadczył Móri. - Tylko że twoje zdolności pozostają jeszcze w uśpieniu, ale na pewno dadzą o sobie znać. Mimo że, jak powiadacie, dziedzictwo Ludzi Lodu wygasło.

Marco dodał:

- Uważam więc, że powinniśmy zrobić tak, jak proponuje Miranda. Skoncentrujmy się wszyscy czworo nad nawiązaniem kontaktu z istotami, które, miejmy nadzieję, się tutaj znajdują. Może one wskażą nam jakiś trop.

Wszyscy jednak pomyśleli: Co tutejsze istoty natury mogą wiedzieć o Dolgu? Nic!

- Powinniśmy byli to zrobić już w Västergötland - rzekł Nataniel. - Tam gdzie Dolg zniknął. Albo jeszcze lepiej w Uddevalla, gdzie jego ślady się urwały. Ale trudno, skoro tego nie zrobiliśmy, to spróbujmy chociaż teraz. Może nas to do czegoś doprowadzi.

Rozsiedli się wygodniej na pledzie. Miranda ujęła za ręce Marca i Móriego. Nataniel również włączył się do kręgu.

Panowała cisza. Miranda czuła wielką siłę, czy też energię, płynącą od obu mistrzów i prawdopodobnie siła Nataniela również poprzez nich do niej docierała. Czuła się bardzo mała i ograniczona, robiła jednak, co mogła.

Próbowaliśmy już wszystkiego, myślała, by odnaleźć Dolga. To jest nasza ostatnia szansa, chociaż z pewnością bliska zeru.

Zanim jednak posunęli się tak daleko, by zacząć wzywać znajdujące się ewentualnie w pobliżu niewidzialne istoty, Marco otworzył oczy i zawołał:

- Nie!

Wszyscy troje spojrzeli na niego pytająco.

- Nie musimy korzystać z pomocy istot natury, by go odszukać. Czy nie czujecie, jaką siłą dysponujemy w naszym kręgu?

- Tak jest, to wielka siła - jęknął Móri. - Nigdy nie czułem czegoś podobnego! Ale co konkretnie masz na myśli?

- Zastanawiam się, czy nie poradzimy sobie sami z tym zadaniem. Powinniśmy co prawda być w Uddevalla, ale spróbujmy tutaj. Ostatni ślad Dolga, na jaki natrafiłem, znajdował się tuż poza granicami miasta. Ty, Móri, sądziłeś, że rycerze zabrali go ze sobą na jakiś statek, płynący na południe. Byliśmy w porcie, pamiętacie? Z pewnością w tamtych czasach wyglądał on zupełnie inaczej, postarajmy się jednak przenieść myślami w okolice portu. Wywołajcie w sobie jego obraz i zostańcie tam! Może zdołamy złowić choćby błysk z tego, co się tam stało. Sądzisz, że dasz radę, Mirando?

- Bez trudu! - zawołała z przekonaniem. Była jednak skrajnie spięta - Zatem, ruszajmy w drogę!

Skoncentrowali się ponownie. Port w Uddevalla. Nabrzeże. Kamienne albo wykładane deskami... Miranda próbowała wyobrazić sobie, jak to mogło wyglądać w tamtym czasie. Miała z tym pewne trudności. Osiemnasty wiek? Beczki ze śledziami. Smoła. Liny i takielunek...

Móri wciągnął głęboko powietrze.

- Widzę jakiś statek...

- Ja również - potwierdził Marco.

- I ja - dodał Nataniel.

Miranda statku nie widziała, choć rozpaczliwie natężyła wyobraźnię.

- Przestań - mruknął Marco, nie otwierając oczu. - Za bardzo się napinasz. Pozwól, by wizje po prostu do ciebie przyszły!

Zrobiła, jak kazał.

- Widzę! - krzyknęła i tym samym przerwała seans. - Wybaczcie mi.

Wszyscy odetchnęli. Porównywali swoje wizje. Okazało się, że widzieli ten sam statek. Dość duży kuter przystosowany do pływania po Morzu Arktycznym.

- Tak mi przykro, że zniszczyłam wizję - rzekła Miranda z żalem w głosie.

Nataniel oznajmił stanowczo!

- Gdybyś nas nie zabrała tutaj, na te mokradła, nigdy byśmy nie wpadli na pomysł, by połączyć swoje siły, i nigdy byśmy się niczego nie dowiedzieli, Mirando. Jesteśmy ci winni wdzięczność.

Dziewczyna rozpromieniła się. W tym momencie była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Wszystko wydawało się doskonale. Otoczenie. Ci trzej tajemniczy mężczyźni, no tak, bo choć Nataniela znała od dawna, zawsze uważała, że jest człowiekiem niezwykle zagadkowym.

- To musi coś oznaczać - zastanawiał się Móri. - To, że wszyscy widzieliśmy ten sam kuter.

- No, a czy to nie może być nasz wpływ? - zapytała Miranda. - Przekazywany sobie nawzajem?

- Nie - odparł Marco. - Bo ja widziałem więcej.

- Opowiedz!

- Dobrze, ale najpierw rozwiążemy pewien problem. Dlaczego nie natrafiamy bezpośrednio na Dolga? Spróbujmy spojrzeć na niego w miejscu, w którym teraz przebywa!

- Świetny pomysł - pochwalił Nataniel. - Spróbujmy!

Znowu ujęli się za ręce. Siedzieli o tej wczesnej porannej godzinie i czuli ciepłe promienie słońca, ogrzewające chłodne mokradła. Choć to może dziwne, ptasi świergot nie przeszkadzał im w skupieniu. Był niczym piękny akompaniament dla ich myśli. Czy też może nie należy nazywać tego myślami, chodziło przecież o to, by ich serca i zmysły były czyste i całkowicie wolne od innych wrażeń.

Niezależnie od tego, jak bardzo pragnęli zobaczyć Dolga, żadne obrazy się nie pojawiały.

- Jakby zniknął z powierzchni ziemi - mruknął Nataniel.

Móri czuł się źle.

- Musimy go odnaleźć, wracajmy nad morze. Marco, powiedz, co wtedy widziałeś?

- Widziałem dwóch mężczyzn, idących nabrzeżem. Jeden młody chłopiec, bardzo piękny i bardzo blady, o ciemnych włosach, sięgających do ramion.

- Dolg - szepnął Móri ze smutkiem. - A ten drugi?

- On szedł z tyłu. Bardzo przystojny, czarnowłosy mężczyzna, szlacheckiego pochodzenia, to było widać po zachowaniu i wyglądzie. Nie bardzo jednak bym mu ufał.

- Jeden z rycerzy - skinął głową Móri. - Książę Konstantyn, jak sądzę. Mówisz, że został na nabrzeżu?

- To prawda. On w gruncie rzeczy nie towarzyszył temu młodemu chłopcu, wyglądało na to, jakby popatrzył na niego z odległości, a potem ruszył swoją drogą.

- A Dolg?

- Myślę, że wszedł na pokład kutra, ale w tym momencie wizja została przerwana.

Moja wina, pomyślała Miranda.

- Kuter z Morza Arktycznego - rzekł Nataniel jakby w rozmarzeniu. - Jak sądzisz, Móri, dokąd on zmierzał?

- Uważam, że na Islandię. Dolg kochał ten kraj.

- Sądzicie, że uciekał od rycerzy? - zapytała Miranda.

- Trudno to rozstrzygnąć - odparł Marco. - Nie mamy pojęcia, co rycerze zamierzali zrobić.

Po krótkiej pauzie Nataniel oznajmił:

- Nie wydaje mi się, żebyśmy teraz mieli dość sił na powtórzenie seansu. Taki wysiłek pochłania mnóstwo energii, ale się nie poddamy. Móri, będziemy się starać wyjaśnić los twojego syna.

Czarnoksiężnik miał bardzo zdecydowaną minę.

- Muszę porozmawiać z Gabrielem. Może on mógłby mi pożyczyć pieniądze z funduszu Ludzi Lodu, bym mógł popłynąć jakimś kutrem na Islandię.

- Kutrem? - zdumiał się Nataniel ubawiony. - Nie, to przecież zajmie zbyt wiele czasu, polecimy tam, rzecz jasna, samolotem.

Móri poblądł jeszcze bardziej.

- Polecimy? Czy masz na myśli to dziwne urządzenie, które zostawia za sobą na niebie jasną smugę?

- Otóż to właśnie. A poza tym nie pojedziesz sam.

Móri w zamyśleniu spoglądał na niebo. Potem dzielnie skinął kilkakrotnie głową. Powoli, ale stanowczo.

- Dziękuję - powiedział. - Dziękuję wam wszystkim!

O, pomyślała Miranda desperacko, ja muszę z nimi polecieć! Muszę!

8

Marco wyjechał z Natanielem i Ellen, miał u nich mieszkać, oczekując na islandzką wyprawę, a dziewczęta tęskniły strasznie za swoim nowym przyjacielem. Bodil też go brakowało, ale z innych powodów. Chociaż w gruncie rzeczy była wdzięczna, iż nie musi bezustannie wymyślać jakichś tłumaczeń dla swoich przyjaciółek, mogła im po prostu powiedzieć, że jej pokorny wielbiciel Marco wyjechał w interesach i bardzo tęskni, by jak najszybciej do niej wrócić.

Móri również miał mieszkać u Nataniela, bo było tam więcej miejsca. Zanim jednak opuścili dom Gabriela, odbyła się narada. Nikt nie potrafił oprzeć się rozpaczliwie błagalnym oczom Mirandy i Móri powiedział:

- To może być niewiarygodnie męcząca podróż. Nie masz nawet o tym pojęcia. Islandia to nie Norwegia, nie zbudowano tam sieci dróg, przecinających kraj wzdłuż i wszerz, a poza tym nie wiemy przecież, którądy podróżował Dolg. Uważam jednak, że mała Miranda dała dowody odwagi, pomogła nam wiele i zasłużyła sobie, by zobaczyć mój piękny kraj, o którym zawsze marzyła.

Gdyby Móri nie był taki surowy i nie miał tak porażającego autorytetu, Miranda rzuciłaby mu się na szyję. Wszyscy pozostali zgadzali się co do tego, że Miranda powinna pojechać. A Indra?

- Nie będzie tam żadnych wygodnych łóżek z jedwabną pościelą - śmiał się Móri do starszej z sióstr, która próbowała przybrać obojętny wyraz twarzy, ale jej się to nie udawało. - I żadnych komfortowych pojazdów. Pewnie będzie trzeba nawet chodzić od czasu do czasu piechotą. Czy myślisz, że sobie poradzisz?

- Naprawdę nie będziecie mieli jakichś skrzyń czy czegoś podobnego, żebyśmy mogła przynajmniej usiąść? - pytała żartobliwie.

- Na Islandii są co prawda koniki islandzkie, ale nie wszędzie.

Udawała, że się zastanawia. Wszyscy jednak wiedzieli, jak jest naprawdę.

- Niech będzie - rzekła w końcu. - Człowiek może się przecież czasami poświęcić.

Uśmiechali się do niej. Wiedzieli znakomicie, że oddałyby wszystko za możliwość wyjazdu, musiała jednak za wszelką cenę zachować swój image.

W końcu goście wyjechali i dom zrobił się pusty, okropnie pusty.

To Gabriel załatwiał wszystkie sprawy, związane z podróżą, bilety lotnicze oraz przewodnika na Islandii. Polecono mu jednego z najlepszych znawców islandzkich pustkowi, który posiadał samochód, mogący dotrzeć niemal wszędzie. Dolg był sam wtedy w osiemnastym wieku, teraz jednak są sposoby, by dojechać szybciej i łatwiej, gdzie się chce, na wielkich, pustych terenach wulkanicznych, pokrytych lawą. Jeśli się to okaże niezbędne.

Nie należało przecież czynić podróży trudniejszą, niż i tak będzie.

Ponieważ ruch turystyczny na Islandii bardzo się w ostatnich latach wzmógł, musieli czekać kilka dni na miejsca w samolocie, w końcu jednak stanęli na Fornebu, gotowi do drogi. Dziewczęta były zachwycone, podniecone i szczęśliwe z ponownego spotkania z rodziną. Marco okazał się jeszcze przystojniejszy, niż go zapamiętały, Móri nabrał ciała i wyglądał na zadowolonego. Ale napięcie i lęk o Dolga można było nadal wyczytać w jego oczach.

I Ellen, i Nataniel mieli również jechać. Dziewczęta przyjęły wiadomość z radością, dodawało to im poczucia bezpieczeństwa. Ellen i Nataniel zawsze, nawet w najtrudniejszych sytuacjach, potrafią zachować równowagę.

Tylko Gabriel był dziwnie nerwowy. Wciąż spoglądał to na zegarek, to w stronę wyjścia.

- Czekamy jeszcze na kogoś - odparł na zadane mu pytanie.

- Jeszcze na kogoś?

- Tak, ja... No, Bogu dzięki, przyszła!

Spojrzeli w tę samą stronę co on i zmartwieli.

- Nie, ależ, tato! - wybuchnęły Indra i Miranda jedna przez drugą. - Jak mogłeś?

Ze strony innych też rozległy się przyciszone protesty i jęki zgrozy. Gabriel zaczął się czuć nieswojo.

Ku nim zbliżała się Bodil z dwiema ogromnymi walizami i piękną torbą. Pchała bagaż przed sobą na wózku, a za nią spieszyły dwie przyjaciółki. Już z daleka machała ręką na powitanie.

- Hej, Marco, oto jestem!

- A więc to dlatego w ostatnich dniach chodziła z dumną miną kota, który właśnie pożarł tłustego szczura - syknęła Indra przez zęby.

- Indra - szepnął Gabriel urażony. - Czy ty musisz przez cały czas być złośliwa dla tego biednego dziecka? Ona tak bardzo prosiła, by mogła z nami pojechać, bo za nic nie chciała zostać sama w domu, a ja pomyślałem, że przecież to nic nie szkodzi, będziemy po prostu mieć miłe towarzystwo.

Móri pobladł przygnębiony, Ellen była wściekła, twarz Marca natomiast pozbawiona wyrazu.

Nataniel powiedział:

- Myślę, że palnąłeś kolosalne głupstwo, Gabrielu.

- Ale przecież Bodil nie będzie nikomu przeszkadzać!

Intensywna niechęć towarzyszy podróży mówiła mu, że za tym coś się musi kryć. Bodil dla niego była zawsze taka miła, natomiast dziewczęta wciąż się na nią skarżą. Jak sądził, całkiem bez powodu. Ale dlaczego zawołała: „Marco, oto jestem”?

Czuł, że zaczyna go ssać w dołku. Bodil zbliżyła się do nich i zdążyła już demonstracyjnie uściskać Marca. Szczebotała, powtarzając wszystkim, jak bardzo się cieszy, że zobaczy Reykjavik, w którym podobno jest największa w Europie dyskoteka, i że kupiła już sobie mnóstwo eleganckich ubrań za pieniądze, które udało jej się wydobyć od ojca. Indra i Miranda starały się na nią nie patrzeć.

- W takim razie proponuję, byś została w Reykjaviku - burknęła Indra.

Bodil spojrzała na Marca.

- A ty? Ty też zostaniesz w Reykjaviku?

- Nie, co ja bym tam robił? - zapytał krótko. - Ja nie chodzę do dyskotek.

Promienny uśmiech Bodil nieco zbladł. Zaraz jednak uwiesiła się ramienia Marca.

- Chodź, pozwól, że cię przedstawię moim przyjaciółkom...

Uprzejmie, ale stanowczo uwolnił się od niej.

- Nie mamy już czasu. Chodź, Indro, pozwól mi wziąć twoją walizkę! A ty, Mirando, przesuń swoją do przodu!

- A tutaj są moje - wskazała Bodil.

Marco wziął je i bez słowa popchnął na przód kolejki. Bodil wisiała na jego ramieniu niczym przyklejona i machała przyjaciółkom stojącym nieco dalej.

Gabriel nie pojmował niczego. Jednak przykra myśl drażyła jego podświadomość. Bodil przed podróżą upierała się, by nie mówił nikomu, że ona ma z nimi jechać. To będzie niespodzianka, wyjaśniała. I on uwierzył jej słowom, wyobrażał sobie, jak ich ucieszy ta wiadomość. Bodil to przecież taka sympatyczna dziewczyna. Teraz Gabriel nie wiedział, jak to rozumieć. Czy ona miała swoje powody, by milczeć? Nie, to przecież niemożliwe. Ale tu na lotnisku ledwie się z nim przywitała. Mimo że to on wyłożył pieniądze na bilet i pomagał jej na wszystkie sposoby. Uff, niezbyt to przyjemny start do takiej pełnej napięcia i niespodzianek wyprawy!

Kiedy Bodil poufale wsunęła rękę pod ramię Marca, rzucając triumfalne spojrzenia swoim przyjaciółkom, Ellen uznała, że to się musi skończyć. Zdecydowanym krokiem podeszła do tamtych dziewcząt i powiedziała im kilka słów, po czym one, zaskoczone i zdumione, odwróciły się i pobięły do wyjścia.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała Bodil wyniosłym tonem, kiedy Ellen wróciła.

- Powiedziałam im po prostu prawdę - odparła Ellen ze złością. - Że Marco nie jest twoim wielbicielem i nie chce nim być, a one powinny stąd odejść, są bowiem zbyt dużo warte, by jakaś gęś im imponowała.

Bodil zrobiła się czerwona na twarzy.

- Nic nie wiesz na ten temat! Pozwól, żeby Marco sam się wypowiedział. On się z pewnością lepiej orientuje niż ty!

Ale Marco był już daleko i nie mógł pospieszyć jej z odsieczą. Jaka szkoda, - opowiedział by tej głupiej babie o swoim nieustannie pogłębiającym się uczuciu do Bodil.

W samolocie próbowała zamienić się miejscami z Mórím, który siedział obok Marca, tłumaczyła, że na jej miejscu okropnie wieje. By ją drażnić, Marco zerwał się uprzejmie i oznajmił, że w takim razie może zająć jego fotel. Zanim pojęła, co się stało, siedziała obok Móriego, natomiast siostry cieszyły się towarzystwem Marca. I Bodil nie mogła zrobić nic więcej. O zgrozo!

Nie lepiej było na lotnisku w Keflavik.

Wiał tam przenikliwy wiatr znad morza. Bodil dygotała w swoim cieniutkim letnim kostiumie.

- Czy mógłbyś mi pożyczyć swoją wielką kurtkę, Marco? - zaświergotała. - Znajdzie się w niej pewnie dość miejsca dla kogoś tak niedużego jak ja.

- Nie masz ze sobą żadnej wiatrówki? - zapytał Nataniel.

Bodil skrzywiła nos.

- Wiatrówki? Nie! Nigdy w życiu nie pokazałabym się w czymś tak beznadziejnym. Indra, może ty mi pożyczysz swój płaszcz od deszczu?

- Nic podobnego - odparła stanowczo Indra, którą cieszył widok zakłopotanej Bodil.

Gabriel zdziwił się:

- Ależ, Bodil, czy nie dałem ci listy rzeczy, które będą ci tutaj potrzebne?

- Owszem, ale wszystko na tej liście było okropnie beznadziejne! Stare, znoszone rzeczy, grube swetry, same niezdarne ubrania, solidne buty i... Ja przecież nigdy nie noszę butów na płaskich obcasach, to chyba rozumiecie. Poza tym przecież zaraz pojedziemy samochodem? Do hotelu.

- Do jakiego hotelu? - warknęła Indra.

Bodil straciła poczucie humoru.

- Tam gdzie mamy mieszkać, oczywiście! Daj mi swój deszczowy płaszcz, Indra, nie wygłupiaj się!

- Dlaczego chcesz włożyć mój płaszcz od deszczu?

- Dlatego, że to jedyne ubranie, jako tako się prezentujące. Oddam ci go z powrotem w hotelu.

- Bodil, wbij sobie nareszcie do głowy, gdzie jesteś - rozgniewała się Miranda - Nie będziemy mieszkać w żadnym hotelu w Reykjaviku. Natychmiast stąd ruszamy dalej.

- Dalej, dokąd?

Miranda odwróciła się do Gabriela.

- Tato, ty nie powiedziałaś swojej ulubionej towarzysze podróży, że wybieramy się na pustkowia?

- Oczywiście. Przecież ci mówiłem, Bodil. - Zwrócił się do pozostałych, uśmiechał się bliski rozpacz, bo naprawdę zaczynał już tracić cierpliwość. - Czy żadna z dziewcząt nie ma porządnych ubrań, by pożyczyć Bodil?

- Nie - odpowiedziały unisono wszystkie panie, a za nimi również kilku panów.

Miranda i Móri nie słuchali już dłużej. Odeszli kilka kroków na bok, bo wciąż jeszcze musieli czekać na samochód.

- To tylko lotnisko - rzekła Miranda zachwycona. - Ale już tu jest coś niezwykłego w krajobrazie, to wysokie niebo, czyste powietrze, atmosfera, coś, co chwyta człowieka za serce. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Móri patrzył na nią, a jego oczy promieniały radością.

- Czy cię rozumiem! Od razu wiedziałem, że będziesz się tutaj czuła jak w domu, Mirando.

- Tak, tak to jest - potwierdziła. - To niezwykle, surowe piękno...

- A przecież, jak sama mówisz, widziałas dopiero lotnisko - uśmiechnął się. - Poczekaj, aż znajdziemy się w głębi kraju. Zobaczysz fiordy... No, wszystkiego nie zdążymy obejrzeć, nie jesteśmy przecież turystami. Ale naprawdę chciałem pokazać ci mój kraj, Mirando. Teraz jednak chyba nas wołają.

Bodil była oczywiście znacznie mniej zachwycona. Niecierpliwie machała do Marca.

- Pożycz mi kurtkę, prosiłam cię już, okropnie marzną!

- No i to rozstrzyga sprawę - oznajmił Nataniel zdecydowanym tonem. - Zostaniesz w Reykjavíku, Bodil. Nie chcemy ciągnąć za sobą takiego balastu.

- Chyba nie jestem żadnym balastem - syknęła Bodil.

- Owszem, i to dosyć ciężkim - wtrąciła Indra. - Ale oto zdaje się i nasz jeep.

Kiedy Bodil zobaczyła wielkiego, terenowego jeepa na wysokich kołach, wykrzyknęła:

- Autobus? Chyba nie pojedziemy autobusem?

I tym samym wygłupiała się również bardzo wobec Addiego, szofera, niezwykle dumnego ze swego specjalnie skonstruowanego forda Econoline, z napędem na cztery koła, o mocy dwustu pięćdziesięciu koni i pojemności silnika siedem i trzy dziesiąte litra. Oraz z trzema skrzyniami biegów, dodatkowym bakiem na benzynę, specjalnym systemem nawigacyjnym, doskonale wyposażoną stacją radiową, posiadającą zarówno odbiornik, jak i nadajnik na falach ultrakrótkich, połączenia z krajowymi służbami ratowniczymi i tak dalej. Po prostu superjeep.

I ten klejnot Bodil odważyła się nazwać autobusem!

Miranda starała się policzyć anteny na dachu.

- Co najmniej dziesięć - rzekła z podziwem.
- Chyba trochę przesadziłaś - uśmiechnął się Marco. - Ale rzeczywiście jest ich mnóstwo.
- Stoi tutaj kilka jeepów - powiedziała Miranda. - Żaden jednak nie dorównuje naszemu.
- Przypominasz mi pewnego chłopca z mleczarni, którego znałem w dzieciństwie - uśmiechnął się Nataniel. - On oceniał zamożność chłopów po liczbie baniek z mlekiem wystawianych każdego ranka przy drodze. Mniej niż trzy oznaczały biedę.
- Co prawda nie rozumiem zbyt wiele z najnowszej techniki - wtrącił Móri. - Ale jedną rzecz wiem na pewno: Ktoś, kto zabłądzi na islandzkich pustkowiach, jest zgubiony.
- Tak - przyznał Nataniel. - I stąd ten system nawigacyjny.

Kiedy już wszyscy przywitali się z kierowcą i przewodnikiem podróży, Nataniel oświadczył:

- Ta młoda dama nie jedzie z nami. Ona zostanie w Reykjavíku.
- Nic podobnego! - zawołała Bodil oburzona.

Addi popatrzył na nią taksująco.

- Jest jedna osoba więcej, niż się umawialiśmy. W samochodzie będzie zbyt ciasno.

Tym samym rozwiązał problem. Dla Bodil nie ma miejsca.

- Widzę, że jesteś wściekła - zauważyła Indra. - Nie wiem, dlaczego wzięłaś moją torbę.

Bodil odrzuciła torbę z powrotem i chwyciła swoją.

Addi zawołał znajomego kierowcę innego jeepa, poprosił, by odwiózł Bodil do Reykjavíku i ulokował ją w jakimś dobrym hotelu.

Protesty dziewczyny na nic się zdały. Ani jej prośba skierowana najpierw do Marca, a potem do Gabriela.

Odpowiedzi brzmiały: „W tym ubraniu zamarzniesz na śmierć”. „Nie ma, niestety, miejsca w samochodzie”. Z wściekłością zwróciła się do Addiego:

- Mógłbyś wziąć większy samochód!
- Może autobus? - zapytał cierpko.

Kolega ruszył w drogę. Wszyscy widzieli, jak Bodil protestuje.

- Zegnaj, Bodil - pomachał jej Nataniel.

- Chwała Bogu, że odjechała - mruknęła Ellen.

Ułożyli swoje torby w bagażniku i wsiedli do samochodu. Stopień był bardzo wysoki. Ktoś powiedział ze śmiechem: „Wyobraźcie sobie te obciste spódnice Bodil tutaj. To prawdziwa katastrofa!”

- Ale przecież miejsca jest dość - zauważyła Ellen zdumiona.

- Zmieściłyby się swobodnie co najmniej dwie osoby, a w razie konieczności nawet trzy - odparł Addi niewzruszony. Nie zapomniał lekceważących słów na temat swojego wspaniałego samochodu. Pamiętał też intensywną niechęć innych pasażerów wobec tej niepospolicie urodziwej panienki na wysokich obcasach. Woził już przedtem tak zwane kobiety fatalne i był umiarkowanie zachwycony miłosnymi intrygami oraz flirtami na tylnych siedzeniach.

Samochód opuścił Keflavik i ruszył na spotkanie przygody.

Pasażerowie cieszyli się. Tylko Gabriel miał wyrzuty sumienia, uważał, że zdradził Bodil. Z drugiej jednak strony, ona przecież podczas całej podróży kompletnie go ignorowała, pominąwszy te momenty, w których potrzebowała jego pomocy.

Już się właściwie zaczął domyślać powodów wrogości swoich córek wobec sublokatorki.

Kim ja jestem? Starszym panem, którego łatwo oszukać? Ta świadomość bardzo go bolała. Obecność Bodil w domu stanowiła przecież jasny punkt w jego samotnym życiu. Tak miło było na nią popatrzeć. Zawsze sprawiała wrażenie pogodnej i chętnie z nim rozmawiała. Chętnie też pożyczala trochę pieniędzy, prosiła o radę...

Co on sobie, u licha, wyobrażał?

Na razie jeszcze nic. Mało brakowało jednak, a byłby wpadł w okropnie banalną pułapkę. Zakochać się w dwudziestolatce! On, mężczyzna czterdziestosiedmioletni!

Trochę się też cieszył z tego, że zabrał ją w tę podróż. Pozwoliło mu to otworzyć oczy na całą sprawę. W przeciwnym razie siedziałby pewnie tutaj w samochodzie przemierzającym islandzkie pustkowia i tęsknił do domu. Do Bodil.

Mimo wszystko miał nadzieję, że dziewczyna będzie się w Reykjavíku dobrze bawić. Gabriel był bowiem bardzo życzliwym i sympatycznym człowiekiem.

Móri siedział na przedzie i przeżywał spotkanie z dawno nie widzianą ojczyzną. Być tu znowu, oglądać raz jeszcze te krajobrazy! Czuć czyste, bardzo rześkie powietrze nad pokrytymi lawą obszarami po obu stronach drogi. Jak to Indra powiedziała: „Jaki wulkan

wypluł lawę, z której powstał ten cypel?” Biała mgielka nad czymś, co Addi nazywa Blue Lagoon. Nowe nazwy starych źródeł. Bodil również mówiła w samolocie, że zabrała kostium bikini, by kąpać się w Blue Lagoon. „Bo to przecież robią wszyscy turyści”. Bodil miała irytujący zwyczaj wymawiania z naciskiem różnych słów. Siedzenie obok niej w samolocie nie należało do przyjemności. Bezsensowna paplanina na własny temat, aż rozboleły go uszy i twarz zeszytywniała od nieustannego uprzejmego uśmiechu. Ponieważ nie otrzymywała właściwych, pełnych podziwu odpowiedzi, zrobiła się zła i w końcu umilkła. I tak było najlepiej.

Widział z powietrza Vatnajökull. Oszalaniające przeżycie, jaki ten lodowiec potwornie wielki! Wszystkie budynki, które mijali teraz, należały do nowszych czasów. Móri tęsknił za owymi małymi domkami, zbudowanymi z kamieni i ziemi, pokrytymi torfem, które wznoszono za jego życia na Islandii. Znowu dostał skurczu serca z żalu za wszystkim, co utracił - nie tylko rodzinę i bliskich, lecz także czas i środowisko, które pamiętał, a którego już nie ma.

- Spójrzcie na te wieże, jak zrobione z cukru! - zawołała Miranda.

- To huta aluminium - wyjaśnił Addi.

Pokryta lawą ziemia na półwyspie Reykjanes została ciasno zabudowana.

- Czy to już Reykjavik? - zapytał Móri zaskoczony.

- Ależ nie. Jeszcze nie Reykjavik. To podmiejskie osiedla.

- Nie rozpoznaję niczego - westchnął. - Reykjavik to kiedyś było kilkadziesiąt domów wokół kościoła. A tych osad w ogóle nic nawet nie zapowiadało. Ale zbliżamy się do Reykjaviku, poznaję to po górach o spłaszczonych szczytach.

- To wulkany - wyjaśnił Nataniel. - Czytałem o nich. Wybuchwały w okresie lodowcowym pod czapami lodu, dlatego zrobiły się takie płaskie.

Addi pokazał im górę Essja, a daleko na północy we mgle znad morza majaczyła im Snäfellsnes.

- Aha - zawołała Miranda. - Pojedziemy tam?

- Nie - zaprotestował Móri. - Musimy podążać tą samą drogą, co Dolg.

Addi zapytał, kim był Dolg.

Móri odpowiedział ostrożnie:

- Pewien młody chłopak, który zaginął w osiemnastym wieku. Próbuje odnaleźć jakieś jego ślady i w ogóle dowiedzieć się, czy przyjechał na Islandię.

Nie wspomniał, że mówi o swoim synu. To by było zbyt trudne do wytłumaczenia.

Dyskutowali, w jakim punkcie powinni zacząć poszukiwania, gdy Nataniel zawołał:

- Nie, stop, stop! Czy zdajecie sobie sprawę, że mówicie po islandzku?

Nie uświadamiali sobie tego. Inni jednak upierali się, że też chcieliby uczestniczyć w planowaniu.

- Wybaczcie - uśmiechnął się Móri. - Tak przyjemnie było posługiwać się znowu ojczystym językiem, że po prostu się zapomniałem. Wytłumaczyłem naszemu kierowcy, że Dolg musiał przybyć do kraju od wschodu, a on się ze mną zgodził. Statki ze wschodu docierają do Islandii w Seydhisfjörður.

- I nie ma problemu z dostaniem się tam - dodał Addi. - Pojedziemy drogą przez Sprengisandur i dotrzemy do Egilsstadir. Stamtąd wprost do Seydhisfjörður.

Znowu Sprengisandur. Móriemu na przemian robiło się zimno i gorąco. Ostatni raz, kiedy jechał przez Islandię, udało mu się częściowo uniknąć tej przeklętej drogi śmierci. Poruszał się nieco dalej na południe. Teraz, niestety, będzie musiał tamtędy przejechać. Nie mógł przecież sprawiać kłopotów tym wszystkim sympatycznym ludziom, którzy nie znali powodu jego lęku i niechęci.

- Rzeczywiście można przejechać samochodem przez Sprengisandur? - zapytał nieśmiało.

- Jasne - odparł Addi. - To najprostsza droga.

- A ile czasu nam to zabierze?

- Kilka godzin. Wszystko będzie zależało od stanu rzek. Musimy je przekraczać. Jeśli nadal panuje wysoka wiosenna woda, to każda przeprawa może potrwać. Ale i tak przenocujemy w Versalir, jedynej tamtejszej stacji turystycznej.

Móri skulił się na siedzeniu. Jeszcze na domiar złego nocować?

Sprengisandur... W pewną jasną noc, nieskończenie dawno temu... Trzynastoletni wówczas Móri był w drodze do Thingvellir, gdzie wraz ze swoją matką i starym czarnoksiężnikiem Gissurem miał zostać skazany na śmierć za czary... Bezmyślne eksperymenty Móriego z magią i czarodziejskimi runami kosztowały tamtych dwoje życie. Poświęcili się dla niego, by on, młody, mógł uciec i uratować głowę.

Nigdy tego nie zapomniał. A teraz znowu znajduje się w tej okolicy.

9

Móri nawet nie wiedział, że minęli Gjáin, dolinę elfów, w odległości zaledwie paru kilometrów. Wszystko się tutaj bardzo zmieniło od jego czasów, droga wiodła „po niewłaściwej” stronie Búrfell. Za to, że Móri nie rozpoznawał okolicy, sporą winę ponosiła również Hekla. Wielokrotne wybuchy wulkanu pokryły dolinę lawą i spowodowały zmiany w krajobrazie. Inne wulkany także zrobiły swoje. Jak na przykład Lakagígar, długi łańcuch kraterów, których wybuch Móri niegdyś przewidział. Straszny Lakagígar zmienił znaczne połacie Islandii w pustynię, Najważniejsze było jednak to, że Móri nigdy nie przejeżdżał po tej stronie Búrfell i że Addi, który poza tym był znakomitym przyrodnikiem i potrafił opowiadać niezwykle historie, nie pomyślał, by wymienić takie nazwy, jak Gjáin i Stöng, zagrody pogrzebane podczas wybuchu Hekli w roku 1104. Jego pasażerowie nigdy tych okolic nie odwiedzali, w związku z czym większość nazw niewiele im mówiła. Tak jak Thingvellir, Geysir i Skálhok. A także Stöng i Gjáin.

No właśnie, pasażerowie. Kilku z nich sprawiało niezwykle wrażenie. Na przykład ten niewiarygodnie urodziwy młody człowiek, ale najbardziej chyba mężczyzna siedzący na przednim siedzeniu obok kierowcy. Addi nie mógł zrozumieć, co go tak w tym człowieku dziwi i niepokoi. Wiedział wiele o Islandii, wyglądało jednak na to, że nie był tu od bardzo, bardzo wielu lat. Posługiwał się starodawnym językiem i w ogóle był dość milczący. Ktoś z pozostałych wspominał raz czy drugi coś w rodzaju „odnaleźć twojego syna”? O co im chodzi? Przedtem mówili, że szukają śladów jakiegoś młodzieńca, który zaginął w osiemnastym wieku. Tu musiało więc chodzić o kogoś innego.

Kim właściwie jest ten człowiek, którego nazywają Móri? Móri to przecież określenie pochodzące ze świata islandzkich sag, a oznaczające pewien typ upiora. I rzeczywiście, w tym wysokim, przystojnym mężczyźnie było coś magicznego. Jego czarne włosy i roziskrzona oczy... Wyglądał jak... Wyglądał, jakby go dręczył straszny niepokój. I chociaż skórę miał brązową, ładnie opaloną, a ciało zwinne, robił wrażenie chorego. A może naprawdę jest chory?

Addi umiał jednak zachować dyskrecję. Nigdy nie pytał swoich pasażerów o ich prywatne życie.

Poza tym cała grupa okazała się bardzo sympatyczna, zwłaszcza kiedy pozbyli się w Keflavíku tej nadętej ślicznotki. Pomyśleć, że ona również brałaby udział w wyprawie! Addi zadrzał.

Telefon komórkowy dzwonił często. Niekiedy telefonowała żona Addiego, Anna, która miała mu do przekazania informacje, raz zadzwonił kolega, by dowiedzieć się, jak przebiega podróż, a raz także pracownik służby ratowniczej, w której Addi był jednym z

szefów. Na szczęście chodziło tylko o radę, Addi zaś cieszył się, że się nic nie stało i nie musi przerywać tej skądinąd interesującej podróży.

W końcu doszło też do bardzo nieprzyjemnej rozmowy. Ojciec Bodil chciał mówić z Gabrielem, który siedział jednak na ostatnim siedzeniu, więc Nataniel, znajdujący się blisko Addiego, wziął słuchawkę. I usłyszał potok przekleństw i wymyślań. Jak oni mogli zostawić własnemu losowi jego nieszczęsną córkę w takiej dziurze jak Reykjavik, gdzie ona nikogo nie zna, a na miejsce w samolocie do domu trzeba czekać cały tydzień!

Nataniel cieszył się, że to na niego spadła najgorsza złość, a nie na sympatycznego Gabriela. Wyjaśnił krótko, że nikt nie zapraszał Bodil do wyjazdu, i że przejechała tu z własnej inicjatywy, bez odpowiedniego ubrania, a poza tym w samochodzie nie było dla niej miejsca. Wreszcie dodał, że pomiędzy nią a pozostałymi pasażerami panowała nieprzyjemna atmosfera.

Ojciec Bodil przemawiał lodowatym tonem. „Niech się nikt nie waży naruszać dobrego imienia i opinii mojej córki! Bodil nigdy nie popełnia błędów. Chcę natychmiast rozmawiać z Gabrielem!”

„Gabriel, niestety, jest w tej chwili nieosiągalny, ale wszystko mu powtórzę” - zapewnił Nataniel.

„Nigdy nie powinienem był pozwolić mojej wspaniałej córce mieszkać u Gabriela, zniszcza ją tam, to takie wrażliwe dziecko. Ciotka mojej żony nie powinna była wiązać się małżeństwem z tym okropnym rodem, z tymi jakimiś Ludźmi Lodu. I że Gabriel zdecydował się ciągnąć biedne dziecko ze sobą w jakąś straszną podróż...”

„Powinien pan ją zatrzymać, zamiast wyposażać ją w wielkie sumy pieniędzy na luksusowe ubrania, które tutaj do niczego się nie nadają. Byłoby nieodpowiedzialnością z naszej strony zabierać ją na pustkowia...”

„Bodil nie dostała ode mnie żadnych pieniędzy!” - ryknął farmer tak głośno, że Nataniel musiał odsunąć słuchawkę od ucha. - „Ona nawet nie miała czasu, żeby poinformować rodziców o tej głupiej wyprawie. Dlaczego została zaciągnięta na zapomnianą przez Boga i ludzi Islandię w czasie, kiedy mogła być u nas w domu albo cieszyć się słońcem Południa?”

I tak dalej. Nataniel był mocno zirytowany, kiedy nareszcie mógł odłożyć słuchawkę, wysłuchawszy gróźb o policji i innych plagach.

Zreferował rozmowę towarzyszom podróży.

- Powiedzcie mi, dziewczęta - rzekł na koniec. - Czy on swoje pozostałe dzieci też tak ubóstwia?

- Absolutnie nie. Tamtych dwoje ledwie zauważyła.

- A jego żona? Kuzynka Gro.

- No, to jest tak zwana elegancka pani. Podziwia swojego dynamicznego męża i pokazuje przyjaciółkom wszystko, co on jej kupuje, żeby wzbudzić zazdrość. I wielbi swoją piękną córkę ponad wszelkie granice. Czołga się przed nią, kiedy Bodil jest w domu, i czuje się gorsza od niej pod każdym względem.

- Czy to nie dziwne? - roześmiała się Ellen. - Bodil jest tego rodzaju osobą, która człowieka okropnie irytuje, ale o której się nie przestaje mówić, nawet kiedy jej już nie ma.

- No właśnie - wtórowała jej Indra. - Bo myślę, że to bardzo przyjemne móc się na kogoś irytować. Oj, zdaje się, że docieramy do Sprengisandur!

Wkrótce potem znaleźli się na drodze do rozległej kamiennej pustyni, na której pierwsi zdobywcy Księżyca trenowali przed wyprawą Apollo.

Tej sprawy z kosmonautami, zdobywcami Księżyca, i satelitami Móri nie rozumiał. Zdawał sobie sprawę, że w ostatnich stuleciach dokonał się nieprawdopodobny postęp techniczny, ale dla jego umysłu było tego zbyt wiele. Trzeba czasu, żeby wszystko do niego dotarło.

Kiedy jechali piaszczystym szlakiem i Móri patrzył na rozległe krajobrazy, szare i bezkresne, poczuł się bardzo źle. Siedzący na tylnych miejscach wzdychali raz po raz z zachwytem nad fantastycznym ogromem i urodą panoramy, ale oni zachwycali się wszystkim, co widzieli. Na przykład kamieniem elfów, który uszanowali budowniczowie drogi, poprowadzili ją wielkim łukiem wokół kamienia, gdzie zgodnie z ludowymi wierzeniami miały się w dawnych czasach ukazywać elfy. Początkowo próbowano usunąć głaz i położyć nawierzchnię zgodnie z planem. Kiedy jednak wszystkie maszyny psuły się w pobliżu miejsca elfów, budowniczowie się rozmyślili. Dzięki temu uzyskano jeszcze jedną atrakcję turystyczną, opowiadał Addi z lekką ironią. Miranda poprosiła, by się zatrzymał, i pobiegła do kamienia, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś szczególnego. Żadnego elfa nie zobaczyła, ale to nie odebrało jej wiary w ich istnienie.

Gdyby jeszcze do tej pory nie zdobyła serca Mórego, to z pewnością teraz by do tego doszło. Wytłumaczył jej, że wiele elfów również przekroczyło Wrota, tak bardzo rozczarowało je zachowanie ludzi.

Móri z trudem wytrzymał na przednim siedzeniu podczas jazdy przez Sprengisandur, więc zamienił się z Markiem. Wolał nie wzbudzać przykrych wspomnień. Inni jednak dostrzegali różnicowanie w monotonnym krajobrazie. Mimo to odetchnęli z ulgą, gdy w pewnej odległości zobaczyli Versalir i skręcili w prowadzący tam trakt.

Przewiany wiatrami hotel turystyczny i stacja benzynowa, Addi powiedział jednak, że Versalir to to samo słowo co Versailles.

- Tylko otoczenie inne - uśmiechnął się Gabriel. - Poza tym można się zastanawiać, która nazwa jest starsza. Versalir, co oznacza zmianę pogody, bardzo dobre określenie, jak na takie miejsce, czy też francuska nazwa Versailles, której znaczenia niestety nie znam. Mimo wszystko przyjemnie będzie wziąć prysznic. Jesteśmy w drodze od szóstej rano, kiedy to wyruszyliśmy z domu w Norwegii.

- I kiedy to Indra zdołała obudzić się sama - wtrąciła Miranda. - Niepojęte!

O żadnym luksusie w Versalir nie było mowy, ale też po co komu luksus? Dziewczęta dostały jeden pokój, Nataniel i Ellen drugi, a Gabriel, Marco i Móri zajęli trzeci. Addi załatwił wszystko zawczasu.

Móri nie mógł zasnąć. Słyszał wiatr od Sprengisandur, jak szarpie narożnikami domów i tajemniczo zawodzi. Ów wiatr przynosił ze sobą myśli i wspomnienia, obrazy z przeszłości, w końcu Móri wstał. Mimo że nienawidził kamiennej pustyni, jakaś wewnętrzna siła nakłoniła go do wyjścia. Panowało to samo przyćmione światło jak wtedy, gdy jako mały chłopiec jechał tędy pod strażą ludzi gubernatora. Teraz wszystko pogrążone było w ciszy, jeśli nie liczyć lodowatych porywów wiatru znad pustyni. Jakiś mniejszy jeep ukazał się na tle nieba. Ogromny superjeep Addiego stał przy stacji benzynowej. Parkowało tam już wiele pojazdów, kiedy przyjechali. Wszystkie z napędem na cztery koła.

To, czego Móri się ostatnio nauczył, a trzeba powiedzieć, że chłonał wiedzę o technicznych wynalazkach, sprawiało, że niekiedy zaczynało mu się mieszać w głowie. Będzie potrzebował wiele czasu, by nadrobić opóźnienia. Spojrzał na pustynię po tamtej stronie drogi. - Teraz też was widzę - szepnął. - Widzę wszystkich zmarłych, ludzi i zwierzęta, spoczywających na skraju drogi śmierci. Z tą tylko różnicą, że teraz jest was więcej. Sprengisandur nadal żąda ofiar. Myślę jednak, że dzisiaj nie, dzisiaj do niczego straszego nie dojdzie.

Móri nie chciał do końca przyznać, że zdążył pokochać ów fantastyczny pojazd Addiego, superjeep. Gdybyśmy już w osiemnastym wieku mogli taki posiadać, to z pewnością wykorzystalibyśmy szansę, myślał, by uspokoić sumienie i przekonać samego siebie, że nie zdradza swojej epoki.

Odszedł daleko od zabudowań, daleko od drogi, niepokój w sercu nie pozwalał mu jeszcze zawrócić. Szedł na pustkowia, które, co może dziwne, nie zostały pokryte lawą, ale zwyczajnymi, drobnymi kamykami i żwirem, tak po prostu. To zresztą zaskoczyło jego współpasażerów, którzy sądzą, że cała Islandia zrobiona jest z lawy.

Addi to dobry człowiek, myślał Móri. Arngrímur Hermannsson, spokojny człowiek koło pięćdziesiątki, barczysty i solidny jak sam islandzki interior, posiadający mnóstwo wiadomości na temat swojego kraju, skuteczny w działaniu, ale z rodzajem natchnienia w spojrzeniu. Świadczy ono, że jego wizje wykraczają daleko poza prowadzenie czterokołowego pojazdu, koszty i ceny. Jeździł po kraju nie tylko po to, by zarabiać pieniądze na turystach, chciał im również dać możliwie jak najwięcej, pokazać im swoją ojczyznę, nauczyć ich czegoś, co zapamiętają na dłużej. Posiadał niewyczerpany zasób wiadomości i historii do opowiadania. O wszystkim. O drzwiach samochodu, które wyrwał wiatr i poniósł na pustynię, o turystach, którzy mimo ostrzeżeń wyprawiają się do centrum kraju swoimi maleńkimi samochodzikami i których często znosi nurt jakiejś rzeki. Ostatnio przydarzyło się to Szwedom albo Niemcom, Addi już nie pamiętał, w każdym razie cudzoziemcy próbowali nakłonić go, by zjechał aż na krawędź strumienia lawy. Addi odmówił, ale turyści uparli się i wyruszyli tam sami. Nie zaszli daleko. Addi z samochodu widział, jak wycofują się tyłem, wyciągając z wysiłkiem nogi i podnosząc je wysoko przy każdym kroku. Kiedy wrócili do samochodu, przy butach nie mieli podeszew. Albo opowieść o człowieku, który otworzył portfel, by za coś zapłacić na pustkowiu. Bardzo się potem spóźnili, bo trzeba czasu, by pozbierać liczne banknoty na rozległych pustaciach.

Addi sam tracił tutaj samochody, skutery śnieżne i inne pojazdy, które topiły się w rzekach, zwłaszcza kiedy zimą wyruszał na akcję ratowniczą. On też należał do grupy, która odnalazła w lodach Grenlandii samolot zaginiony w czasie drugiej wojny światowej, a który leżał niesłuchanie głęboko w lodzie. Za pomocą instrumentów i logicznego myślenia Addi i jego ludzie już po wojnie rozwiązali zagadkę generalskiego sztabu aliantów.

O pracy w służbach ratowniczych mówił niewiele. Wspominał tylko o dramatycznych, zabawnych albo szczęśliwych epizodach. Poza tym temat był zdaje się zbyt delikatny.

Na Sprengisandur spotkali paru rowerzystów. To cudzoziemcy, wyjaśnił Addi cierpko. Żaden Islandczyk nie wpadłby na coś tak głupiego.

Móri rozejrzał się wkoło. Zaszedł już zbyt daleko na pustynię, zabudowania stacji turystycznej majaczyły ledwie widoczne w mroku jak mała, ciemna plama w porośniętej wątlą trawą niewielkiej oazie, wokół tego miejsca odpoczynku wędrowców. Zawrócił i ruszył ku zabudowaniom ze wzrokiem wbitym w kamienisty grunt. Spotkanie z przeszłością było dla niego znakomitą terapią.

Terapia, jeszcze jedno nowe słowo, którego musiał się nauczyć.

Na chwilę opuścił go też lęk o los syna Dolga. Nie tylko jednak ten niepokój dręczył go od czasu, kiedy Marco zbudził go znowu do życia. Dojmująca była tęsknota za Tiril i za dwójkiem pozostałych dzieci, radosnych i trochę szalonych bliźniąt: Taran i Villemannem. Początkowo próbował się uspokajać myślą, że z pewnością jest im teraz dobrze, on zaś powinien się koncentrować na odnalezieniu Dolga. Jednak tęsknota za ukochanymi

stawiała się w miarę upływu czasu coraz trudniejsza do zniesienia. Tiril, wierna towarzyszka życia przez tyle lat, o Boże, jakżeż mu jej brakowało! Nero. Stary, dobry Nero, gdzie on się teraz znajduje? Żyje jeszcze czy...?

Straszna świadomość tego, że życie Dolga i Nera ma się skończyć dokładnie w tym samym momencie, wzbudzała lęk. Gdyby tylko wiedział, czy Nero żyje! Czy rodzina zdołała przeprowadzić psa na drugą stronę tajemniczych Wrót? O Boże, a jeśli musieli go uśmiercić? W takim razie życie Dolga też by się skończyło.

Ale Dolg jest przecież nieśmiertelny!

A może to nieprawda? Nie otrzymali przecież najmniejszego nawet znaku, że Dolg w dalszym ciągu znajduje się na Ziemi. Wprost przeciwnie. Marco, obdarzony niezwykleymi zdolnościami, nie zdołał wyczuć nigdzie jego obecności. Jego ślady urwały się w momencie, gdy wsiadł na kuter w Uddevalla w Szwecji dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Móri otrząsnął się ze złych myśli. Jeśli nie przestanie wciąż do tego wracać, może stracić rozum. Lepiej skoncentrować się na czysto praktycznych sprawach, na przykład na tym, jak dostać się do Seydhisfjörður. I dopiero tam zacząć się martwić.

Miranda spała źle. Coś jej przeszkadzało, rzucała się na łóżku gwałtownie, w końcu całkiem się obudziła.

Jakiś cieniutki, intensywny dźwięk rozlegał się tuż przy jej uchu.

Komar. O, do diabła, wieczorem otworzyła okno, ponieważ w pokoju, który zajmowała z Indrą, było duszno. No trudno, teraz musi zadbać, by do środka nie wleciało więcej komarów niż już jest. Czy ma je prosić, by zniknęły? Chyba tak prosto się tego nie załatwi.

Wstała i zamknęła okno. Zauważyła, że było teraz znacznie szerzej otwarte niż wieczorem. Wieczorem uchyliła je tylko leciutko i nawet podparła, by się za bardzo nie odsunęło. Teraz podpórka zniknęła. Prawdopodobnie sprawił to wiatr.

Noc na dworze była stosunkowo jasna, panował tego rodzaju półmrok, co to człowiek nie wie, czy jeszcze trwa noc, czy już brzask. Ze zdumieniem stwierdziła, że dopiero pierwsza po północy. Islandia leży jednak dużo bardziej na północ niż okolice, do których ona przywykła. Jakiś mężczyzna nadchodził od strony pustyni. Sądząc po wzroście i prostej sylwetce, mógł to być Móri, ale znajdował się zbyt daleko, by mieć zupełną pewność.

Nad Sprengisandur wiał wiatr, od czasu do czasu żałośnie zawodził. W oddali niczym zimny metal połyskiwały małe oczka wodne, krajobraz na otoczonej złą sławą Sprengisandur był bardziej pofałdowany, niż się tego spodziewała.

Wróciła do łóżka, uzbrojona w zwiniętą gazetę do walki z komarami. Miranda kochała wszystkie zwierzęta, nie była jednak całkiem pewna, czy swoim uczuciem obejmuje również komary, budzące po nocach i zostawiające na twarzy brzydkie, czerwone plamy.

Właśnie zaczęła ponownie zasypiać, gdy nagle znowu się ocknęła. Zdawała sobie sprawę, że jej oddech nabierał już sennej głębi i stał się rytmiczny, gdy wyrwał ją z półsnu jakiś hałas. Tym razem to nie komar, a jeśli już, to musiałby być ogromny.

Czy nie doznawała tego uczucia od dłuższego czasu? Uczucia, że w pokoju ktoś jest? Indra, to oczywiście, ale trzeba by wiele, by obudzić tego śpiocha. To coś innego. Ktoś inny...?

Firanki były zaciągnięte i w pokoju panowała ciemność. Kolejny komar usiadł na jej gołym ramieniu, ale nie miała teraz dla niego czasu. Leżała nieruchomo, starała się miarowo oddychać. Na szczęście twarz miała zwróconą w stronę pokoju. W przeciwnym razie mogłyby powstać problemy, a tak widziała bez przeszkód, co się dzieje.

Z cienia przy szafie wyłoniła się jakaś postać. Wysoki mężczyzna pochylił się nad jej bagażem.

Zanim zdołała pomyśleć, czy to mądre, czy głupie, krzyknęła:

- Co ty, do cholery, tu robisz?

Mężczyzna poderwał się na równe nogi, Mirandzie przez głowę przemknęła myśl: „Oto nadeszła nasza ostatnia chwila”, intruz jednak rzucił się do okna i wyskoczył. Dziewczyna, rzecz jasna, obudziła całą gospodę swoimi rozpaczliwymi krzykami, nawet Indra, oszołomiona, usiadła na łóżku. Miranda pobiegła do okna i wyrzała na zewnątrz, nieproszony gość zdołał tymczasem zniknąć za narożnikiem domu.

Powstał okropny harmider, kierowniczką była roztrzęsiona, wszyscy goście również, a w środku całego zamieszania Móri wrócił do domu. Nie, niczego nie zauważył. Nataniel i Addi oraz kilku innych mężczyzn przeczesywali dokładnie obejście i jeepy. Reszta szukała wewnątrz domu. Niełatwo jest przecież przepaść na tej pustyni tak, żeby nikt niczego nie zauważył, a przede wszystkim nie usłyszał. Samochody stały jednak na swoich miejscach... Wtedy Móri przypomniał sobie jeepa, którego widział w oddali na skraju drogi. Teraz go nie było.

- To żaden z naszych gości - zapewniała kierowniczka. - Jeep musiał tu przyjechać w nocy i zatrzymał się w znacznej odległości od zabudowań. Naprawdę niczego nie rozumiem, nigdy nie miewamy tu złodziei. Islandczycy to honorowy naród.

Ellen nie mogła opanować drżenia.

- Jesteś zbyt nieostrożna, Mirando. Przecież mogłaś zostać zamordowana!

- Chyba nie - zaprotestował Addi. - Przede wszystkim Islandczycy są uczciwym narodem, po drugie zaś w pokoju były dwie dziewczyny, napastnik nie mógł więc ryzykować, że druga narobi wrzasku w pogrążonym w ciszy domu, w którym mieszka tylu ludzi. Po trzecie, morderstwo to poważniejsza sprawa niż kradzież, a jak powiedzieliśmy, trudno się stąd wymknąć niezauważonym.

- To brzmi przekonująco. Czy mogłabyś opisać tego mężczyznę, Mirando? - zapytał Nataniel.

- Chyba niezbyt dokładnie, w pokoju było ciemno. Mignęła mi jednak wyraźnie jego sylwetka, kiedy wyskakiwał przez okno. Miał krótkie, kędzierzawe blond włosy i był dość wysoki. Twarzy nie widziałam, nic więcej nie mogę powiedzieć.

- A ubranie?

- Miał na sobie coś ciemnego. Trudno rozróżnić takie szczegóły. Pewne jest tylko, że wszedł do pokoju przez okno.

- Miał pecha, że trafił akurat do was - roześmiał się Gabriel. - Przecież nie macie w swoich bagażach niczego cennego.

Kierowniczka zadzwoniła na policję i poinformowała o wydarzeniach, po czym wszyscy wrócili do łóżek. Dyżurny oficer obiecał postawić patrol przy moście koło Sigalda, elektrowni, którą mijali jadąc do Sprengisandur. Istniało jednak wiele bocznych dróg, poza tym jeep mógł odjechać na północ przez pustynię. Dla pewności ostrzeżono też drugą stację turystyczną w Nýidalur.

Wciąż rozdygotane dziewczyny próbowały ponownie zasnąć, choć zdawały sobie sprawę, że potrzeba na to czasu. Nataniel i Ellen wrócili do siebie. Ona usiadła na krawędzi łóżka, by zdjąć ranne pantofle. W jej ruchach było coś ociężałego, jakaś przykra powolność.

Nataniel wiedział bardzo dobrze, co ją trapi. On też borykał się z tym samym problemem. Mieli dwoje dzieci i oboje właściwie utracili. Córka przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych, wyszła tam za męża, dzieci nie miała i nie zamierzała wrócić do Norwegii. Ona i jej mąż robili kariery w biznesie. Córka nie pokazała się u rodziców już od ośmiu lat mimo ich nieustannych zaproszeń. Ellen i Nataniel wielokrotnie sami chcieli pojechać z wizytą do Kalifornii, zawsze jednak spotykali się z odmową. Akurat teraz bardzo mi to nie pasuje, odpisywała niezmiennie córka.

Nataniel wiedział, dlaczego. Córka mianowicie opowiedziała swemu mężowi co nieco o Ludziach Lodu, a on oznajmił, że „żadni szarlatani ani inne hokus-pokus nie przekroczą jego progu”. Należał do pewnej chrześcijańskiej sekty fundamentalistycznej. Rygorysta, człowiek bardzo lubiący pieniądze.

Gdyby córka była nieszczęśliwa, Ellen i Nataniel działaliby bardziej zdecydowanie, ale nic takiego nie wynikało z jej rzadkich listów i jeszcze bardziej sporadycznych telefonicznych rozmów. Najwyraźniej zerwała ze swoim norweskim życiem, Ellen zaś była kobietą łagodną i nie chciała się mieszać do nie swoich spraw. Ale cierpiała nieustannie.

Sprawy syna ułożyły się tragicznie. Jeszcze w czasie studiów ożenił się ze swoją koleżanką. Przez pierwsze lata wiodło im się świetnie, urodziła się córeczka, która teraz ma dwanaście lat. Potem jednak w małżeństwie zaczęło się coś psuć. Rodzice nigdy się nie dowiedzieli, jak do tego doszło, ale było źle już w czasie, kiedy dziewczynka miała trzy latka. I wtedy wydarzyła się straszna tragedia. Dziecko wylało na siebie wazę wrzącej zupy, strasznie poparzyło sobie buzię i jedną rączkę.

Wina spadła na syna Ellen, ponieważ to on miał się wtedy opiekować małą. Żona opuściła go i zabroniła mu kontaktów z córką. Dziadkowie dziewczynki, Ellen i Nataniel, też nie widywali swojej jedynej wnuczki. Wszystko prezenty i listy otrzymywali z powrotem. Liczne operacje plastyczne, przez które dziewczynka musiała przejść, nie zdołały przywrócić jej buzi normalnego wyglądu.

Cztery lata później syn Nataniela i Ellen odebrał sobie życie.

To oczywiste, że rodzinne zmartwienia kładły się ogromnym cieniem na życie Ellen i Nataniela.

Wiatr od strony Sprengisandur szarpał ścianami domu. Ellen i Nataniel kulili się pod kołdrami. Skoro nie mogą odzyskać swego syna, to chcieliby przynajmniej pomóc Móriemu w poszukiwaniach Dolga. Może dzięki temu ich własny ból choć trochę zelżeje?

10

Pogoda na Islandii zmienia się nieustannie. Rankiem następnego dnia niebo było szare, od czasu do czasu siąpił deszcz, póki jednak siedzieli bezpiecznie w samochodzie, w niczym im to nie przeszkadzało.

Wkrótce wypogodziło się i spoza mgieł ukazała się Haganga. Ów szczyt, który przez wiele godzin towarzyszy podróżującym tą drogą. Właściwie istnieją dwie Hagangi, ale tylko ta jedna jest tak uporczywie widoczna.

Kiedy dotarli do wspaniałego, mieniącego się różnymi kolorami Tungnafellsjökull, świeciło piękne słońce. W dole pod Tungnafellsjökull leżała Nýidalur, której niezwykle historia była powszechnie znana. W tej dolinie i dalej aż u podnóża Hofsjökull rosła trawa, jedyne miejsce na Sprengisandur, gdzie w dawnych ogromnie męczących podróżach konie mogły się trochę pożywić. W tamtych czasach dolina nazywała się Jökuldalur, później jednak w wyniku różnych katastrof zniknęła i nie można jej było

odnaleźć przez wiele lat. No i teraz miejsce nazywa się Nýidalur, znajduje się tam kilka budynków, przeważnie domki turystyczne dla podróżnych, którzy chcą na Sprengisandur przenocować.

Zatrzymali się, żeby coś zjeść, i Addi zapytał gospodarzy, czy to prawda, że w jednym z domków straszy.

Odpowiedzieli mu, że owszem, kiedyś straszyło, ale teraz dom został oczyszczony.

Móri posłał im długie spojrzenie, które sprawiło, że ludzi przeniknął zimny dreszcz.

Gospodarz zapytał nieco arogancko:

- Ty, zdaje się, nie całkiem wierzysz w to, co powiedziałem, obcy? Bo jesteś obcy, prawda? Wszędzie.

Móri bez słowa wstał i wyszedł na podwórze. Reszta podróżnych ruszyła za nim, a na samym końcu gospodarze.

Gdy czarnoksiężnik bez namysłu skierował się do jednego z domków turystycznych, popatrzyli na siebie z lekkim niepokojem.

Móri odwrócił się na progu.

- Czy mogę zabrać ze sobą Mirandę? - zapytał. - Sądzę, że potrzebuje trochę nauki.

Gabriel skinął głową, Miranda pobiegła do Móriego.

- No, chyba trochę przesadziłem - rzekł gospodarz. - Teraz jest lepiej, ale...

- Tak, dom był oczyszczany - przyznał Móri. - Ale nie do końca. Chodź, Mirando! A reszta niech czeka na zewnątrz. Wiem, że zarówno Ellen, jak i Nataniel, a przede wszystkim Marco poradziliby sobie tutaj równie dobrze jak ja, myślę jednak, że tak będzie najlepiej.

Weszli i zamknęli za sobą drzwi. Miranda w ostatniej chwili posłała siostrze grymas, mający oznaczać „a widzisz?”

- A co się tutaj ukazywało? - zapytał Gabriel.

- Jakiś młody mężczyzna - odparła gospodyni. - Niektórzy goście przyjmowali nocą nieprzyjemne wizyty. Teraz w zasadzie on się już nie pokazuje, czasami jednak miewamy wątpliwości.

Po chwili Móri i Miranda wyszli z domku, dziewczyna z rozpromienioną twarzą.

- Indra, to było naprawdę łatwe - oznajmiła zdyszana. - Wystarczyło emanować z siebie mnóstwo miłości, ciepła i zrozumienia. Teraz dom jest czysty!

Indra skinęła głową bez słowa. Nie odczuwała najmniejszej zazdrości. Duchy? Nie, dziękuję!

W pobliżu tej oazy napotkali pierwszą rzekę bez mostu. Naprawdę nie jest łatwo prowadzić samochód po wodzie i nie dać się znieść prądowi. Addi musiał jednak dokonać tego dwukrotnie, by pasażerowie mogli zrobić zdjęcia. Większość wysiadła z samochodu, ale Miranda została, chciała bowiem przeżyć „forsowanie rzeki” raz jeszcze. Indra została również, choć ona z lenistwa.

Islandia wciąż nie jest w pełni ukształtowanym lądem, toteż wiele elementów w jej naturze nieustannie się zmienia. Tak że bród czy przeprawa przez rzekę niekoniecznie zawsze musi się znajdować w tym samym miejscu co poprzedniego roku. Kiedy Addi cofnął się trochę, by móc rozpędzić jeepa, wjechał na piaszczystą łachę pod wodą, rok temu na pewno jej tu nie było. Musiał teraz wysiąść, by odkręcić jakąś śrubę na jednym z kół, wysiadła też Miranda, która widziała, jak bardzo jest mu niewygodnie, trzeba było bowiem jednocześnie próbować kierować samochodem. Wskoczyła więc zdecydowanie do piekielnie zimnej wody z lodowca, by mu pomóc. Buty zdjęła i długie spodnie podciągnęła możliwie jak najwyżej, musiała jednak zostawić rajstopy. Lodowate zimno przenikało do szpiku kości, lecz Addi ją chwalił, a od tego Mirandzie zawsze robiło się ciepło.

Starając się utrzymać równowagę i nie dać się znieść gwałtownym wirom, zobaczyła, że reszta towarzystwa na brzegu fotografuje ich z zapałem. Od północy ukazał się jakiś jeep, dwaj jadący nim mężczyźni przyglądali się z ciekawością temu, co się dzieje, ale nie ruszyli nawet palcem, by im pomóc. Niech tam, myślała Miranda, sama sobie z tym poradzę. Dokładnie w tym momencie straciła równowagę i o mało nie wpadła do wody. Na szczęście Addi zdołał wyciągnąć rękę i przytrzymać ją dosłownie w ostatniej chwili.

Gdy już ruszyli dalej, Miranda nie przestawała opowiadać o tym, że właśnie przed chwilą uratowała całe towarzystwo. Pozwolono jej siedzieć obok kierowcy, by rajstopy mogły szybciej wyschnąć w ciepłe silnika, nic jednak nie wskazywało na to, by dziewczyna kiedykolwiek miała zapomnieć o swoim niezwykle odważnym wyczynie. W końcu Indra syknęła przez zęby. „Jeśli jeszcze raz choćby się zająkniesz na temat tej bagatelnej historii, zacznę opowiadać o najintymniejszych epizodach z twojego życia!”

To podziałało. Miranda skuliła się na siedzeniu i pisnęła na zakończenie: „Ale to naprawdę było podniecające!”

- No to jesteśmy - rzekł Addi, kiedy udało im się sforsować rzekę, której rok temu na pewno tu nie było, w związku z czym pokonywanie jej stanowiło prawdziwy hazard. Na zewnątrz woda szumiała, ale samochód dał sobie radę, Bogu dzięki. - No to jesteśmy.

Teraz zaczyna się prawdziwa podróż przez pustkowia, tutaj kończą się stacje turystyczne. Pojedziemy drogą przez Sprengisandur pomiędzy tymi wielkimi lodowcami, które widzicie, Hofsjökull na lewo, Vatnajökull na prawo. Będziemy mijać Kidagil, a potem pojedziemy wzdłuż rzeki Skjálfdiðfljót, a całe wielkie i budzące grozę Ódádahraun zostawimy po prawej stronie.

- Oj, Kidagil! Tę nazwę poznaję! - zawołała Miranda. _ W islandzkiej pieśni „Ridhum, ridhum” śpiewa się o Kidagil.

- Nic dziwnego - wyjaśnił Addi. - Pieśń opowiada przecież o jeźdźcu, który próbuje konno pokonać Sprengisandur. I o wszystkich niebezpieczeństwach, na jakie podróżny był narażony w dawnych czasach. O głodzie, zimnie, zmęczeniu, śmierci. A także o różnych ponadnaturalnych istotach, takich jak królowa elfów i jej groźne oddziały.

- Świetnie! - ucieszyła się Indra. - A teraz my jedziemy tą samą drogą, ale nam jak dotychczas się udawało. Dzięki naszemu superjeepowi. To prawdziwe чудо. Addi, czy potrafisz zaśpiewać „Ridhum, ridhum”? To taka piękna pieśń.

- Nie - odparł Addi z naciskiem. - Śpiewam tylko na przyjęciach, a i to późnym wieczorem.

Rozmowa w samochodzie toczyła się lekko i bez przymusu, pasażerowie znakomicie się rozumieli.

Tylko Móri od czasu do czasu popadał w zamyślenie. Kulił się na swoim siedzeniu i starał się nie dopuścić do siebie smutku i wspomnień, od których krwawiło mu serce.

Na tej drodze śmierci widział po raz ostatni swoją kochaną, troskliwą matkę. Miał wtedy trzynaście lat. I to jego głupia brawura sprawiła, że matka musiała umrzeć.

Jak można żyć z takim obciążeniem? Dlaczego człowiek ponownie odwiedza tego rodzaju miejsca?

Poobijani i posiniaczeni dotarli w końcu do granic wielkiej pustyni i zobaczyli próbkę wspaniałej urody północnej Islandii: głęboką, rozległą, pokrytą zielenią piękną dolinę.

Przy Godhafoss, czyli Wodospadzie Bogów, zatrzymali się, by rozprostować nogi i wymasować obolałe plecy. Wodospad jednak mieli obejrzeć innym razem. Teraz pozwolili sobie tylko na chwilę przerwy, chcieli wstąpić do sklepu i uzupełnić zapasy, a także zmyć z siebie najgorszy kurz. Ów sklep z małą kawiarnią i toaletą był największym marzeniem wszystkich podróżujących w okolicy. Leżał dokładnie na skrzyżowaniu wielu dróg, między innymi drogi głównej, czyli Państwowej Drogi Numer Jeden, która otacza całą Islandię. Trzeba było jechać wiele mil, by natrafić na podobne miejsce.

Kiedy już wszyscy się trochę odświeżyli, Móri i jego pomocnicy mogli ruszać dalej. Tylko Indra nie wychodziła ze sklepu. Widać spodobała się dwóm młodym mężczyznom, którzy próbowali ją przekonać, by pojechała z nimi oglądać tutejsze piękne widoki, przede wszystkim w okolicy Godhafoss.

- Wygląda na to, że zastawili jej drogę i nie chcą wypuścić - oznajmiła Ellen ze śmiechem. - Pomóż jej, Marco!

- Naturalnie, nie mamy czasu na takie zabawy.

Marco podszedł do dwóch mężczyzn, z których jeden, ciemnowłosy, wyglądał już dojrzałe, natomiast drugi, blondyn, był wyraźnie młodszy. Marco rzekł wesoło:

- Może byście wypuścili moją ukochaną?

Zbici z tropu natychmiast posłuchali, natomiast Indra rozpromieniła się niczym tysiące słońc.

- Och, Marco - westchnęła, wychodząc za nim ze sklepu. - To najpiękniejsze słowa, jakie mi kiedykolwiek powiedziałeś! Choć wiem, że to tylko gra, brzmiały cudownie.

On roześmiał się dobrodusznie. Oboje wiedzieli, że to naprawdę tylko gra.

- Szkoda, że Bodil tego nie słyszała - rzekła jeszcze Indra. - Zzieleniałaby ze złości.

Marco pochylił się ku jej rozpromienionej twarzy.

- Nie mam zwyczaju źle mówić o ludziach, ale naprawdę wdzięczny jestem losowi, żeśmy się jej pozbyli.

Wszyscy czekali gotowi do startu. Gdy ruszyli, zobaczyli, że dwaj adoratorzy Indry idą do swojego jeepa.

- Ich samochód podobny jest do tego, który spotkaliśmy nad rzeką kilka godzin temu - stwierdziła Miranda.

- Głupstwa, tamci pojechali przecież na południe - sprostował Gabriel.

- Być może zawrócili, ponieważ zdążyli zobaczyć mnie - oznajmiła Indra. - I niczym prawdziwe samce tropili mój zapach.

- Chodzi ci o perfumy „Trésor” firmy Lancôme? - zapytała Miranda złośliwie. - Owszem, masz zwyczaj olewać się nimi przesadnie, nic więc dziwnego, że teraz zapach niesie się nad całą pustynią.

Wszyscy roześmiali się wesoło, Indra również.

- Jest mnóstwo tego rodzaju jeepów - wyjaśnił Addi rzeczowo.

- Tak jest - przyznał Móri. - Ten, który stał przy drodze koło Versalir wczoraj wieczorem, też tak wyglądał. O ile dobrze widziałem, odległość była zbyt duża.

- Czy musicie pozbawiać mnie iluzji na temat mojej urody, której nikt nie może się oprzeć? - westchnęła Indra teatralnie.

- Owszem, bo nie chcemy mieć w samochodzie kolejnej Bodil - zażartował Nataniel.

Długo jeszcze przekomarzali się w świetnych humorach. Jechali teraz przez całkiem odmienny świat, zielony, urodzajny, z chłopskimi zagrodami na zboczach, rozrzuconymi daleko jedna od drugiej.

- Jak to strasznie było w dawnych czasach, kiedy ludzie musieli wszędzie chodzić piechotą - myślał głośno Gabriel. - Potrzebowali chyba całego dnia, by odwiedzić sąsiadów.

Żałowali, że nie mogą zatrzymać się na jakiś czas i obejrzeć okolic jeziora Mývatn. Tak bardzo chcieliby poznać je dokładniej! Teraz jednak najważniejszy był Dolg.

Kiedy Addi wskazał w kierunku na Dimmuborgir, kryjącego się za wzniesieniami z lawy, wszyscy pochodzący z Ludzi Lodu spojrzeli ukradkiem na Marca. Jego piękna twarz była niczym wyciosana w kamieniu. Zdawali sobie sprawę, o czym on teraz myśli.

To tutaj jego ojciec wyszedł na powierzchnię Ziemi w roku 1860. Tutaj została przyniesiona jego matka owej nocy, kiedy urodzili się on i jego brat Ulvar. Matka znajdowała się w agonii, więc czarne anioły przybyły, by ją zabrać, natomiast nowo narodzone bliźnięta zostawiły w głębi lasu pod opieką jedenastoletniego Henninga.

W milczeniu mijali okolice Dimmuborgir.

Kiedy jechali przez dramatyczne Námaskardh, pokryte żółtymi wydmami siarkowego pyłu, pełne dymiących, bulgoczących i syczących gorących źródeł z jednej strony i białych obłoków Krafli w oddali po drugiej stronie, Miranda westchnęła uszczęśliwiona.

- Tutaj czuję się jak w domu - rzekła cicho.

Móri przyjął to z uśmiechem.

- To samo mówiły moje dzieci.

- Więc czujesz się tutaj jak w domu? - zachichotała Indra. - A ja właśnie myślałam, że ta okolica powinna się nazywać „kuchnia szatana!” Czy nie możemy okrążyć jej z daleka?

- Nic podobnego! - zaprotestował Nataniel. - Ja chcę to wszystko obejrzeć z bliska. Moglibyśmy się zatrzymać na kilka minut, Móri?

- Oczywiście! Do Námaskardh sam chcę pójść.

Addi skręcił na drogę wiodącą do źródeł. Było tam wielu turystów. Na parkingu stały szeregi autobusów i jeepów oraz zwyczajnych samochodów osobowych.

Mozolnie, na sztywnych nogach wysiadali z superjeepa. Nad całą okolicą czuć było ciężki zapach siarki, a w dole nad równiną pomiędzy parkingiem i Námafjall unosiły się podobne do duchów obłoki pary.

Podjechał jeszcze jakiś jeep.

- Oto masz swoich islandzkich wielbicieli, Indro - mruknęła Ellen.

- O, do diabła! Nie wiem jednak, czy tak bym ich nazwała, to znaczy islandzkimi wielbicielami. Mówili po angielsku... Ale czy z islandzkim akcentem? Nie umiałabym powiedzieć. Nie wiem po prostu, jak Islandczycy mówią po angielsku.

Addi wyrecytował kilka angielskich zdań.

Indra słuchała niepewnie.

- Trudno rozstrzygnąć, ale chyba nie. Myślę, że to turyści.

- Czy mam pójść i zapytać? - zastanawiał się Addi.

- Nie, dziękuję! Im mniej kontaktów, tym lepiej. Mogą to potraktować jako zachętę.

Dwaj nowo przybyli jeszcze ich nie dostrzegli, więc grupa udała się w odwrotnym kierunku. Przez jakiś czas chodzili wokół gorących źródeł i wykrzykiwali: „Oj!” i „Och!” Chcieli obejrzeć wszystkie zagłębienia, w których bulgotała siarka, wszystkie śmierzące otwory.

Obeszli już prawie całą okolicę. Obejrzel też źródło gazu. Wydobywał się z niego z sykiem przesycony siarką obłok pary, a równocześnie gorąca woda wylewała się na zastygły wapń, może zresztą siarkę, czy też jakiś inny minerał.

Większość grupy zniknęła po drugiej stronie gęstych oparów. Indra widziała Nataniela i Ellen niczym postaci duchów w nieustannie wirującej mgłę nad równiną, gdzie z

gorących źródeł wyskakiwały niebieskozielone kule i rozpryskiwały się niczym bańki mydlane.

Miranda nadbiegła od tyłu.

- Chodź, przejdziemy przez tę parę - rzekła radośnie, pokazując na pieniącą się przed nimi kaskadę.

- Będziemy potem przez długi czas potwornie śmierdzieć - ostrzegła Indra, ale chętnie ruszyła za siostrą.

Miranda zniknęła w trujących obłokach siarki. Ziemia była bardziej śliska, niż Indra się spodziewała. Stopy rozjeżdżały się na lepkim podłożu.

Huk panował straszny. Mimo to Indrze wydawało się, że usłyszała krzyk Mirandy.

O Boże, ona się przewróciła, przemknęło jej przez głowę. W następnym momencie kierunek wiatru lekko się zmienił, para odsunęła się na bok, na chwilę zaledwie ale widok stał się wyraźniejszy.

Miranda nie upadła. Trzymali ją mocno jacyś dwaj mężczyźni „Zła dziewczyno” - wołał jeden po angielsku. „To nieważne..” - bełkotał drugi - „Chodź z nami do...”

Głośny krzyk Indry zaskoczył ich, jednocześnie z drugiej strony nadbiegał Móri.

- Puśćcie dziewczynę - rozkazał spokojnie po islandzku.

Wyglądało na to, że go nie rozumieją. Skoro nie posłuchali go natychmiast, Móri uczynił znak ręką ku ziemi, wymawiając jakieś słowa, które brzmiały bardzo staroświecko.

Stopy mężczyzn zaczęły się ślizgać po przypominającym mokre mydło podłożu. Bezradnie padli na ziemię, tak że rozległo się głośne plaśnięcie tłustego błota. I tak już zostali. Wymachiwali rękami i nogami, klęli głośno i coraz bardziej pogrążali się w nieprzeniknionych oparach siarki.

Indra i Miranda podbiegły do Móriego, szukając przy nim schronienia. Tymczasem pojawili się inni współtowarzysze podróży. Móri rzekł:

- Pośpieszmy się, ruszajmy z tego miejsca, zanim tamci będą mogli się zorientować, w którą stronę pojechaliśmy!

Bez słowa pobiegli na parking. Na szczęście Nataniel i Ellen już tam byli, Addi czekał w samochodzie.

- Czy oni nie mogą nas teraz zobaczyć? - zapytała Miranda.

- Jeszcze nie - wyjaśnił Móri spokojnie. - Będą tam leżeć, dopóki nie uznam, że jesteśmy bezpieczni. A przez gęste kłęby pary niczego nie odróżnią. Jedyne niebezpieczeństwo to to, że ktoś nadejdzie i pomoże im wstać.

Marco posłał Móriemu pełne podziwu spojrzenie.

- Jak widzę, nie zapomniałeś jeszcze swoich sztuczek.

- Czuję się dużo bezpieczniej, gdy wiem, że mogę się nimi posługiwać - potwierdził Móri, wciąż tak samo spokojny.

11

Jechali dalej drogą państwową na wschód. Po obu stronach rozciągały się wielkie, szarozielone równiny, horyzont zamykały wulkany.

Kiedy Námaskardh zniknęła im z oczu, Móri odwołał zaklęcia. Swoich współtowarzyszy poinformował, że tamci dwaj mężczyźni są już wolni.

Nikt na to nie zareagował. Ludzie Lodu znali przecież takie sprawy z dawnych czasów. Co myślał Addi, nie wiadomo. Addi był samą dyskrecją.

Poza odwiedzanymi przez turystów okolicami ruch na drodze był niewielki, od czasu do czasu jednak spotykało się jakiegoś jeepa z napędem na cztery koła. Niekiedy też i autobus. Tutaj prywatne małe samochody mogły poruszać się bezpiecznie pomiędzy drugim co do wielkości miastem Islandii Akureyri oraz Egilsstadir, z dala od gęściej zaludnionych obszarów w północno-wschodniej części kraju. Droga była dobra. W grę wchodziły jednak wielkie odległości, więc samochodów widziało się niewiele.

Wymarły krajobraz, ale urzekająco piękny, tak że siedzieli ze ściśniętymi smutkiem gardłami i milczący. Wszystko wokół zdawało się być nietknięte. Wulkany wygasły dawno temu i zamarły. Rzeki znalazły sobie głębokie koryta. Pokój panował nad tą północną krainą.

- Zastanawiam się, co on miał na myśli - przerwała milczenie Miranda. - „Zła dziewczyno?” „To nieważne”, odparł drugi. „Jedź z nami do...”?

- Nie wskazuje to jednak na jakieś niezwykle urzeczenie Indrą - stwierdził Gabriel. - Skoro zadowolili się byle kim...

- Dziękuję, tatusiu - syknęła Miranda ze złością. - Kilka dobrych słów zawsze człowiekowi poprawia nastrój!

- Ależ, kochane dziecko, ja nie myślałem w ten sposób - spłoszył się Gabriel, lecz przerwała mu Ellen, która siedziała po prawej stronie:

- Zobaczcie, znowu przy drodze widzę tę samą tablicę: „Tylko dla samochodów z napędem na cztery koła”! To znaczy, że tędy mogą jeździć tylko tacy jak my - rzekła z dumą, czym zyskała sobie jeszcze większy szacunek Addiego.

- Ta droga prowadzi do serca Islandii - wyjaśnił. - Do tych wielkich wulkanów w zalanym lawą interiorze. Do Herdhubreidh, Askja i tak dalej.

Miranda najchętniej pojechałaby właśnie tam, ale nie mieli czasu. Powróciła więc do swojego tematu.

- Zastanawiam się, dokąd oni chcieli zabrać Indrę.

- Tak, zwłaszcza że wcale nie są Islandczykami - orzekł Móri stanowczo. - Nie zrozumieli ani słowa z tego, co powiedziałem.

Indra wtrąciła spokojnie:

- I wcale też nie są Anglikami. Tylko dlaczego w takim razie rozmawiają po angielsku? Bo przecież zawsze mówią po angielsku.

- To są ludzie pochodzący z dwóch różnych krajów, tak mi się przynajmniej zdaje - oznajmił Nataniel.

- Tak, to jedyne rozwiązanie - przyznał Gabriel. - To dwaj nie-Anglicy,

Ellen zawołała:

- Oj, oj, znowu trzeba przejechać przez rzekę, i to jaką rzekę!

- Jökulsá á Fjöllum - wyjaśnił Addi. - Jedna z największych na Islandii.

- Jaka szkoda, że zbudowano tutaj most - zawołały dziewczęta rozczarowane. - Pomyśleć, że trzeba by przepłynąć się przez taką rzekę!

- Wsiądźmy - zaproponował Nataniel. - Chciałbym to sfotografować.

- A kiedy ty nie chcesz? - uśmiechnęła się Ellen z czułością, podnosząc się z siedzenia. - Zastanawiam się, ile już filmów do tej pory zużyłeś.

Mimo słonecznej pogody uderzył w nich zimny wiatr. Szarpał ubrania, przenikał na wylot.

- Jökulsá á Fjöllum? - powtórzył Móri z wolna. - Tutaj już byliśmy. Kiedyśmy jechali do Hljödhaklettar i Dettifoss.

Addi wskazał ku północy.

Tam widać wszystkie razem. Dettifoss, Hljödhaklettar, Ásbyrgi...

Móriego ponownie ogarnęły wspomnienia. Pierwsze spotkanie Dolga z elfami i karłami. Krzyki karłów, echo odbijające się od Hljödhaklettar, będzie musiał napisać do domu, do Theresenhof i...

Nie. Do kogo miałby mianowicie pisać? Wszyscy odeszli. Również Theresenhof nie należy już do rodziny od bardzo, bardzo dawna.

Z piekącym bólem w sercu czuł, jak bardzo jest samotny na świecie. Był szczerze wdzięczny swoim sympatycznym pomocnikom, Addiemu i Ludziom Lodu, za pomoc, jakiej mu z oddaniem udzielają. Oni jednak pochodzą z innego czasu, jego najbliżsi odeszli. On sam został tu obcy, zabłąkany nieszczęśnik w przerażająco nowym świecie.

Nagle stwierdził, że wszyscy patrzą na Marca.

Stali dostatecznie daleko od mostu, by szum rzeki nie przeszkadzał w rozmowie, słyszeli się nawzajem znakomicie, nawet jeśli ktoś mówił szeptem. Z Markiem działo się coś dziwnego. Móri widział już kiedyś taki wyraz na jego twarzy. W Västergötland. Kiedy...

Nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, zapytał głośno:

- Co się dzieje, Marcu?

Nadzwyczaj urodziwy książę Czarnych Sal stał bez ruchu, jakby ledwie oddychając. Jego dłonie to zaciskały się, to znowu otwierały.

W końcu powiedział cicho:

- Sądzę, że nie musimy jechać aż do Egilsstadir. Dolg przechodził tędy.

Addi niemal skamieniał ze zdziwienia. Inni natomiast przyjęli dziwną wiadomość z radosnym zaskoczeniem.

- Nie wyczuwałeś jednak jego obecności przy Námaskardh? - zapytał Nataniel.

- Nie. Widzicie, kiedy jadę samochodem, nie mogę niczego wyczuć. Muszę mieć kontakt z ziemią. Dokładnie w tym miejscu, w którym Dolg również dotykał ziemi. Tam, gdzie jechał konno, nie dostrzegam niczego.

- Ale jak ty to robisz, jak to się dzieje? - zapytała Miranda pośpiesznie. - Może wężysz jak pies policyjny?

- Nie, nie - uśmiechnął się Marco w zamyśleniu. - To ma raczej coś wspólnego z wibracjami. Jakiś strumień energii, energii Dolga płynący z ziemi.

Indra protestowała:

- Ale przecież tędy od roku tysiąc siedemset czterdziestego musiało przejść tysiące ludzi. A jeszcze więcej w Szwecji, w porcie Uddevalla...

- Owszem - przyznał Marco łagodnie. - Żaden z nich jednak nie był Dolgiem, synem czarnoksiężnika. Jego energia jest wyjątkowa. I olbrzymia!

Móri był wstrząśnięty i zaczynał się niecierpliwić.

- Dolg! Jesteśmy na tropie. Ale w Námaskardh śladów nie było. Muszą, znajdować się gdzieś pośrodku drogi. Może on poszedł w innym kierunku...

Marco położył mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, mój przyjacielu! Z pewnością odnajdziemy ci syna. Przechodził tędy, to nie ulega wątpliwości. Musimy więc zgadywać, czy nie zsiadał z konia po drugiej stronie rzeki. Addi, pomożesz mi? Uważasz, że zszedł z konia, kiedy przybył tutaj z Seydhisfjörður i Egilsstaðir?

Znakomity kierowca jeepa i świetny znawca islandzkich pustkowi, Arngrímur Hermannsson, był zaszczycony tym trudnym zadaniem, przywykł bowiem do warunków atmosferycznych Islandii, przywykł do najrozmaitszych ludzi, ale z tego rodzaju problemami do czynienia nie miał.

- Zaczekaj, zaczekaj - rzekł, machając rękami, jakby chciał odpędzić od siebie zbyt wiele cisnących się zagadek. Jakby bronił się przed dziwnymi tajemnicami. - Nigdy nie spotkałem się z czymś takim. Mówisz, że twój syn pochodzi z roku tysiąc siedemset czterdziestego? Mówisz o jakiejś energii płynącej do ciebie z ziemi. O czarnoksiężniku. Ciągle jestem świadkiem jakichś drobnych czarodziejskich sztuczek. Kim wy jesteście? Czy w tym towarzystwie znajduje się ktoś normalny?

- Tak, ja - oświadczył Gabriel. - Oraz Indra. Każdy z pozostałych umie to i owo, mogę cię zapewnić.

Addi przyglądał im się z przejęciem. A kiedy zawrócił i pojechali z powrotem do najbliższej krzyżówki, Nataniel opowiedział mu w największym skrócie, o co chodzi w tej całej sprawie, a także co nieco o tym, kogo Addi wiezie swoim jeepem.

Kierowca zatrzymał się po drodze do Herdhubreidh i Askji. Wciąż nie ruszał się z miejsca.

- Coś mi się zdaje, że nikomu tego nie opowiem, bo by mnie pewnie zamknęli u czubków. Ale jestem z wami. Jeśli masz rację, Marco, to powinieneś tu coś znaleźć. To znaczy jeśli ów Dolg szedł główną drogą albo jeśli wybrał trasę przez pustkowie. Chociaż

nie sędę, by ktoś odważył się iść tędy wcześniej niż w dziewiętnastym wieku, a może jeszcze później.

Ponownie wysiedli z samochodu. Krajobraz był równie wymarły jak zwykle, jedynie ślady kół i tablice przypominające o konieczności napędu na cztery koła, a także jakiś jeep, który nadjechał od wschodu i zatrzymał się daleko przy głównej drodze, świadczyły, że ludzie bywają na tej bezkresnej równinie, pochodzącej z pradawnych czasów.

Marco podjął poszukiwania. Chodził tam i z powrotem, schylając się, wypatrując na ziemi, podczas gdy jego towarzysze w milczeniu czekali na wynik.

W końcu wrócił do nich z nadzieją w oczach.

- Tutaj łatwiej odnaleźć ślady niż na bocznej drodze. Tak, on tędy jechał i kierował się w głąb kraju.

- Możemy ruszać jego tropem? - zapytał Móri.

- Oczywiście, z tym samochodem pokonamy wszystkie przeszkody.

Byłoby niegrzecznie w to wątpić.

- A gdzie przenocujemy? - zapytała Ellen z lękiem. - Dzień wkrótce się skończy i...

- Na Herdhubreidharlindhir znajduje się schronisko turystyczne - odpowiedział Addi. - Mamy stąd do schroniska tak samo daleko jak do Egilsstadir, chociaż podróż może nam zająć więcej czasu, bowiem droga jest dużo trudniejsza.

- Dotrzemy na miejsce, zanim się ściemni? - upewniła się Indra.

- Zanim się ściemni? Przecież teraz tutaj na północy mamy polarne lato.

Miranda jęknęła z przejęciem. Nigdy jeszcze nie widziała polarnego lata, które Skandynawowie nazywają midnattssol, czyli słońce o północy. Wielu z jej współtowarzyszy również nigdy tego nie przeżyło.

Wkrótce znaleźli się na wyboistych, wąskich drogach. Marco wyskakiwał z samochodu w mniej więcej równych odstępach, by zbadać, czy są na właściwym tropie. Od czasu do czasu tracili ślad Dolga, lecz Addi mówił, że to z pewnością nie ma znaczenia, bowiem droga od tamtych czasów zdążyła się przesunąć. Wystarczy tylko, że odnajdą ślady w najważniejszych punktach, na krzyżówkach, przy przeprawie przez rzekę i tym podobne, to na pewno dotrą do celu.

I tak też było. Po przekroczeniu jakiejś rzeki, niepokojąco głębokiej, dotarli do niedużej oazy z wodospadem i Marco stwierdził, że tutaj Dolg się posilał. Wszyscy mu oczywiście wierzyli.

- Ale co on robił tak daleko w głębi kraju? - zastanawiał się Gabriel.

Móri wzruszył ramionami.

- No właśnie, żeby to ja wiedział! Czego tutaj można szukać, Addi?

- Zakładam, że nie interesowały go piękne widoki.

- Dolga? Zdecydowanie nie.

Addi spoglądał na człowieka, który twierdził, że żył w XVIII wieku i został ponownie przywrócony do życia przez innego niezwykłego człowieka, Marca. Addi świadomie przestał na jakiś czas posługiwać się rozsądkiem i starał się zrozumieć losy tych dziwnych ludzi. To może być grupa uciekinierów z zakładu zamkniętego, a jeśli nie, to trzeba przyjąć ich opowieści za dobrą monetę.

Wybrał drugie rozwiązanie. Dzięki temu sprawy wydawały się nieco mniej skomplikowane.

- Nie umiem powiedzieć, bowiem ktoś, kto nie zamierza oglądać wspaniałych okolic z wygasłymi wulkanami ani ziemi pokrytej lawą, niczego tu nie znajdzie.

Móri rzekł z wolna:

- Mam pewien pomysł, czego on mógł tutaj szukać.

- Ja również - potwierdził Marco. - Szukał Wrót, prawda?

- Dokładnie o tym myślałem. Że mógł tutaj szukać Wrót. W porządku, w takim razie pozostaje nam tylko posuwać się naprzód jego śladami, jak długo zdołamy. Jestem szczerze wdzięczny wam wszystkim za to, coście dla mnie zrobili...

- Nigdy nie bawiliśmy się tak wspaniale i nie przeżywalismy takich napięć - rzekła Miranda, a inni się z nią zgodzili.

- Nawet Indra trochę się rozruszała - uśmiechnął się Gabriel niepewnie.

Na pierwszy rzut oka pola lawy zdawały się być bezkresne. Czy rzeczywiście Dolg tędy przechodził? zastanawiał się Móri wstrząśnięty. Przechodził? Całkiem sam...

Jeśli któreś z nich sądziło, że droga nie może już być gorsza, to wkrótce musiało zmienić pogląd. Znaleźli się w niewiarygodnie wyboistym terenie pokrytym lawą, który przypominał nowoczesne trasy narciarskie, składające się wyłącznie z drobnych muld, przez które na zmianę się przejeżdża lub je przeskakuje, z tą tylko różnicą, że wzniesienia lawy były wyższe, a droga bardzo gęsto nimi pokryta. Na szczęście superjeep Addiego jakoś sobie radził.

- Czyste szaleństwo - wykrztusiła Indra, podskakując aż do sufitu. - Tutaj można by pić oddzielnie whisky i oddzielnie wodę sodową... Oj, ratunku... I człowiek stałby się sam dla siebie znakomitym shakerem.

- Boże dopomóż! - krzyczała raz po raz udręczona Miranda.

W którymś momencie Marco pomagał Mirandzie wstać z podłogi i sam o mało nie spadł z siedzenia.

Tutaj nigdy nie odnajdziemy śladów Dolga, myślał Móri zmartwiony. Owszem, teraz jakaś droga istnieje, jeśli tak można nazwać ten szlak, tę wijącą się w górę i w dół ścieżynę, ale jak to wyglądało w tamtych czasach? Dolg był prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, który tędy przechodził. A może strumień lawy, pokrywający teraz ziemię, pojawił się później i ślady Dolga zostały raz na zawsze zniszczone? Znajdują się głęboko pod powierzchnią. Jak tamte zalane lawą zagrody w Thjorsárdalur. „Pod nami są domy” - powiedział on sam do matki i czarnoksiężnika Gissura. Dolg przeżył dokładnie to samo wiele lat później. Ale tutaj... Tutaj nie ma żadnych domów i pewnie nigdy nie było w takim wymarłym świecie. Nigdy nie odnajdziemy śladów.

Wyboisty koszmar nareszcie się skończył, a wkrótce potem dojechali do Herdhubreidharlindhir, nieskończenie pięknej oazy u podnóża najwspanialszego wulkanu Islandii, Herdhubreidh. „Barczysty”, tak można przetłumaczyć tę nazwę. Dochodziła północ, ale światło panowało jak za dnia.

Chociaż właściwie niedokładnie takie samo. To inny rodzaj światła. Słońce świeciło, lecz atmosfera była odmieniona.

Wokół stacji turystycznej wzniesiono kilkanaście namiotów. Z jednego dochodziła rozmowa prowadzona po francusku, a nieco dalej ktoś opowiadał coś po niemiecku. Czuli, że spotkanie zwykłych turystów wydaje się trochę nierzeczywiste.

Nie dla wszystkich starczyło miejsca w hotelu turystycznym, wobec tego Addi, Móri i Marco spali w samochodzie. Miranda też chciała zostać z nimi, ale jej nie pozwolono.

Byli tak zmęczeni, że natychmiast udali się na spoczynek.

Miranda słyszała, że przyjechali nowi goście, dla których jednak zabrakło miejsca pod dachem. Wywiązała się krótka rozmowa z kierowniczką w jakimś obcym języku. Czy zresztą na pewno obcym? Jak to określić? Język norweski dla Islandczyków jest językiem obcym i vice versa. No więc w innym języku. Zamknawszy starannie okna i drzwi, Miranda zasnęła.

Następnego ranka Addi był wściekły.

Ponieważ w superjeepie podróżowało wielu pasażerów, ciągnęli ze sobą przyczepę na bagaże. W ciągu nocy ktoś wyłamał zamek w przyczepie, która ze względu na brak miejsca stała z boku, nie przy samochodzie. Na szczęście wieczorem zabrali swoje walizki i torby, nie było czego kraść. Pozostawione rzeczy stały nietknięte.

Naprawa szkód musiała zabrać Addiemu sporo czasu. Zamek został zniszczony w ten sposób, że nie można było ulokować na właściwym miejscu pokrywy przyczepy. Addi poszedł po narzędzia, choć sam wątpił, czy się na coś przydadzą.

Kiedy wrócił, pokrywa leżała na swoim miejscu. Jakby nigdy nie tknął jej żaden wandal.

- W jaki sposób...? - zaczął sam do siebie. I nagle przypomniał sobie, że przed chwilą widział Marca skradającego się za samochodem.

Kierowca drapał się po karku, spoglądał na grupę pasażerów czekających koło domu, lecz nie powiedział ani słowa.

Milczał do czasu, kiedy wszyscy usiedli w samochodzie. Wtedy szepnął cicho Marcowi kilka słów podziękowania. Tamten uśmiechnął się leciutko. „To drobiazg” - powiedział.

Addi poczuł zimny dreszcz na plecach.

Znowu więc byli w drodze. Marco zdążył już wysiąść i sprawdzał, czy posuwają się tym samym szlakiem co Dolg. Zamierzali jechać dalej w głąb islandzkich pustkowi.

Teraz turyści zniknęli definitywnie. Ogromne góry wulkaniczne wystawały z pokrytej lawą ziemi, z białymi czapami wiecznego śniegu na szczytach. Przed sobą mieli Vatnajökull, widzieli go z bardzo daleka, widzieli także Kverkfjöll, marzenie i lęk wszystkich grotolazów. Addi wyjaśnił, że pod Vatnajökull znajduje się wielkie jezioro. Wokół niego zaś trwa nieustanna aktywność natury, jezioro otoczone jest gorącymi źródłami. W Kverkfjöll znajduje się mnóstwo lodowych tuneli, które się wciąż zmieniają. Jedne zapadają się, na ich miejsce powstają nowe. Bardzo łatwo zgubić drogę w owych korytarzach, dlatego najlepiej posuwać się wzdłuż niewielkich rzek, które tam toczą wody ze stopionego lodu i dzięki którym można znaleźć wyjście. Wiele z tych rzek znajduje się bardzo głęboko, trzeba więc uważać, by zawsze mieć pod dostatkiem tlenu. Żeby to kontrolować, należy nieść zapaloną stearynową świecę. Kiedy płomień zacznie

chybotać, jakby zamierzał zgasnąć, nie wolno posuwać się naprzód, a zwłaszcza schodzić w dół.

- Czy my tam pójdziemy? - zapytała Miranda entuzjastycznie.

- Nie, nie, nie pójdziemy - zapewnił Addi - Ale okolica Grímsvötn jest bardzo dziwna. Wiadomo, że od jeziora w kierunku południowym wiedzie pod lodowcem głęboki tunel lodowy, prowadzi on do Skeidhararjökull, a wyźłobiła go woda. Nie wiadomo, czy drugi tego rodzaju tunel wiedzie od Grímsvötn do Kverkfjöll na północy, ale to bardzo możliwe. Grímsvötn i Kverkfjöll leżą w tej samej ziemskiej rozpadlinie, w szczelinie kontynentalnej, która przecina Islandię od północy do południa. W Kverkfjöll istnieją również tunele lodowe mające do pięciuset metrów wysokości, utworzone przez parę, ale nie wiadomo, który prowadzi najkrótszą drogą do wielkiej rzeki. Od czasu do czasu zabarwia się wodę, by zobaczyć, dokąd dociera rzeka. Owszem, ja myślę, że można przejść aż do Grímsvötn, jeśli się ma szczęście. Jeśli ma się pecha, nigdy się stamtąd nie wyjdzie. Czasza lodowa przesuwa się nieustannie. Ale jak powiedziano... My się tam nie wybieramy!

Całe przedpołudnie jechali po zdumiewająco równej ziemi. Choć właściwie tak bardzo dziwne to nie było. Kolejne wybuchy wulkanów wypełniły doliny pomiędzy górami lawą i popiołem, które zastygły niczym gładka podłoga. Od czasu do czasu trafiali na okolice, w których z takiej podłogi sterczały czarne skały. A otaczająca je lawa przypominała grubą żwir.

Marco nieustannie wysiadał z samochodu i sprawdzał, czy wciąż posuwają się śladami Dolga, tutaj bowiem trudno odnaleźć drogę, jak przestrzegali Addi. Każdego roku właściwie wytyczano nową, bowiem po zimie zmieniała się i ziemia, i wody.

Nie śpieszyli się jednak. Ich zadaniem było przecież dowiedzieć się, którądy podróżował Dolg. Nie było najmniejszego powodu, by niecierpliwie się częstymi postojami. Nikt też zresztą niecierpliwości nie okazywał. Addi zaczął być zainteresowany całą sprawą równie mocno, jak jego pasażerowie; zaakceptował ich niezwykłość, a jego wiedza stanowiła dla nich wielką pomoc.

- Wygląda na to, że chłopiec kierował się w stronę Askji - oznajmił w pewnym momencie Addi.

Móri spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Do wulkanu? A co tam jest?

- Wielkie jezioro w kraterze. I rozpadlina w głębi góry, nazywa się to Drekagil. Poza tym Askja jest terenem o niezwykłej, naturalnej urodzie, dzikiej i nietkniętej ręką człowieka. Znajdują się tam ponadto gorące źródła i temu podobne.

- Dolg nie wędrował tutaj po to, by podziwiać naturę - oznajmił stanowczo Móri raz jeszcze. - Coś zupełnie innego musiało ciągnąć go w te strony.

Szarobiałe firanki mgły zaczęły przesłaniać Kverkfjöll.

- Myślę, że będzie deszcz - poinformował Addi.

- To fajnie, nie ma co - mruknęła Indra.

- Teraz deszcz jest lepszy niż burza piaskowa. Okolica od Herdhubreidharlindhir do Askji i Kverfjöll i dalej wzdłuż drogi, którą nazywają Gäsavatnaleid, prowadzącej do Nyídhalur na Sprengisandur, pokryta jest piaskiem, popiołem i pumeksem. Kiedy panuje długotrwała susza, a potem przyjdzie wiatr, powstają tu potężne burze piaskowe. W takim przypadku nie widzi się nic i nigdzie się nie dojdzie bez sprzętu nawigacyjnego. Samochody, zwłaszcza okna i lakier, mogą doznać poważnych szkód, poza tym piasek dostaje się do silnika i wtedy koniec. Ja zwykle w takich razach zatykam wloty powietrza pęczkami wełny i wykorzystuję rezerwowy olej silnikowy do tego, by posmarować cały lakier i okna, tak że pierwszy piasek, który nadlatuje, osadza się mocno na powierzchni i działa jako ochrona. Niewielu kierowców zna te sposoby.

Zebrani w milczeniu podziwiali jego rozsądek. Za czymś takim musi się kryć długie doświadczenie.

Deszcz dawał na siebie czekać, wiedzieli jednak, że wkrótce nadejdzie.

Znajdowali się w okolicy gęsto pokrytej sterczącymi w górę skałami.

- Muszę się trochę przejść - oznajmiła Miranda pośpiesznie.

- Znowu? - jęknęła Indra. - Dlaczego piłaś rano tyle herbaty?

Ellen wtrąciła spokojnie:

- Wiesz, Mirando, znam bardzo dobry sposób, który stosuję podczas takich długich wypraw jak ta. Pij na śniadanie tylko czysty sok pomarańczowy. Mam oczywiście na myśli nie koncentrat, który należy rozpuścić w dwudziestu litrach wody, lecz naturalny, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, może zawierać również kawałki owoców. Jedz, co chcesz, ale nie pij ani kropli niczego innego, ani herbaty, ani kawy, ani mleka czy wody! Wtedy długo dasz sobie radę.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Miranda. - Zapamiętam to.

Addi zatrzymał się i wszyscy wysiedli. Jechali już od dłuższego czasu i przyjemnie było rozprostować nogi. Zniknęli wśród skał, każdy w innym kierunku.

Indra i Miranda poszły razem. Indra spoglądała na chmury.

- Nie zabrałam mojego płaszcza przeciwdeszczowego, chyba głupio zrobiłam. Oj, widzę tu ślady jeepa! Zupełnie świeże.

- Deszcz nie spadnie tak zaraz - pocieszyła ją Miranda. - Zresztą nie było jeszcze okazji, by użyć naszych rzeczy przeciwdeszczowych, Bogu dzięki.

Każda z sióstr wybrała swoją skałę i ukryła się za nią. Później spotkały się ponownie, przystanęły i z lękiem rozglądały wokół.

- Oj, chyba odeszliśmy za daleko od drogi - zaniepokoiła się Indra.

- Pomyśl, co by to było, gdybyśmy zaczęły krążyć pomiędzy skałami?

- Nie ma takiego niebezpieczeństwa - uśmiechnęła się Miranda. - Po prostu pójdziemy z powrotem po naszych śladach.

- Jesteś genialna - zachichotała Indra. - Może jednak najpierw wejdziemy na to wzniesienie za nami i rozejrzemy się po okolicy.

- Oczywiście!

Ruszyły ku wielkim kamiennym blokom, dyskutując o tym, czy owe skały to bazalt, czy porfir, a może inna skała wulkaniczna, i okrążyły wielki głaz.

Za skałą stało dwóch mężczyzn, jeden ciemnowłosy, a drugi wysoki blondyn, gotowi rzucić się na dziewczyny.

Siostry zawróciły w miejscu i rzuciły się do ucieczki, gubiąc własne ślady i poczucie kierunku, lecz uciekały w śmiertelnym strachu, a prześladowcy gnali za nimi.

12

Dlaczego biegniemy? zastanawiała się Miranda, choć bardzo dobrze знаła odpowiedź. Ci dwaj to nie żadni wielbiciel jeżdżący za Indrą dookoła Islandii. W ich oczach można było raczej wyczytać nienawiść i pragnienie mordu.

Ale, na Boga, dlaczego? Czego oni chcą od obu sióstr, a już zwłaszcza od Indry?

Nie miała czasu zastanawiać się nad tym dłużej. Teraz chodziło o to, by jak najszybciej wydostać się stąd na drogę.

Ale gdzie jest droga?

Nie było widać żadnych śladów stóp w sypkim podłożu, wszystkie skały wyglądały tak samo, niebo, deszczowe chmury, dokąd biec? Czy ciemne chmury nadchodziły z południa od strony Kverkfjöll? Miranda nie widziała przed sobą nic, tylko kawałek szarego nieba w górze, skały tkwiły tutaj bardzo gęsto w ziemi.

Jeden z mężczyzn o mało nie zdołał złapać Indry. Miranda szarpnęła siostrę ku sobie, pociągnęła ją tak mocno, że tamta omal się nie przewróciła.

- Stójcie, bo jak nie, to będę strzelał! - zawołał jeden z mężczyzn, ściślej mówiąc zawołał tak, jak w amerykańskim serialu kryminalnym: „Freeze!” Miranda o mało nie wybuchnęła śmiechem, takie to było tanie i głupie.

Sytuacja jednak nie nastrajała do śmiechu. Ona sama z pewnością dałaby sobie jeszcze przez jakiś czas radę, lecz Indra była śmiertelnie zmęczona, ze świstem wciągała powietrze i z trudem stawiała nogi.

Miranda nie pamiętała, czy zdążyły zawołać pomocy, czy nie, teraz było już na to za późno, bowiem w płucach miały za mało powietrza. Z jakąś wściekłą determinacją zdołała przyśpieszyć tak, że obaj mężczyźni zostali spory kawałek za nimi. Indra jednak chwiała się na nogach, nie uciekną więc daleko.

I nagle obu ukazał się cudowny widok. Spomiędzy skał wyłonił się superjeep. Addi otworzył drzwi.

- Do środka! Szybko.

Miranda najpierw wepchnęła Indrę. Addi wciągnął ją jedną ręką, po czym Miranda rzuciła się za nią. Jeep sunął dalej z wciąż otwartymi drzwiami, zrobił duże okrążenie i wyjechał na drogę. Teraz drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Reszta pasażerów stała w oddali. Niektórzy byli już gotowi biec między kamienne bloki i szukać dziewcząt, ale zobaczyli zbliżający się samochód.

- Dzięki - wykrztusiła Miranda do Addiego. - Skąd mogłeś wiedzieć...?

- Widziałem ślady jeepa - wyjaśnił. - I słyszałem krzyk.

- Aha, więc jednak jesteśmy dość inteligentne - westchnęła Miranda.

- Owszem, a poza tym rozmawiałem dziś rano z ludźmi na Herdhubreidharlindhir. Powiedzieli mi, że w nocy przyjechało jeepem dwóch mężczyzn, którzy wypytywali, dokąd podróżujemy. Powiedziano im, że prawdopodobnie kierujemy się w okolice Askji.

- Słyszałam ich. Ale że znajdą się akurat tutaj? Tu, gdzie się zatrzymaliśmy.

- Zatrzymujemy się niemal co minuta. Prawdopodobnie widzieli nas z góry. A że przypadkiem zrobiliśmy sobie przerwę akurat w tym miejscu, tego nie mogli się spodziewać. Mieli szczęście, po prostu zdobył sama wpadła im w ręce.

- Zdobyc, owszem. Dlaczego oni chcieli nas złapać?

- Nie mam pojęcia. Gdyby mieli czyste intencje, przysliby i powiedzieli wprost, o co im chodzi. Tak jednak nie zrobili.

Wszyscy pasażerowie wsiedli do samochodu i kiedy ruszyli dalej, zaczęła się ożywiona dyskusja

- Czy oni naprawdę mieli broń palną? - zapytał Nataniel z niedowierzaniem.

- Tego nie wiemy - odparła Miranda - Oni po prostu wołali „Freeze!”, ale robili to tak, że o mało nie wybuchnęłam śmiechem.

- Miranda uratowała mi życie - rzekła Indra cicho. - W ogóle nie mam kondycji fizycznej. Już nigdy więcej nie będę się wylegiwać w łóżku.

- No, no, nie obiecuj zbyt wiele - rzekł Nataniel z dobrodusznym uśmiechem. - Nie możesz utracić swego stylu, a zresztą przecież nie każdego dnia człowiek jest narażony na takie niebezpieczeństwa

- Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z Dolgiem - rzekł Móri zmartwiony.

- Trudno powiedzieć - odparł Gabriel. - Niczego nie rozumiem.

Nikt z obecnych chyba niczego nie rozumiał. Po trwającej niemal wieczność jeździe u podnóża góry, gdzie nie było żadnej roślinności, ani wysoko na skałach, ani na ziemi, okrążyli ją nareszcie i wtedy zobaczyli wznoszący się na linii horyzontu ogromny masyw.

- Askja - rzucił Addi lakonicznie.

- Uff! - jęknęła Ellen. - Jaka wielka!

- Krater zajmuje całe pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych - informował Addi. - To jest tak zwana kaldera, czyli ogromne wgłębienie, które powstało w wyniku osunięcia się skał po eksplozji. Wielkie jezioro, o którym mówiłem, powstało po wybuchu w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku. Wtedy niebo było całkiem czarne od popiołu i pumeksu. Popiół opadał nawet nad Sztokholmem. Tu na Islandii była to straszna katastrofa.

- Pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych - powtórzył Gabriel - Nie bagatela. Łatwiej teraz zrozumieć, że wybuch musiał mieć katastrofalne konsekwencje. Czy to ostatni wybuch tego wulkanu?

- Nie, mieliśmy jeszcze jeden w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, ale już nie taki gwałtowny.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Odczuwali teraz, jak małą istotą jest człowiek wobec natury.

- Spójrzcie! - zawołała Indra. - Ziemia jest biała!

- Biała lawa Askji - odparł Addi. - To słynne zjawisko.

Jechali teraz przez ową białą pokrywę, która najbardziej ze wszystkiego przypominała wapń, chociaż z całą pewnością wapń to nie był. Jechali kilometr za kilometrem. Zatrzymywali się często, by sprawdzić, czy ślady jeszcze istnieją. Nadal poruszali się tą samą drogą co Dolg.

- Szlak wiedzie w kierunku Drekagil - rzekł Addi sucho.

- Drekagil... - zaczął Marco. - Zastanawiam się, czy słusznie byłoby to przetłumaczyć na Smoczą Przełęcz? Tam dalej widzę leżącego smoka. To ta góra przed nami.

- Zgadujesz właściwie. Istnieje mnóstwo różnych dziwnych formacji zastygłej lawy, które mogą przypominać skamieniałe smoki. Oho, zaczyna padać.

I rzeczywiście. Niewielki, przyjemny w gruncie rzeczy deszcz powodował jednak, że powietrze zrobiło się zimne.

- Nie bardzo mi to odpowiada - zasępił się Addi na widok szarych zasłon deszczu, zwisających ponad najbardziej tajemniczym wulkanem Islandii, Askją. - Bo pewnie zechcecie obejrzeć Drekagil?

- Jeśli Dolg tam poszedł, to i my musimy - stwierdził Marco spokojnie.

Na tle różnobarwnych minerałów mieniących się w oddali ukazał się niewielki czerwony domek. Stał dokładnie nad wejściem do rozpadliny, z pewnością jakaś stacyjka dla turystów.

Zatrzymali samochód i wysiedli. Miranda z płaszczem od deszczu w ręce pobiegła natychmiast w dół do niewielkiej rzeczki, która wypływała z Drekagil.

- Spójrzcie! - zawołała. - Pływające kamienie!

- To pumeks - wyjaśnił jej ojciec.

Miranda podniosła jeden kamień z brzegu i rzuciła go daleko w wodę. Tańczył długo unoszony prądem, utrzymując się wciąż na powierzchni. Bardzo chciała pokazać to swoim współtowarzyszom podróży.

Reszta grupy szła ku niej od samochodu, zatrzymali się jednak wszyscy, gdy Indra głośno krzyknęła:

- Na Boga, co to...?

- O co chodzi, Indra? - zaniepokoił się Marco.

- Co to do diabła jest? - wrzasnęła zamiast odpowiedzi. - Spójrzcie tylko na mój płaszcz przeciwdeszczowy! Popatrzcie, co w nim znalazłam! Nic dziwnego, że moja torba była taka cholernie ciężka!

Wrócili do samochodu, by obejrzeć. Indra wyciągała ku nim płaszcz z dziwną zawartością.

Zobaczyli paczkę starannie owiniętą klejącą taśmą. Marco uniósł ją w górę. Rzeczywiście ciężka. Wszyscy starali się pomóc w otwieraniu, ale taśma trzymała mocno. Addi musiał użyć swojego noża. Wewnątrz znaleźli trzy spore plastikowe woreczki z białym proszkiem.

Wstrzymywali oddech, zdumieni i przestraszeni.

- No dobrze - rzekł Gabriel cierpko. - Teraz już wiemy, co tamtych dwóch tak ciągnęło do Indry.

Addi działał skutecznie. Wskoczył do samochodu i oznajmił:

- Dzwonię na policję.

- Znakomicie - przytaknął Nataniel. - Nasi prześladowcy są z pewnością bardzo niebezpieczni.

Słyszeli, jak Addi rozmawiał z policją. Nie rozumieli co prawda zbyt wiele, jednak niektóre imiona rozpoznawali. Spoglądali po sobie zdumieni.

Gdy Addi skończył, Gabriel zapytał:

- Wspomniałeś imię Bodil, dlaczego?

- Prosiłem ich, by jak najszybciej odnaleźli ją w hotelu i nie pozwolili umknąć. To przecież ona, Indro, jakoby przez pomyłkę wzięła na lotnisku twoją torbę, zamiast swojej, prawda? I to ona koniecznie chciała pożyczyć od ciebie płaszcz przeciwdeszczowy.

Nataniel spojrział na zebranych z uśmiechem.

- My poruszamy się w nieco mniej realnych sferach i tam jesteście zadomowieni. Addi ma więcej praktycznego zmysłu. On widzi, co się dzieje wokół niego. Dzięki ci, Addi, my nigdy byśmy o niczym takim nie pomyśleli.

- Nieszczęśni rodzice Bodil, którzy tak ją uwielbiają - mruknął Gabriel.

Indra miała na ten temat nieco odmienne zdanie.

- Może przynajmniej teraz spojrzą życzliwszym okiem na pozostałe dzieci. To by akurat nie zaszkodziło.

- Ale co my zrobimy z tym? - zapytała Miranda, wskazując na narkotyki. - Może wyrzucimy woreczki do rzeki i niech sobie razem z pumeksem płyną na zasypaną popiołem pustynię?

- Nie wolno nam tego zrobić - zaprotestował Addi. - Musimy to oddać policji jako dowód. Tak, by ci dranie nie uniknęli odpowiedzialności, to by było zbyt łatwe. Schowam narkotyki w samochodzie i ukryję się za jakąś skałą. Tam będę czekał, dopóki nie wrócicie z Drekagil.

- Nie możesz przecież zrobić tego sam - zaprotestował Gabriel. - Ktoś musi z tobą zostać.

- Mam środki, dzięki którym dam sobie radę - odparł Islandczyk. - Poza tym umówiłem się z tutejszą obsługą, że gdyby tamci wrócili, to trzeba im powiedzieć, iż udaliśmy się na południe. Spójrzcie, droga na południe od Askji pełna jest śladów kół. Tutaj panuje spory ruch, droga prowadzi do Sprengisandur. Marco, powiedz mi, czy Dolg wszedł do Drekagil?

- Wszedł.

Stali w siąpiącym deszczu, a wiatr żałośnie zawodził w dziwnych rozpadlinach Drekagil. Miranda spojrzała na strome zbocza gór. Skały tworzyły różne groteskowe kształty. Głębina pod nimi wyglądała jak Ginnungagap, czyli wielka otchłań znana z mitologii nordyckiej.

Cóż za wspaniała pułapka, gdyby prześladowcy mieli tu pójść za nimi i gdyby byli uzbrojeni! Dobrze jest mieć zaradnego Addiego, który pomyślał, jak ich wyprowadzić w pole. Jeśli się tu zjawia, to zostaną skierowani na południe, na całkowicie boczne drogi.

- Chodźcie, trzeba iść i się rozejrzeć - ponaglał Marco.

Wtedy Miranda nareszcie mogła im pokazać pływające kamienie. Było jednak w grupie wielu znawców natury, więc odkrycie Mirandy zaimponowało jedynie Indrze.

Najszybciej jak mogli, zaczęli schodzić do DrekaGil. W głębi panowały cienie, zbocza gór stały strome, mała rzeczka czy też strumyk, w który się od czasu do czasu przemieniała, szumiał na dnie. Musieli balansować na brzegu, żeby nie wpaść w wielkie śnieżne zaspę, które zamykały drogę tak, że trzeba było się po nich wspinać w górę, a potem zjeżdżać na drugą stronę. W najwyższym stopniu prozaiczna rura z plastiku została ułożona wzdłuż rzeki i odprowadzała wodę, niszcząc przy tym całkowicie wrażenie kompletnego odcięcia od świata ludzi. Ale rura jest z pewnością pożyteczna dla pracujących czy też zatrzymujących się na tej samotnej placówce pośród pustkowi, uznała Miranda. Uśmiechnęła się sama do siebie. Jakiś czas temu na pokrytych lawą równinach spotkali nawet samochód służb informacyjnych. Sprawiał wrażenie absolutnie nie pasującego do otoczenia, ale na pewno spełniał ważną misję, informował podróżnych o warunkach drogowych i o pogodzie w tej nieprzyjaznej ludzicom okolicy. Wysoko na górskim zboczu wznosiły się dwie kamienne kolumny, strażnicy DrekaGil co najmniej pięćdziesięciometrowej wysokości, tak się przynajmniej Mirandzie zdawało. Zdawało jej się też, że owe kolumny śledzą intruzów bardzo daleko w głąb rozpadliny. W pewnym momencie rozpadlina zakręcała i znaleźli się w jeszcze bardziej izolowanym otoczeniu.

I tędy Dolg przechodził sam? zastanawiała się Miranda. W XVIII wieku, kiedy z pewnością nikt przedtem tu jeszcze nie był. Absolutna samotność.

Zaczynała coraz bardziej lubić tego Dolga. Niezwykłego młodzieńca, który przyniósł na świat wyjątkowe zdolności. A kiedy mówi coś takiego równie wyjątkowy Móri, to należy mu wierzyć.

Rozmyślała tak, wspinając się na kolejną zaspę, w butach miała pełno śniegu. Wkrótce nie będzie w grupie nikogo, kto by nie uratował Indry i jej ze szponów handlarzy narkotyków. Najpierw Marco, w sklepie, później Móri w Námaskardh, a teraz Addi z jeepem wśród kamiennych bloków. To, że ona sama uratowała wszystkich pierwszej nocy, nie przyszło jej nawet do głowy. Czuła tylko, że obie z siostrą muszą być najbardziej niezdarnymi dziewczynami na świecie. Co to mógł być za rodzaj narkotyków? Miranda wiedziała niewiele o takich sprawach, współtowarzysze podróży mówili jednak o czystym towarze, który z pewnością miał być przewieziony dalej na Grenlandię lub do Kanady. Policjant wspominał Addiemu, że od dawna poszukują jakiegoś Francuza i Holendra, traktujących Islandię jako punkt przelotowy. Owszem, to by się zgadzało. W Holandii jest przecież wielu blondynów i prawdopodobnie ich angielski przypomina angielską wymowę Islandczyków.

Ale w jaki sposób Bodil nawiązała z nimi kontakt? W Oslo oczywiście, poza tym ów Holender jest dość przystojny. I nic dziwnego, że nagle Bodil miała mnóstwo pieniędzy, choć nie dostała ich od ojca.

Ale jak dwudziestoletnia dziewczyna może być taka głupia? Myślała z pewnością, że jeśli celnicy znajdą towar, to cała wina spadnie na Indrę. Ale plan zawalił się w Keflavik. Uczucie złośliwej satysfakcji ogarnęło Mirandę, gdy uświadomiła sobie, że Bodil musiała dostać ostrą reprimendę od obu handlarzy za to, że tak gruntownie pomieszała im szyki. I że musieli wyprawiać się na pustkowia w poszukiwaniu swojego skarbu.

Ale dobrze im tak. Wszystkim trojgu. Nie przepuścili żadnej okazji, przecież ktoś wypytywał Addiego o plan podróży. Jakiś kolega. Z pewnością jednak kryli się za tym przemytnicy.

Rozpadlina okazała się niewiarygodnie głęboka i długa. Wkrótce znajdą się z pewnością w samym sercu Askji. Miranda była zafascynowana strumykami, płynącymi tuż pod warstwą lawy, rozchodzącymi się na boki od ciasnych korytarzy. Szła na samym końcu, ale jej to nie przeszkadzało, lubiła tak wędrować w milczeniu, pogrążona w marzeniach. Móri i Marco szli naturalnie na przedzie. Marco po to, by szukać śladów Dolga, Móri zaś myślał jedynie o poszukiwaniu syna. Jednej rzeczy Marco jednak Móriemu nie powiedział: że w rozpadlinie nie wyczuwa już śladów młodego czarnoksiężnika...

Nareszcie dotarli do dna. Z wysoka, ze zbocza góry raz po raz wypływała kaskada wody. Tutaj, jak wszędzie dokoła, lawa zastygła w niezwykłych formacjach, które przy odrobinie fantazji można by uznać za smoki.

Nagle wszyscy przystanęli. Trzeba było mówić głośno, by zagłuszyć szum wody. Masa zlodowaciałego śniegu utworzyła ponad strumieniem wysoki łuk, dałoby się tam pójść, gdyby ktoś chciał.

Móri poszedł. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej o losie Dolga. Wciąż wierzył w tę niemożliwą teorię, że jego syn szukał w DrekaGil Wrót.

Móri zaufał Marcowi. Jeśli ktoś może znaleźć rozwiązanie tej sprawy, to z pewnością on.

Szukali długo. Każdy milimetr dna i skalne ściany rozpadliny zostały dokładnie zbadane. Marco doniósł już Móriemu i pozostałym, że Dolg nie wyszedł stąd ową długą drogą pomiędzy skalnymi ścianami. To wzmocniło teorię Móriego, że Dolg przekroczył Wrota.

Pech polegał jednak na tym, że tutaj nie było żadnych Wrót. Ani najmniejszego śladu czegoś podobnego.

W milczeniu spoglądali na ściany, które wznosiły się nad nimi niemal do nieba. Nie istniała żadna możliwość, by ktoś mógł się na nie wspiąć.

Czy mógł tutaj umrzeć? Nie znaleźli przecież żadnych szczątków człowieka i Móri odrzucił ten pomysł kategorycznie.

- Dolg, podobnie jak ja, jest nieśmiertelny. Nie mógł tutaj umrzeć, on musi znajdować się w jakimś innym miejscu. Tylko jak w takim razie stąd wyszedł?

Przez głowę Mirandy przemknęła groteskowa myśl o helikopterze. Ale w XVIII wieku? I jaki by to musiał być helikopter? Taki nie istnieje, niezależnie od wszystkiego.

- Nie wiem - zaczęła z wahaniem. - Mam pewien pomysł...

Wszyscy spojrzeli na nią. Każdy pomysł zostanie przyjęty z wdzięcznością, nawet gdyby wydawał się szalony.

- Pomyślałam sobie - rzekła niepewna i zmieszana tym, że cała uwaga skupia się na niej.
- Pomyślałam, że może moglibyśmy zrobić tak jak kiedyś na mokradłach. Ująć się za ręce i skoncentrować. Może udałoby się nam wywołać jakiś obraz?

Wielu zebranych z radością przyjęło propozycję, Zwłaszcza zaś ci, którzy byli na mokradłach. Móri, Marco i Nataniel. Reszcie trzeba było wytłumaczyć, o co chodzi.

Indra i Gabriel cofnęli się o parę kroków.

- My nie posiadamy takich zdolności - westchnął Gabriel.

- Oczywiście, że macie! - zawołał Marco. - Jeśli tylko nie będziecie przeciwdziałać, możecie się okazać bardzo przydatni.

Oboje uradowali się z okazanego im zaufania, Indra mocno ujęła rękę Marca, a drugą podała ojcu.

Myśli Mirandy płynęły swobodnie. Dziwne, ale obie z Indra wcale nie patrzyły na Marca jako na ewentualnego ukochanego, nie mówiąc już o kochanku. Bodil tak właśnie postąpiła. Ale głównie dlatego, że chciała go pokazać swoim przyjaciółkom, chwalić się nim. Indra i Miranda natomiast widziały w nim sympatycznego towarzysza. Myśli o miłości, a zwłaszcza o erotyce, odsuwały od siebie, chociaż on jest naprawdę fascynujący. A może właśnie dlatego?

Czy to Marco sam chroni je przed takimi marzeniami? A może to całkiem po prostu sprawy, które go nie dotyczą? Jest przecież obcym przybyszem do ich świata. Jakkolwiek było, Marco cieszył się niezłomną lojalnością obu sióstr. Poczula ciepło w sercu na myśl o tym.

Przestraszona otrząsnęła się. Tylko na nią czekali z rozpoczęciem seansu. Chcieli zobaczyć, jaka scena rozegrała się tu przed dwustu pięćdziesięcioma laty.

Miranda i trzej panowie mieli już za sobą doświadczenie. Ellen, Gabriel i Indra czekali na instrukcje.

Marco zauważył:

- Jest nas teraz znacznie więcej niż poprzednio i mamy ze sobą Ellen, obdarzoną zdolnościami Ludzi Lodu. To nas wzmocni. A wy, Indro i Gabrielu... wyobraźcie sobie, że jesteście tutaj wraz z Dolgiem! Albo postarajcie się zobaczyć, jak wyglądał, może zresztą uda się wam odczuwać to samo, co on wtedy czuł. Najważniejsze, by nie przerywać koncentracji.

Rozpoczęli seans. Nie było na czym usiąść, wszystko wokół takie nieprzyjemne, zimne, przesycone lodem i śniegiem oraz wodą! Stali w kręgu z zamkniętymi oczyma, krople deszczu spływały im z włosów i toczyły się po twarzach. Miranda czuła w dłoniach ręce Móriego i Nataniela, powoli skupiała się.

Przez chwilę słychać było jedynie plusk wody i deszcz zacinający o skalne ściany. Móri rozpaczliwie starał się pokonać uczucie rozczarowania z powodu, że ślady syna rozplynęły się w nicłość. Był jednak tak przygnębiony, że miał trudności z koncentracją. Ręka Mirandy w jego dłoni zdawała się przemarznięta do szpiku kości, to skierowało jego myśli do jedynej córki, Taran, której nie widział od chwili, gdy rodzina zniknęła po tamtej stronie Wrót, zostawiając jego i Dolga na tym zimnym, pustym świecie. Tęsknił za radosnym, beztróskim śmiechem Taran...

- Ktoś przerywa więź - szepnął Marco.

- To ja. Wybaczcie mi - rzekł z pośpiechem Móri. - Zacznę od początku.

Tym razem poszło łatwiej. Reprimenda, jak widać, podziałała. Cała uwaga Móriego skupiała się na Dolgu i ostatnich chwilach, które przeżył właśnie tutaj, u końca drogi.

Jak cicho, jak cicho. Woda spływała z pluskiem, krople piany rozpryskiwały się i spadały na nich, ale nie miało to znaczenia, bo przecież i tak nieustannie siąpił deszcz.

Czas mijał i nagle usłyszeli głos Nataniela:

- Widzę konia.

- Ja też - dodał Marco.

Wszyscy pomyśleli to samo: To przecież szaleństwo! Żaden koń by tu nie wszedł, w ogóle żadne zwierzę nie pokonałoby otoczenia Askji.

Znowu cisza. Miranda bardzo wyraźnie odczuwała, że otaczające ją ściany przybliżają się, odczuwała też chłód i ten nieustanny deszcz...

Kolejny głos. Tym razem Ellen.

- Ważki?

- Ty też je widzisz? - zdumiała się Indra i otworzyła oczy.

Łańcuch został przerwany, musieli zaczynać od nowa.

To się nie uda, myślała Miranda. Zajmuję się nie tym, co trzeba.

Powinnam koncentrować się na Dolgu. Widzieć wszystko jego oczyma, po prostu być nim!

- Ważki? To niemożliwe - oponował Móri. - Tutaj nie ma tego rodzaju owadów.

- Ale ja je widzę - upierała się Ellen. - Zwyczajne i... Takie kolosalne.

- Wiem. Mnie się one również ukazują. Ale to nie może być prawda.

- Nie gadajcie tyle! - syknęła Indra, która teraz całą duszą angażowała się w poszukiwania. Bo także miała przeżycia! Takie same jak Ellen i Móri, jest jedną z nich!

- Indra ma rację - poparł ją Nataniel. - Musimy mówić, co dostrzegamy, ale powinniśmy czynić to nad wyraz dyskretnie, bez zbędnych rozmów.

Umilkli. Miranda powoli wkraczała znowu w cudowny trans. Patrzeć oczyma Dolga... Poczuć się na jego miejscu. A jeśli posunę się jeszcze dalej? Wcielę się w Dolga? Jeśli nie będę myślała jak on, lecz stanę się nim?

Miranda wybrała inną metodę niż poprzednio i teraz zadziałało! Coś jakby w nią wstąpiło, poczuła, że wypełniają ją myśli kogoś innego...

Co to? Jakiś... żal?

Nagle ów żal ogarnął ją tak gwałtownie, że aż krzyknęła boleśnie.

- Co się stało, Miranda?

- Samotność! Rozpacz. Zawód. Bezdenny żal i rozczarowanie tym, co zrobili źli ludzie, którym zaufałam, książęta... Anioł Śmierci. O, nie! To zbyt trudne!

- Brawo, Miranda! - zawołał Móri. - Podążaj tą drogą! Staraj się przeżyć jak najwięcej!

- Nie, ja...

- Owszem, dasz radę!

Przytaknęła skinieniem, nie otwierając oczu. Wrażenia napływały do niej, przenikały ją. Płakała cicho.

Marco przerwał krąg, stanął za nią i położył jej ręce na ramionach. Tym sposobem miała obok siebie takie silne media, jak Marco, Móri i Nataniel. Reszta zamknęła swój krąg i kontynuowała seans.

- Ważki, znowu są - upierała się Ellen, a Indra jej wtórowała. - Albo nie wiem... Niektóre są takie wielkie.

Miranda już tego nie słyszała. Kiedy Marco do niej podszedł, coś się z nią stało. Atmosfera zrobiła się niemal nieznośnie gęsta, kręciło jej się w głowie, jakby rozpadlina i skały wirowały wokół. Domyślała się, że zdaniem Marca i Móriego jest na właściwym tropie, więc starają się wzmacniać jej przeżycia.

Powietrze drgało z napięcia oraz z powodu tych skoncentrowanych wpływów, miała wrażenie, że ziemia się pod nią ugina.

Jakaś ostra wizja przemknęła przez mózg dziewczyny.

- Mały kwiatek? Cały gąszcz kwiatów na skalnej ścianie. Potem znowu tylko jeden jedyny. Jest jesień, inne kwiaty powiędły, czuję więź z tym samotnym.

Umilkła. Towarzysze milczeli również, miała wrażenie, że na nią patrzą, ale stwierdzić tego nie mogła.

- Masz rację - rzekł Marco, wciąż stojąc za jej plecami. - Kwiat coś oznacza. To symbol siły woli. Iskra życia.

- Dzięki ci, dobry Boże - wyszeptał Móri. Miranda drgnęła.

- Ktoś mnie wzywa. Albo... Jakieś cudowne, piękne imię.

- Nie - westchnął Nataniel zrezygnowany. - To niewłaściwy trop.

- Ależ tak. Cieniutki głos woła: „Lanjelin”. Widzę je. To ważki! Nie! Absolutnie nie, o Boże!

- Nie, nie, my się mylimy! - zawołał Móri i przerwał łańcuch. - Obudźcie się, wszyscy, Miranda znalazła rozwiązanie, prowadziliście nas właściwą drogą, tylko sami tego nie pojmowaliśmy! To nie są ważki, to elfy! O mój Boże, jak mogłem być takim głupcem?

Miranda odetchnęła ze świstem, kiedy Marco zdjął ręce z jej ramion. Mogła znowu być sobą.

- Otrzymałam odpowiedź - oznajmiła z dumą. - Dolg odebrał moje wezwanie. Dolg żyje, Móri!

Czarnoksiężnik ujął jej dłonie i serdecznie ścisnął. W oczach miał łzy.

- Ale mówiłeś, że elfy opuściły Ziemię, że one również przeszły przez Wrota - zapytał Gabriel, rozcierając przemarznięte ręce.

- Owszem, ale nie wszystkie elfy świata, widziałem tylko gromadkę zmierzającą do Wrót. Nie dostrzegłem na przykład ani króla, ani królowej elfów z Islandii, nie zauważyłem też Starca, pierwotnej siły Islandii. Słyszeliście jednak Mirandę. Ona na moment stała się Dolgiem. Elfy zawsze nazywały go Lanjelin, używały tego imienia, chociaż otrzymał je na chrzcie od swojej babki. Dziękuję ci, Mirando, dziękuję wszystkim, również tym, którzy widzieli konia. Bo to też prawda. Sposób poruszania się elfów, wiecie przecież! To one musiały wynieść stąd Dolga, stosując ten właśnie sposób.

- Wynieść go stąd? - zdziwił się Nataniel. - Owszem, to by wyjaśniło jego nagłe zniknięcie z DrekaGil. Tylko dokąd?

Móri westchnął.

- Moim zdaniem istnieje tylko jedno takie miejsce. To Gjáin, piękna dolina elfów.

13

W końcu przemoczeni i dygoczący z zimna wyszli z DrekaGil.

- Och, jak dobrze będzie teraz wsiąść do samochodu i włożyć na siebie suche i ciepłe ubranie - rozmarzyła się Indra.

- Powinniśmy też coś zjeść - dodał Nataniel. - Minęło sporo czasu od ostatniego posiłku.

Właściwie nie mieli nic w ustach od śniadania, nawet o tym nie myśleli. Na zewnątrz jednak nie dostrzegli żadnego samochodu, żadnego wytęsknionego jeepa ani Addiego.

- O Boże, a jeśli te dranie go uprowadziły? - jęknęła Ellen.

W tym samym momencie odetchnęli z ulgą. Niezwykły jeep wytoczył się na drogę w najwyższych regionach Askji. Rzucili się na wyścigi, żeby jak najszybciej znaleźć się w ciepłym wnętrzu pojazdu.

- Już się baliśmy, że uciekłeś od nas - zażartował Gabriel, gdy znaleźli się na swoich miejscach.

- Przecież powiedziałem, że będę trzymał straż w ukryciu - odparł Addi spokojnie. - Ale nikogo tu nie było. No i jak poszło?

- Znakomicie - poinformował Móri. - Teraz jedziemy do Gjáin.

- Gjáin? No to niezły kawałek. A nie powinniśmy przedtem czegoś zjeść? Najpierw wrócimy tam, gdzie do tej pory stałem, skąd widać wszystko, co się porusza w promieniu wielu kilometrów, ale nas nikt nie zobaczy.

W jakiś czas później ruszyli znowu w drogę. Rozgrzani, w suchych ubraniach i najedzeni.

Addi przeczesał palcami swoje kręcone, szpakowate włosy.

- Wyszło trochę głupio - powiedział. - Powinniśmy pojechać na lewo. Przez Gäsavatnaleid. Na południe od Askji i dalej na Sprengisandur, jeśli mamy dotrzeć do Gjáin. Ale po pierwsze, nie przepadam za tamtą drogą. Okropnie się na niej niszczą samochody i trzeba jechać niemal cały dzień, a po drugie, obiecałem policji, że spotkamy się z nimi około Herdhubreidharlindhir, oddamy im narkotyki a wy złożycie dodatkowe wyjaśnienia. To zaś oznacza, że musimy zawrócić i jechać po własnych śladach.

- No to jedziemy - zdecydował Móri - W końcu przecież nam się nie śpieszy. A podróż tędy była bardzo przyjemna.

- Wprawdzie ciekawiej jest poruszać się po nowych drogach, ale my przecież nie podróżujemy dla pięknych widoków - przyznała Indra. - A poza tym można się zdrzemnąć w samochodzie.

Tak też zrobili.

Nie dotarli jednak do Herdhubreidharlindhir. Wielkie, otwarte pola lawowe sforsowali bez trudu, kiedy jednak znaleźli się w ciasnym przejściu między skałami, na drodze z głębokimi koleinami i wysokimi krawędziami, zostali zatrzymani.

W poprzek drogi stał jeep, obok zaś czekali na nich dwaj uzbrojeni po zęby mężczyźni.

W eleganckim hotelu w Reykjavíku Bodil próbowała zabijać czas, flirtując z bogatymi, wytwornymi turystami i zmieniając co godzina swoje piękne, zgodne z najnowszą modą ubrania.

Niecierpliwiła się, prawdę powiedziawszy, była wściekła. Bodil potrzebowała pieniędzy, mnóstwa pieniędzy, by móc prowadzić życie na takim poziomie, do jakiego, w swoim przekonaniu, miała święte prawo. Ojciec jest skąpy, nie zdoła z niego wydusić więcej niż dotychczas. Z wuja Gabriela również nie, to głupi i naiwny człowiek, łatwo go oszukać, a

poza tym do szaleństwa w niej zakochany, niestety, jeśli chodzi o pieniądze, to źródło już się wyczerpało. Kiedy więc urodziwy Holender, Piet, przyszedł do niej z propozycją w związku z jej podróżą na Islandię, nadstawiła uszu. Spotkali się w jakimś lokalu w Oslo i żadna ze stron nie miała wątpliwości, że to drugie próbowało zarówno kokainy, jak i innych środków, bo przecież wszyscy tak robią, to bardzo eleganckie i nowoczesne. Piet i jego francuski kompan obiecali Bodil okrągłą sumkę, co więcej, wręczyli nawet zaliczkę, i to niemałą, tak że mogła sobie kupić odpowiednie ubrania na wyjazd do Reykjavíku. Towar. Ona miałaby go przemycić? Nie, nie, dziękuję! To zrobi ktoś inny!

Indra. Indra, ta najgłupsza i najbardziej tępa dziewczyna.

Czyż Bodil mogła przewidzieć, że sprawy tak się poplączą już na lotnisku w Keflavík? Czy mogła coś poradzić na to, że ci idioci bezpośrednio z lotniska chcieli wyruszyć na pustkowia, nie zatrzymując się najpierw w hotelu w Reykjavíku? Zrobiła co mogła, by dostać płaszcz przeciwdeszczowy Indry, ale wszystko się przeciwko niej sprzyściło, biedna Bodil, a teraz Piet i jego kompan odważyli się na nią krzyżeć! Piet może sobie iść do diabła, Marco jest dużo przystojniejszy. Marco, który oczywiście ukrywa swoją miłość do niej w tajemnicy przed całą grupą. Ona jednak wie na pewno, że jest w niej śmiertelnie zakochany, czyż mogło być inaczej?

Piet skontaktował się z piracką firmą, która wozila jeepami turystów. Przekonał nawet kierowcę, by zadzwonił do Addiego i wypytał, dokąd wybierają się Norwegowie. Po czym Piet pożyczył jeepa i obaj z koleżką wyruszyli w drogę. Próbowali zmusić Bodil, by im towarzyszyła, ale ona za nic nie chciała. Przecież zrobiła już swoje, narażając i życie, i opinię dla ich podejrzanych interesów, lecz także z powodu tej okrągłej sumki, którą jej obiecali, choć o tym wolała nie wspominać.

Od ich wyjazdu minęło już kilka dni Czyżby odebrali towar i uciekli, nie płacąc jej?

Nie, tego zrobić nie mogli. Wiedzieli przecież, że Bodil może pójść na policję i opowiedzieć o sprawie.

No nareszcie, ktoś puka do drzwi, to z pewnością oni.

Poszła otworzyć. Bogu dzięki, nareszcie skończy się siedzenie w tej norze i wyczekiwanie.

Gdy Bodil zobaczyła na korytarzu dwóch policjantów, w pierwszej chwili chciała zatrzaskać drzwi z powrotem i zamknąć je na klucz, ale to by było zbyt głupie. Uśmiechnęła się zatem do gości swoim najpiękniejszym, najbardziej zdumionym uśmiechem.

Sprawa nie wyglądała dobrze. Policjanci przyszli, by ją zabrać na komisariat. Ale dlaczego, dopytywała się przewracając do nich oczyma, wiedziała, że mężczyznom

trudno się oprzeć jej uroczemu spojrzeniu, więc czemu z policjantami miałyby być inaczej? Mają przecież w spodniach to samo, co każdy chłop.

Przemyt narkotyków? Ależ to kompletna pomyłka, proszę wejść i przeszukać pokój, cóż wy sobie myślicie?

Policjanci wyjaśnili, że narkotyki zostały już odnalezione i opieczętowane.

Przecież Bodil nie ma z tym nic wspólnego, to Indra, która...

Wsypała się sama.

Policjanci wyrazili zdziwienie. Jak to, wiedziała o przemycie tego rodzaju towaru i nie zawiadomiła policji? Nie posiadając się z wściekłości, Bodil musiała przejść przez hotelowy westybul prowadzona przez dwóch policjantów a wszyscy gapili się na nią. Nic jej nie pomogło to, że dobrowolnie opowiedziała o Piecie i jego francuskim kumplu. Nie, nie wie, gdzie oni się teraz znajdują, i w ogóle nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Drzwi do celi zamknęły się za nią z trzaskiem. Za nią, Bodil, jedną z największych piękności Oslo, która mogłaby zostać Miss Świata, gdyby nie czepiali się tych jakichś nędznych paru centymetrów, i która potrafiła owinać sobie wokół palca najwyższej postawionych mężczyzn w kraju. Ale z pewnością Marco pojawi się wkrótce i wybawi ją z nieszczęścia.

Och, do jakiej okropnej nory trafiła! Jak tu śmierdzi! Szczerze mówiąc, zapach był przyjemny, a cała cela klinicznie czysta, Bodil jednak powoli wpadała w histerię. Słyszała wrzaski innych aresztantów, może jakieś przekleństwa gdzieś niedaleko. To nie byli Islandczycy. Słowa brzmiały podobnie do skandynawskich, ale grube ściany przepuszczały tylko niezrozumiałe dźwięki.

I tutaj ona ma zostać! Zdążyła się już powołać na wysoką pozycję ojca, który bardzo wiele może, ale na nikim nie zrobiło to wrażenia. Do celi wprowadziła ją policjantka, bo pewnie się bali, że mężczyznę mogłaby uwieść! Och, jakie to niesprawiedliwe! Jak ci wstrętni ludzie mogli zrobić taką krzywdę Bodil?

Ale dostaną za swoje! Kiedy tylko wszyscy jej adoratorzy dowiedzą się, jaka niesprawiedliwość ją spotkała, zjawią się tu z odsieczą. Naturalnie pierwszy przyjedzie Marco. Natomiast Indra zostanie uwięziona za przemyt, bo to przecież jej wina. Gdyby się tak nie upierała, oddała swoją torbę i płaszcz przeciwdeszczowy, nic złego by się nie zdarzyło,

To po prostu okropne!

Piet i jego koleżka czuli się bardzo pewni siebie, stojąc oparci o bok jeepa, każdy z pistoletem maszynowym w rękach. Długo i powoli wymieniali magazynki, zdawało im się chyba, że są kimś w rodzaju Arnolda Schwarzeneggera i mają władzę nad światem. Norwegowie mogą mieć pretensje do siebie samych, dotychczas Piet i Francuz próbowali odebrać swój towar podstępem, bez rozgłosu. W końcu jednak wpadli w desperację. Deszcz zaczął już padać, dziewczyna musiała znaleźć paczkę w swoim płaszczu, żadne prośby więc nie pomogą.

Teraz należało działać szybko i skutecznie. Piet liczył na to, że tamci dobrowolnie oddadzą narkotyki. Chciał ich tylko postraszyć tym pistoletem, było ich zbyt wielu, by powystrzelać wszystkich, narobiłoby to za dużo hałasu. Piet i jego przyjaciele woleli działać po cichu, w ten sposób można bez przeszkód funkcjonować przez długi czas.

Ale broń, ukradzioną z jakichś magazynów wojskowych, teraz została wymierzona w samochód.

Piet był wściekły sam na siebie. Uwierzył, że zawrócił w głowie tej idiotce Bodil i że ona gotowa jest zrobić dla niego wszystko, że jest taką samą awanturnicą jak on. Tymczasem nie. Tchórzliwie przełożyła narkotyki do bagażu kogoś innego i oto skutki. Wszystkie próby odzyskania towaru spaliły na panewce.

No, ale teraz mają Norwegów w kleszczach.

- Co robimy? - zapytał Addi.

- Po prostu ich rozjedź - poradziła Indra.

Addi rozejrzał się po okolicy. Nie mógłby tutaj zawrócić, a przecież gdyby chciał ich staranować, musiałby mieć co najmniej sto metrów na wzięcie rozpędu. Tymczasem tamci dwaj zdążyliby ich powystrzelać, w każdym razie kompletnie zniszczyć samochód.

Marco i Móri wymienili spojrzenia. Po czym obaj skinęli głowami.

- Pozwólcie, że my się tym zajmiemy - poprosił Marco.

- Ale przecież nie możecie...! - zawołała Ellen, gdy obaj wstali i wysiedli z samochodu. - Nataniel, zrób coś, powstrzymaj ich!

- Dadzą sobie radę - uspokoił ją mąż.

Miranda zaciskała dłonie na oparciu fotela przed sobą. To się nie może dobrze skończyć, myślała. Oni obaj posiadają magiczną siłę, ale co to znaczy w zestawieniu z pistoletem maszynowym?

- Zawsze tak jest, kiedy społeczeństwo wyzbywa się zasad - mruknęła.

- Tylko nie zaczynaj znowu - jęknęła Indra.

Addi już miał wyskoczyć z samochodu i powstrzymać dwóch swoich pasażerów, by nie zrobili jakiegoś głupstwa. Już trzymał rękę na klamce, ale nie ruszył się z miejsca. Co się tam dzieje?

Kiedy wysiedli, Móri powiedział do Marca: „Ty zajmij się blondynem, a ja tym drugim” i Marco skinął głową.

Ruszyli do akcji.

Addi widział i słyszał co nieco na temat możliwości tych dwóch, ale za to będą chyba musieli zapłacić.

Ani Piet, ani Francuz nie pojmowali niczego. Zdążyli tylko pomyśleć: Oni nie wyglądają jak normalni ludzie, żaden z nich. Co ten starszy zrobił nam w Námaskardh? Dlaczego ani Piet, ani ja nie mogliśmy wstać z błota?

Ale... Teraz, przeciwko pistoletom maszynowym, nie mają żadnych szans.

Zdążyli już unieść broń, najpierw ostrzegawczo, ale jeśli ci dwaj ciemnowłosi faceci podejną bliżej, to zobaczą.

Młodszy, niebywale przystojny mężczyzna uniósł lekko dłoń i pistolet wypadł Piętowi z rąk, po czym poleciał do obcego. W następnym momencie tamten przestrzelił koło jeepa i powietrze uchodziło z sykiem. Tymczasem stało się coś z pistoletem Francuza. Piet nie widział tego, bo zajęty był swoimi sprawami, poza tym tamto go nie dotyczyło. Ale Francuz zobaczył ni stąd, ni zowąd, że stoi oto i trzyma w dłoniach wijącego się węża. Odrzucił go z dzikim wrzaskiem. Pistolet upadł na ziemię i niezależnie od tego, jak bardzo Francuz starał się go podnieść, nie był w stanie się schylić, ręce miał sparaliżowane, podobnie jak i wolę. Humor mu się nie poprawił, gdy spostrzegł, że młodszy z obcych mierzy do nich z pistoletu Pieta. Okropnie to wszystko denerwujące!

Żeby nie powiedzieć groźne!

- Addi, masz coś, czym moglibyśmy ich związać? - zawołał młodszy.

Szofer wielkiego jeepa sprawiał wrażenie równie oniemiałego jak przemytnicy, teraz jednak wysiadł z samochodu i ze swojej skrzyni z narzędziami przyniósł długą linę.

Gdyby Piet i Francuz trochę lepiej znali się na ludziach, powinni by zrozumieć, że pistolet maszynowy nie jest dla tamtych niebezpieczny. Oni jednak oceniali innych według swoich zasad.

Piet był bliski furii Wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Nie zdążyli nawet zapytać o swój towar, w ogóle niczego nie zdążyli, i stoją oto z otwartymi gębami jak idioci, nie protestując przeciwko niczemu!

Ale co mogliby zrobić?

Zemsta, to jedyne, o czym Piet myślał. Myślał jeszcze o tym, jak odzyskać swój milionowej wartości majątek, który nadal znajdował się w rękach Norwegów.

Posyłał im w duszy wiązanki straszliwych przekleństw.

- Dzwonię po policję - szepnął Addi do Marca.

- Świetnie. I powiedz Natanielowi oraz Gabrielowi, by tymczasem związali porządnie tamtych drani.

W jakiś czas potem mogli odjechać, zostawiając przemytników z dala od ich samochodu, który Addi z pomocą pasażerów zdołał odsunąć na bok tak, by jego superjeep mógł przejechać.

- Mam nadzieję, że deszcz znowu lunie! - zawołała Miranda do związanych handlarzy. - To bardzo dobrze robi na suszę.

Pełne wściekłości przekleństwa w jakimś obcym języku były jedyną odpowiedzią.

Przyjechała karetka policyjna i musieli złożyć raport o całej sprawie oraz przekazać narkotyki, na które Piet spoglądał wygłodniałym wzrokiem. Trudno rozstrzygnąć, czy sam był uzależniony, czy też żałował straconych milionów. Policja pochwaliła Norwegów za nieocenioną pomoc, zwłaszcza za ostatni wyczyn. Pokonać i związać dwóch uzbrojonych po zęby drani, to prawie niewiarygodne. Policjanci poinformowali ich także, iż Bodil została aresztowana.

Indra i Miranda westchnęły nie bez złośliwości „Bogu dzięki”.

14

Przenocowali w Akureyri, drugim co do wielkości mieście Islandii, gdzie młodzi ludzie podczas tej letniej jasnej nocy jeździli samochodami po ulicach. Miranda wychodziła na balkon, żeby ich pozdrowić, ale Indra spała głęboko.

Tym razem Sprengisandur pokonali szybko i bezboleśnie. Móri, ożywiony nadzieją odnalezienia Dolga w Gjáin, zapomniał o swojej nienawiści do kamiennej pustyni. Indra leżała wygodnie na ostatnim siedzeniu i zajadała „flatkökur med hangikjött”, islandzki specjał, w którym się zakochała.¹ Ku wielkiemu zmartwieniu Addiego, który drżał na myśl o tym, że pasażerowie będą dotykać oparcie foteli rękami wymazanymi w tłuszczu. Miranda siedziała na przedzie i dyskutowała z Addim o polityce Islandii, roztrząsała życie społeczne i przyszłość kraju. Już zaczynała rozprawiać z ożywieniem o wymaginowanych niesprawiedliwościach, gdy Addi zawrócił z równej drogi i pojechał w kierunku Thjorsárdalur. Szkoda, ponieważ dziewczyna gotowa była właśnie rozwiązać wszystkie problemy Islandii.

- Jechaliśmy przecież tą drogą w tamtą stronę - rzekł Móri zdumiony.

- Oczywiście - potwierdził Addi. - Gdybyśmy przewidzieli rozwój wydarzeń, uniknęlibyśmy długiej podróży.

- Ale przecież dowiedzieliśmy się o tym dopiero w DrekaGil.

Addi nic na to nie odpowiedział. Nie był w stanie pojąć, jak ktoś mógł uzyskać rozsądne wyjaśnienia w głębi Smocznej Przełęczy.

Krajobraz pozostał tak samo monotony. Szaro, ponuro i, jak okiem sięgnąć, kompletnie naga ziemia. Wąska droga przeznaczona dla samochodów, wyboista jak nie wiadomo co, wila się pomiędzy poszarpanymi, niskimi skałami i stosunkowo gładkimi polami lawy. To dzieło Hekli, obecnie najśłynniejszego wulkanu na Islandii, w pobliżu której właśnie się znajdowali. Na wprost przed sobą mieli Búrfell, tego kolosa, który panuje samotnie nad Thjorsárdalur. Búrfell, czyli Góra Wieloryba. Odpowiednia nazwa.

Nagle Addi przyhamował.

- Gjáin - oznajmił i wskazał na niewielki, dyskretny szyld skierowany ku... No tak, to nie było co.

Cokolwiek rozczarowani, wysiedli z samochodu i poszli we wskazanym kierunku. Zdążyli zrobić kilka kroków i... Z szarej nicości, którą widzieli obok siebie, wyłoniła się nagle przed nimi piękna dolina, położona głęboko, jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu metrów poniżej miejsca, w którym stali. Stroma ścieżka wiodła w dół do baśniowej krainy. Żółte kwiaty rosły na szmaragdowozielonych wzgórzach, jakiś błękitny elf ukazał się nad wysokim wodospadem i przeleciał obok dziwnych formacji skalnych, przy których Dolg spotkał niegdyś Starca. Przed sobą widzieli „wejście” do wnętrza góry.

- Cóż za idylla - westchnęła Ellen ze łzami w oczach. - Po prostu Arkadia. Tak jest, jeśli elfy gdzieś mieszkają, to właśnie tutaj!

Wstrzymując dech schodzili w dół. Ścieżka była stroma i kręta, należało iść bardzo ostrożnie. Addi nie był pewien, czy ma im towarzyszyć, czy nie, lecz Móri zaprosił go gestem ręki.

- Pojęcia nie mam, czy coś zobaczysz, czy w ogóle będziesz mógł coś widzieć, przeżyłeś jednak już z nami to i owo, prawda?

- Oczywiście - odparł Addi. - Zamierzasz więc wyprowadzić swego syna z wnętrza góry? Ale ten, kto znajdzie się we władzy elfów...

- Łatwo się stamtąd nie wydostanie - Móri skinął głową. - Tylko że po pierwsze, nie wiemy nawet, czy on rzeczywiście tutaj jest, a po drugie, mamy do elfów specjalny stosunek. One nie życzą nam niczego złego. Mają na uwadze jedynie dobro Islandii. Istnieją elfy światła i elfy ciemności, albo czarne elfy, jeśli wolisz. Te są dobre. Elfy światła.

Bardzo sceptycznie usposobiony Addi zszedł na dno doliny. Poważnie wątpił, czy elfy naprawdę istnieją - tutaj lub gdziekolwiek indziej. Móriego pochłaniały wspomnienia o tym, co się stało, kiedy byli tu poprzednim razem. On nie towarzyszył synowi w dniu, w którym Dolg po raz pierwszy spotkał Starca, Móri i reszta rodziny nie otrzymała też pozwolenia na towarzyszenie Dolgowi, kiedy ten szukał tajemniczego skarbu, jak się później okazało, drugiego świętego kamienia, czerwonego farangila. Móri jednak i rodzina mogli oglądać dolinę i byli zafascynowani jej urodą. Teraz okazała się równie piękna. Pojawił się tylko jeden nowy element: ścieżki. Ścieżki w dół i ścieżki przecinające dno doliny, a także mostki wzniesione ponad strumykami płynącymi wzdłuż i w poprzek przez zielone łąki i pokryte kwieciami wzgórz.

Od dawna dręczyła go bardzo nieprzyjemna myśl: co będzie, jeśli Dolg tutaj jest i oni go odnajdą... co będzie, jeśli stał się jednym z tamtych, elfem? Co będzie, jeśli nie rozpozna swego ojca?

Ta myśl była nie tylko nieprzyjemna, była trudna do zniesienia.

No cóż, Móri pamiętał przynajmniej opowiadanie Dolga o tym, jak nawiązał kontakt z elfami albo, mówiąc ściśle, ze Starcem. Pierwotną siłą Islandii. To wcale nie było takie proste. Dolg musiał przejść przez mnóstwo prób, zanim go zaakceptowali, ale i wtedy nie został wpuszczony do środka, przeciwnie, to Starzec wyszedł na zewnątrz i zabronił chłopcu odwracać się i patrzeć na gromadę elfów. Dopóki Dolg nie uratował z niewoli w Ófærufoss króla elfów, nie otrzymał prawa na wejście do wnętrza góry, by szukać tam ukrytych klejnotów. Choć i to również była niezwykle skomplikowana historia, z mnóstwem nowych prób.

Po tym wszystkim został po prostu usunięty, wyniesiony z góry przez nie wiadomo kogo, bez możliwości powrotu, choćby po to, by podziękować.

I nie otrzymał tego prawa do chwili, dopóki nie znalazł się w Drekgil, zwabiony tam, o ile wiadomo, przez złych rycerzy. Co się tam stało? Miranda miała wprawdzie wizję, z której wynikało, że przybyły elfy i zabrały go z rozpadliny, ale jeśli ta wizja jest jedynie wytworem fantazji dziewczyny? Albo jeśli elfy go unicestwiły?

Na jakiej podstawie Móri i jego przyjaciele mogli sądzić, że zostaną wpuszczeni do wnętrza góry, skoro to było takie trudne nawet dla Dolga, dla Wybranego?

Czarnoksiężnik szedł pogrążony w ponurych myślach. Nagle drgnął na dźwięk delikatnego, przyjaznego głosu Nataniela:

- Móri, czy nie byłoby lepiej, gdybyś ty tam poszedł sam? Oni nas nie znają.

- Mnie też raczej nie. - Móri zastanawiał się. - Pamiętam, że Dolg musiał czekać w absolutnej ciszy i samotności, kiedy znalazł się tu po raz pierwszy. Żadne inne stworzenie nie mogło przebywać nawet w pobliżu doliny, dotyczyło to również jego konia. Elfy nie ufają ziemskim istotom. Sądzę jednak, że teraz ta sprawa z samotnością nie jest już taka ważna. Natanielu, czy mogę zabrać ciebie i Marca?

Nataniel uważał, że on sam nie wywrze żadnego wpływu na rozwój wydarzeń, ale miło byłoby pójść tam razem z Markiem. Tak więc obaj zdjęli z nóg obuwie i poszli przez lodowato zimną ziemię, potem wspięli się na jasnobrązowe kamienne półki u podnóża góry. Reszta czekała na zielonych łąkach. Addi, pogrążony w zadumie, odczuwał głęboką rezerwę wobec tego, co się tu dzieje, ale był też bardzo zaintrygowany.

Tamci stali przez jakiś czas i szykowali się do wypełnienia zadania.

W końcu Móri dotknął skały i zawołał:

- Pierwotna siła Islandii, którą nazywają Starcem! Królu i królowo elfów! Czy pamiętacie mnie? Jestem Móri z rodu czarnoksiężników. Poszukuję mojego syna, Lanjelina. Czy wiecie, gdzie on przebywa?

Szum wiatru ustał, łoskot wodospadu przycichł. Ptaki szukały schronienia w licznych otworach wyżłobionych w skale.

Jakiś człowiek wzywa niewidzialnych.

Móri ciągnął:

- Nie macie się czego obawiać, ani z mojej strony, ani ze strony moich towarzyszy. Ten człowiek, który stoi obok mnie, to książę Czarnych Sal. Marco brzmi jego imię, dobroć jest jego szlachetnym znakiem. Pozostali to wspaniali potomkowie norweskiego rodu Ludzi Lodu, znani ze swoich niezwykłych umiejętności, jeśli chodzi o świat pozazmysłowy. Jest też z nami dzielny Islandczyk, najszlachetniejszy z ludzi.

Mój Boże, oni stoją tam i przemawiają do skały, pomyślał Addi, a ja stoję tutaj i życzę żeby im się udało. Podświadomie starał się, by jego myśli były przyjazne i pozytywne. Coś się tam zaczynało dziać, nawet on był w stanie to zauważyć. Tak cicho jak teraz nigdy w dolinie Gjáin nie było.

Rozległ się jakiś głos i wszyscy go usłyszeli. Głos był stary, lecz silny, i zdawał się pochodzić z pustej przestrzeni pod górą, może z ziemi pod nimi albo z nieba nad nimi.

- Bądź pozdrowiony, Móri z rodu czarnoksiężników! Bądź pozdrowiony, książę, znamy waszego ojca, chociaż on wędruje po innych krainach niż nasza. Zażądam od was hasła, najpierw jednak musicie się oddzielić od ludzi, którzy nigdy nie przebywają w innych wymiarach niż ziemski.

Wszyscy popatrzyli na siebie z niepokojem.

- Ów wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o przenikliwych oczach może zostać. Podobnie starsza kobieta. I młoda dziewczyna o płonących włosach.

Skinęli głowami. Powinni byli zrozumieć, że Starzec zagląda do ich podświadomości. Wybrał spośród przybyłych tych, którzy posiadają rozpoznawczy znak Ludzi Lodu, zdolność widzenia tego, co ukryte.

- Pozostała trójka musi odejść stąd na chwilę. Zawsze jednak będziecie mile widziani w naszej dolinie.

Gabriel, Indra i Addi opuścili okolicę, wszyscy troje skrywając rozczarowanie. Również Addi, który przecież sądził, że przyjmie taką decyzję z ulgą.

Kiedy zniknęli za szczytem wzgórza, Starzec powiedział trojgu innym, by zatrzymali się na zielonych wzniesieniach. Natomiast Móriego i Marca poproszono, by poczekali tam, gdzie są.

- Hasło? - zapytał Móri. - Jesteśmy gotowi spróbować. Możemy jednak natrafić na poważne trudności.

Przemawiający do nich najwyraźniej się uśmiechał.

- O to właśnie chodzi z tym hasłem. A więc posłuchajcie: Co takiego otworzyło tę bramę przed Lanjelinem, kiedy przybył tutaj szukać ukrytych skarbów starego ludu?

Mówiąc „stary lud” miał zapewne na myśli Lemurów, tyle Móri pojmował. Skarb to farangil, ich wytęskniony klejnot.

Myślał intensywnie. Tyle różnych rzeczy Dolg musiał zrobić, by dotrzeć do skarbu. Ale co ostatecznie otworzyło mu bramę w górze? Tę zewnętrzną bramę?

Głęboko wciągał powietrze.

- To klucz... klucz spoczywający w małej szkatułce, którą Dolg dostał przy chrzcie w prezencie od swojego dziadka Hraundrangi-Móriego.

Żadna odpowiedź nie nadeszła. Kiedy jednak stali tak bez ruchu jakiś czas, rozległo się skrzypienie i zgrzyty w kamiennych drzwiach.

Wejście zostało otwarte.

Podobnie jednak jak Dolgowi, kiedy po raz pierwszy odwiedził dolinę, nie pozwolono im wejść do środka. Zamiast tego z bramy wyłonił się Starzec, dokładnie tak jak wówczas.

Mimo woli Ellen i Miranda ukłoniły się głęboko tej pradawnej istocie o śnieżnobiałych włosach i brodzie. Również mężczyźni pozdrawiali go z wielkim szacunkiem.

Móri zapamiętał pewien szczegół z opowiadania Dolga. Ubranie Starca wówczas było zniszczone i niemal całkiem wypłowiałe. Starzec powiedział, że odzyska ono dawny blask, kiedy elfy zdobędą prawo powrotu do utraconej wielkości.

Teraz jego strój prezentował się wspaniale, niebieski płaszcz obramowany białym futrem, a pod spodem kostium haftowany złotem. Stojąca przed nimi istota była nieduża i zmaląła ze starości i zmartwień o swoją ukochaną Islandię, ale trzymała się prosto, jak przystoi królowi, zwłaszcza że ten był nie tylko królem, był kimś dużo, dużo ważniejszym.

Tak więc Dolg pomógł im wszystkim powrócić do Gjáin, gdzie czekała ich nowa sława i szacunek? Dzięki temu, że uwolnił więzionego króla elfów. Móri myślał pospiesznie: Czy ów czyn mojego syna pomoże naszej sprawie, czy też wręcz przeciwnie? Może elfy nie będą chciały wypuścić swego wybawcy i bohatera?

Powtórzył pytanie głośno, najuprzejmiej jak potrafił, tak, jak się przemawia do kogoś, kto pochodzi z czasów, zanim na Islandii pojawił się pierwszy człowiek:

- Powiedziano nam, że mój syn Lanjelin kiedyś, według ziemskiej rachuby czasu bardzo dawno temu, odnalazł drogę do waszej doliny. Czy moglibyście mi, panie, uprzejmie wyjaśnić, jak to się stało? Bardzo bym chciał spotkać go ponownie.

Marco był zdumiony tym, jak pięknie Móri formułuje swoje wypowiedzi. Starzec spoglądał na nich oczyma zawierającymi całą mądrość świata.

- Słusznie przypuszczacie. Wasz syn, Lanjelin, znajduje się u nas i myślę, że czuje się dobrze.

- Ja również jestem o tym przekonany. I rozumiem, że wy, panie, oraz wielce szanowne elfy uratowaliście go w bardzo trudnej sytuacji.

- Tak było. Żli ludzie skazali go na straszliwą samotność. Po porozumieniu się z ich wysokościami królem i królową elfów zdecydowaliśmy się go stamtąd zabrać. Z Drekagil, jak ludzie nazywają rozpadlinę. Czy wasza sprawa dotyczy wyłącznie spotkania z nim?

Móri wahał się. Oddychał głęboko.

- Nie, o, Mądry, ty który zaglądasz w serca ludzi. Tęsknimy za nim strasznie, teraz ja mam na świecie tylko jego i wspólnie powinniśmy poszukać drogi do Wrót, przez które moja żona, a jego matka, oraz jego rodzeństwo i cała nasza rodzina przeszły na drugą stronę. Nas niestety żli ludzie zatrzymali w ostatniej chwili. Mnie złożyli do ukrytego grobu, gdzie ani żywy, ani umarły leżałem, dopóki obecni tutaj moi przyjaciele nie zdjęli mi kajdan.

Zastanowiwszy się chwilę, Starzec odpowiedział:

- I mimo wszystko szukacie, panie, tych właśnie Wrót?

- Bardzo bym chciał odnaleźć rodzinę, więc muszę szukać Wrót. Najpierw jednak chciałem odszukać Lanjelina. Dopiero później innych. Chciałbym się przekonać, czy powodzi im się dobrze.

- Tak myśli tylko troskliwy ojciec rodziny - skinął głową Starzec. - A zatem Lanjelin przebywał u nas, ku naszej wielkiej radości i pożytkowi. Nie możemy jednak być takimi egoistami, by zatrzymać go tutaj wbrew jego woli. Mamy, mój dobry czarnoksiężniku, do rozwiązania pewien problem. Lanjelin musi sam wybierać. Jeśli wybierze nas... to czy wy uznacie jego decyzję?

Móri spociał się ze strachu. Co się stanie, jeśli Dolg postanowi zostać u elfów?

Oddychał głęboko.

- Z rozpaczą i najgłębszym żalem w sercu uznam jego wybór, jeśli będzie on korzystny dla was.

Stary uśmiechnął się smętnie i położył dłoń na ramieniu Móriego. Ten zaś poczuł, jakby obciążęły go wszystkie smutki, trudności i zmartwienia świata.

- Tak mówi pozbawiony egoizmu ojciec. Powiadam wam tedy, że jeśli wasz syn zechce pójść z wami, trzeba będzie przejść przez dodatkową próbę...

O, nie, już nic więcej, prosił w duchu Móri.

Starzec uśmiechnął się.

- Zdecydowaliście rozumnie, czarnoksiężniku, biorąc ze sobą tak potężną siłę, jak księżę Czarnych Sal, oraz jednego z tych, którzy czekają na łące. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że Lanjelin został powiązany z naszym światem więzami elfów, w przeciwnym razie bowiem nie mógłby u nas żyć. Ale wy, czarnoksiężniku, jesteście tylko człowiekiem, wy sami, panie, jesteście zbyt słabi, by móc uwolnić go z tych więzów. Zobaczymy, czy inni towarzyszący wam zdołają tego dokonać!

Móri czuł, że napięcie, które nie opuszczało go od dłuższego czasu, osiągnęło kulminację tutaj w dolinie i że nowa czekająca go próba może okazać się ponad jego siły.

Co będzie, jeśli Dolg wybierze „źle”? Albo jeśli elfy go nie uwolnią? Albo jeśli on zgodzi się pójść z ojcem, lecz wbrew swojej woli zostanie zatrzymany w górze?

Nad niczym więcej nie zdołał się zastanowić, ponieważ Starzec gestem polecił, by wrócili do przyjaciół po drugiej stronie rzeki i czekali tam z nimi. Móri potrafił to zrozumieć, miejsca na skalnych półkach było bardzo niewiele. Starzec znowu przekroczył bramę, która zatrzasnęła się za nim.

Marco ścisnął ramię Móriego, jakby dając znak, że rozumie rozpacz przyjaciela. Powlekli się z powrotem, nie musieli jednak referować całej rozmowy czekającym tam towarzyszom, ponieważ ci słyszeli wszystko. Taka cisza panowała w Gjain, w czasie gdy odbywało się spotkanie między widzialnymi i niewidzialnymi.

W górze na skałach Indra próbowała zbliżyć się do krawędzi, by zobaczyć, co się dzieje, lecz Gabriel i Addi zdążyli ją zatrzymać. Wtrącanie się w nie swoje sprawy mogłoby spowodować nieobliczalne szkody.

Niżej w dolinie trwało niespokojne oczekiwanie i jakaś potworna, nienaturalna cisza.

W jakiś czas później kamienne drzwi zostały otwarte i Starzec ponownie wyszedł na zewnątrz. Prowadził ze sobą pięknego, rosnącego młodzieńca.

Dolga Lanjelina Matthiasa, syna czarnoksiężnika.

15

Miranda z niedowierzaniem wpatrywała się w tę dziwną zjawę. Zauważyła, że Móri postąpił kilka kroków naprzód i z trudem wciągał powietrze, co zresztą znakomicie rozumiała, bo przecież kiedy się rozstali, syn wyglądał zupełnie inaczej.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że to syn Móriego. Ale rysy miał teraz delikatniejsze niż ojciec, poza tym cechowała go ta jakaś dziwna bladość z odcieniem kości słoniowej, o której Miranda już słyszała, sprawiał też wrażenie w jakiś sposób „bardziej rasowego”. Mimo że w istocie był bastarden, co potwierdzały jego czarne niczym węgiel oczy o kształcie migdałów. Mówiono jednak, że Lemurowie to bardzo urodziwy lud. Ale nie to było w nim

takie dziwne. Móri twierdził, że Dolg stał się w jakiś sposób jakby przezroczysty, ponieważ przebywał długo w pobliżu Świętego Słońca i obu szlachetnych kamieni. Odrobinę przezroczysty? Bardzo łagodne określenie!

Zdawał się eteryczny niczym elf, usta miał podobne do ust elfów, z tym wyraźnym skrzywieniem kącików, uszy spiczaste, nie za bardzo, ale jednak. Ręce kształtne i bardzo ładne, o długich, zakrzywionych paznokciach, cała postać zaś sprawiała wrażenie niezwykle delikatnej i kruchej. Miranda czekała po prostu, że zaraz zobaczy parę skrzydełek, jak u ważki.

Skrzydeł jednak nie miał.

Dolg Lanjelin patrzył lekko zamglonym, nie pozbawionym ciekawości a zarazem smutnym spojrzeniem na ludzi po drugiej stronie rzeki.

Móri wzruszony tak, że ledwo był w stanie wydobyć głos, zawołał:

- Dolg, mój synu! Czy ty mnie poznajesz?

Było oczywiste, że nie poznaje. Jakby jakaś niewidzialna zasłona oddzielała Dolga od przybyłych. Widzieli go, ale zarazem odnosili wrażenie, że znajduje się w innym wymiarze.

Kajdany elfów! Nie był też w stanie do nich podejść bez ludzkiej pomocy. Problem polegał zresztą i na tym, czy w ogóle zechce się zbliżyć.

Może wolał na zawsze pozostać w niewoli elfów? A przynajmniej...

- Marco - prosił cicho Móri, nie spuszczać oczu z syna. - Pomóż nam! Ja sam niczego tu nie zdziałam.

Móri pojęcia nie miał o dawnych dokonaniach Marca, natomiast Miranda wiedziała o nich wiele z kroniki Ludzi Lodu, którą spisał jej ojciec, Gabriel. Właśnie teraz pomyślała o wydarzeniach koło Fergeoset, kiedy to Marco jednym jedynym ruchem dłoni unicestwił obrzydliwego upiora, dręczącego Sandera i Benedikte. To tylko jeden z niezliczonych wyczynów Marca, Miranda pragnęła, aby właśnie teraz wykorzystał taką samą siłę, tylko oznaczoną przeciwnym znakiem. Żeby nie unicestwił, lecz wybawiał.

Wyglądało na to, że oszołomiony Dolg zamierza wrócić tam, skąd przyszedł, więc Móri zawołał ponownie:

- Dolg! Ja jestem Móri! Twój ojciec. Pamiętasz mnie?

Dziwny młodzieniec, po części człowiek, po części Lemur, a teraz także w pewnym sensie elf, odezwał się nareszcie, a jego głos brzmiał jak oszronione źdźbła trawy poruszane wiatrem.

- Wybaczcie mi, szlachetni ludzie, lecz popełniacie błąd. Moje imię brzmi; Lanjelin.

Wiem o tym, chciał zawołać Móri, lecz zrezygnował. Zamknął oczy, by powstrzymać łzy, spływające mu po twarzy, i ustąpił placu Marcowi.

Ten jednak nie ruszył się z miejsca. Uniósł tylko rękę, dokładnie tak, jak to zrobił koło Fergeoset, tyle że tym razem nie kierował wnętrza dłoni przeciwko nikomu, jego ruchy były łagodne, oczyszczające. Poruszał ręką delikatnie, jakby odgarniał od siebie pajęczynę czy coś w tym rodzaju, Miranda nie byłaby w stanie opisać tego, co widzi. Zauważyła natomiast, że ta jakaś zasłona wokół Dolga, której właściwie nie widziała, teraz zniknęła. Dziewczyna nie dostrzegła, jak to się stało, odnosiła tylko takie wrażenie.

Jaką niewiarygodną siłę posiada księżę Czarnych Sal!

W Gjáin zaległa śmiertelna cisza. Miranda nie sądziła, że może być jeszcze większa niż przedtem, wyobrażała sobie, że teraz setki elfów wstrzymały dech na widok tego, co się dzieje.

Wszyscy patrzyli na Dolga, czyli Lanjelina, jak nazywały go elfy. Ten wyprostował się lekko i odetchnął głęboko, jakby się właśnie dopiero co obudził, jakby przejrzał, nowymi oczyma patrzył na świat.

Widział dolinę i wodospady, widział żółte kwiatki, tak pięknie prezentujące się na tle szmaragdowej trawy, po czym skierował wzrok w stronę ludzi.

Móri dygotał, ledwie był w stanie oddychać.

Najważniejszą próbę wciąż jednak mieli przed sobą. Czy Dolg zechce im towarzyszyć? A może zapragnie na zawsze pozostać w królestwie elfów?

Miranda zauważyła, że Nataniel i Ellen są równie spięci jak ona. Teraz Marco zrobił już, co do niego należało, czekali tylko na decyzję tego całego Dolga.

Starzec trwał bez ruchu u boku Lanjelina. Nie domyślali się, jakie myśli krążą teraz w jego głowie, czy życzy im szczęścia, czy też wolałby zachować młodego człowieka dla siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że Dolg również jest zbity z tropu. Musiał ponownie się nauczyć patrzeć na świat ludzkimi oczyma, choć zachowywał jeszcze... Nic się nie zmieniło w jego wyglądzie, to świat przed nim się zmieniał.

Potem powoli, powoli twarz zaczęła mu się rozjaśniać.

- Ojcie! - wykrzyknął radośnie, ale jego głos był dokładnie taki sam jak poprzednio: cichy, dziwnie rozproszony, dźwięczący. Ruszył długimi krokami tuż ponad rzeką, nie tykając powierzchni wody. - Jak to dobrze znowu cię widzieć, ojcie! Myślałem, że przekroczyłeś Wrota, a ja zostałem na świecie kompletnie sam. Ale przed chwilą otrzymałem cudowną wiadomość. Zdawało mi się, że ktoś mnie wzywa. I odpowiedziałem...

Przeszedł przez łąkę i stanął przed nimi. Ani Móri, ani Dolg nie należeli do ludzi ściskających się przy byle okazji. Przenikliwe oczy młodzieńca przesuwali się po zebranych i zatrzymały na Mirandzie.

- To byłeś ty - rzekł rozradowany. - To ty wysłałaś mi przed chwilą sygnał!

Przed chwilą? Działo się to przecież w DrekaGil i od tamtej pory minęła cała doba.

- Dlatego wiedziałem, że coś się musi stać, ojcie - oświadczył Dolg, zwracając się znowu do Móriego. - Pojęcia jednak nie miałem, że to ty przyjdiesz. Spędziłem kilka dni u moich sympatycznych przyjaciół, oni zabrali mnie z DrekaGil i zajęli się mną. To naprawdę wspaniałe istoty! Byłem taki samotny i smutny, ponieważ utraciłem was wszystkich i nie mogłem odnaleźć Wrót, oni jednak pocieszyli mnie i uczynili moje życie w ciągu tych dni lżejszym. Ale teraz jestem gotów kontynuować. Będziemy szukać dalej, czy ty już wiesz, ojcie, gdzie znajdują się jakieś Wrota?

Ludzie doznali szoku. Dolg nie wiedział nic o tym, że minęło dwieście pięćdziesiąt lat. Kilka dni? Nic dziwnego, że nie rzucił się ojcu w objęcia.

Móri był tak kompletnie wytrącony z równowagi, że przez dłuższy czas nie mógł wykrztusić słowa. Tymczasem wzrok Dolga odnalazł spojrzenie Marco i natychmiast został między nimi nawiązany kontakt. Marco, wielki samotnik, spotkał Dolga, także wielkiego samotnika. Ich losy łączyło dziwne podobieństwo, obaj byli w ludzkim świecie istotami na wpół obcymi.

- Kim są twoi przyjaciele? - zapytał Dolg o czarnych, lśniących a teraz rozradowanych oczach.

Móri ocknął się. On również nie rozpoznawał syna, teraz Dolg wcale nie był małomówny ani pogrążony w marzeniach, stał przed nim wesoły, pełen radości młody człowiek.

- Wybacz, że byłem tak nieuprzejmy - rzekł pośpiesznie. - Wszyscy moi towarzysze pochodzą z Ludzi Lodu...

- Ludzie Lodu? - ucieszył się Dolg. - Przecież my znamy Ludzi Lodu. Nie sądzę jednak...

- To są członkowie rodu żyjący współcześnie - pośpieszył Móri z wyjaśnieniami. - Tym razem nie ma żadnych duchów.

Dolg popatrzył spod oka na Marca, jakby chciał zapytać ojca: „Jesteś tego pewien?”, ale nie powiedział nic.

- To jest Miranda - prezentował Móri. - Masz rację, to ona w Drekagil nawiązała z tobą kontakt. A tutaj Nataniel i jego żona Ellen. Wszyscy odziedziczyli specjalne zdolności, charakteryzujące dotkniętych złym dziedzictwem potomków Ludzi Lodu. Choć akurat oni nie należą do dotkniętych, to wybrani. Tutaj zaś mamy Marca, księcia Czarnych Sal.

- Przyznam, że niewiele wiem o Ludziach Lodu - rzekł Dolg w zamyśleniu, witając się ze wszystkimi po kolei. Miranda, podając mu rękę, spodziewała się, że poczuje po prostu powietrze, i zaskoczyło ją, jaką Dolg ma silną i ciepłą dłoń.

- Jest nas jeszcze więcej - dodał Móri. - Troje czeka na wzgórzu. Nie otrzymali pozwolenia zejścia na dół. Masz jednak rację, dotychczas nie odnalazłem żadnych Wrót, w żadnym miejscu na świecie. I mam nadzieję, że ty... zechcesz pomóc mi w poszukiwaniach?

- Tak, oczywiście - odparł Dolg ku wielkiej uldze Móriego. - Muszę tylko najpierw pożegnać się z moimi przyjaciółmi.

- To jasne. Jesteśmy im winni szczerą wdzięczność. Większą, niż myślisz, mój synu Pomyśleć... Dwieście pięćdziesiąt lat!

Dolg przez cały czas z podziwem i rozbawieniem przyglądał się ich ubraniom.

- Takich strojów nigdy nie widziałem, są absolutnie odmienne od tego, co znam. Oczywiście, kobiety w naszej rodzinie używały spodni do dalekich podróży, ale nie takich! (Miał na myśli obciste džinsy Mirandy).

- Wytłumaczmy ci to później - przerwał Móri pośpiesznie. - Chodź teraz pożegnać się z gospodarzami, ja zresztą chciałbym też porozmawiać ze Starcem.

Starzec, jak poprzednio, wyszedł im na spotkanie, również on unosił się ponad wodą, co wyglądało tak, jakby szedł po rozkołysanej kładce. Wysłał Lanjelina do wnętrza góry, surowo mu przykazując, by się śpieszył.

- A więc otrzymaliście syna z powrotem, czarnoksiężniku - rzekł Starzec i teraz wszyscy mogli go oglądać z bliska. - Bardzo mnie to raduje, chociaż będzie nam brakować jego szczególnego humoru oraz poczucia bezpieczeństwa, jakie nam dawał.

- Bezpieczeństwa? - zdziwił się Móri.

- Tak. Dobrze było móc wysłać człowieczego syna, kiedy powstawały konflikty między nami a tymi, którzy teraz zamieszkują powierzchnię Islandii. Ale chcieliście, panie, ze mną rozmawiać? Jeśli moje rady mogą się na coś przydać, będę bardzo zadowolony.

- Rzeczywiście potrzebujemy waszej rady. Wy, którzy wiecie o Islandii wszystko... Czy istnieją tutaj jakieś Wrota? Czy jest próg do świata, w którym znajdują się moi najbliżsi?

Starzec zastanawiał się długo.

- Z pewnością jest na Islandii wiele Wrót - odpowiedział w końcu. - Ale czy to te same, które macie na myśli... Nie. Mamy Snæfellsnesjökull, naturalnie, ale to Wrota nie tego rodzaju. Mamy też Dimmuborgir, gdzie znajduje się droga w dół, wiodąca do sal waszego ojca, księżę Marco, Tak, no i jeszcze... Jeszcze to! Ale o tej drodze musicie zapomnieć, nigdy tamtędy nie zdołacie dotrzeć do celu!

- Proszę nam jednak powiedzieć, gdzie to jest?

- Nie, to droga śmierci. Nikt nie jest tam bezpieczny, a poza tym rzadko bywa otwarta.

Móri jednak nie rezygnował, na koniec pojął, że Starzec mówi o owym wielkim jeziorze, Grimsvötn, leżącym pod Vatnajökull. Na północ od lodowca, koło Kverkfjöll, znajduje się wejście, gorące źródła, a także ciąg wodny, który prowadzi pod kopułą lodu do dalekiego Grimsvötn.

W głębi istnieje coś, co może być rodzajem Wrót, Przejście jest jednak śmiertelnie niebezpieczne. Łód przemieszcza się przez cały czas, więc otwory, którymi się przechodzi idąc w jedną stronę, mogą już nie istnieć, gdy się wraca.

Ale my nie zamierzamy wracać, pomyślał Móri. My chcemy tylko znaleźć wejście, Wrota.

Starzec tymczasem próbował ich odstraszyć tym, że lodowa kopuła też wcale nie jest pewna. Przesuwa się ona i nieustannie przemieszcza tak, że uwalniają się ogromne bloki lodu i spadają. Na cieku wodnym też polegać nie można. Niekiedy woda bywa przyjemnie ciepła, niekiedy natomiast wściekle zimna, a w niektórych miejscach po prostu wrzątek. Ale tam pod lodowcem jest jasno, mrok rozprasza rozżarzona do czerwoności lava, która raz po raz wybucha z ukrytych kraterów.

Dziękuję, nie ma co, pomyślał Móri. Czy musisz to wszystko odmalowywać tak przerażająco?

Podjął jednak decyzję, że mimo wszystko będzie szukał tych Wrót.

W końcu Dolg wyszedł na zewnątrz i zebrani pożegnali się ze Starcem, prosili, by przekazał ich najserdeczniejsze podziękowania władcom elfów, a także wszystkim elfom, które uczyniły pobyt Lanjelina w dolinie tak miłym i przyjemnym.

Dolg wtrącił, że nie ma co tak nieustannie dziękować za kilkudniowy pobyt, na co Móri nie zareagował. Jeszcze nie teraz. W swoim czasie syn pozna prawdę.

Wspinali się na górę stromymi ścieżkami, po czym Dolg mógł się przywitać z trojgiem pozostałych. Tamci głośno przelykali ślinę, kiedy zobaczyli tę niezwykłą istotę, taką nieziemską i eteryczną, że nie bardzo byli pewni, czy mogą nazywać ją człowiekiem.

Móri zwlekał z pokazaniem synowi samochodu, to mogłoby wywołać potrzebę nieprzyjemnych wyjaśnień dotyczących czasu, rzekł wobec tego gorączkowo:

- Dolg, czy pamiętasz walkę Ludzi Lodu z ich złym przodkiem? No, bo widzisz, tu obecny Nataniel był właśnie tym, który zdołał przełamać zło. Teraz Nataniel chowa się trochę w cieniu, ale nie wolno ci nie doceniać jego ponadnaturalnych zdolności!

Nataniel przerwał mu:

- Nie, to niezupełnie prawda. Moje zdolności przeznaczone były jedynie do przełamania złej mocy. Kiedy wykonałem zadanie, w znacznej mierze dzięki pomocy Marca i innych, moje paranormalne możliwości bardzo osłabły. Teraz zostało ich już naprawdę niewiele. W każdym razie nie mógłbym się równać z Markiem.

Móri ciągnął:

- Może tak i jest, ale nie wolno też zapominać o Gabrielu. Miał dwanaście lat, kiedy rozegrała się ostateczna walka, a on w niej uczestniczył, by potem to opisać. Spisał całą historię Ludzi Lodu.

Podczas gdy Móri kontynuował, opowiadając o niezwykłych umiejętnościach Ellen, Indra stała z boku i ukradkiem przyglądała się Dolgowi. Miranda to dostrzegła, ona również nie spuszczała wzroku z młodego człowieka. Myślała, że za nic nie wolno jej się w nim zakochać. Był właśnie takim baśniowym, nieziemskim stworzeniem, które najbardziej przemawiało do jej wyobraźni, dokładnie ktoś taki, przed kim mogłaby otworzyć swoje romantyczne serce. Było w nim to coś wyjątkowego, czego szukała u współczesnych, to coś, co mogło obudzić w niej najgorętsze uczucia.

Marco też to posiadał. On jednak był bardziej dojrzały i absolutnie nieosiągalny, a poza tym brakowało mu owej erotycznej iskry, która również jest niezbędną.

Dolg... Był akurat kimś takim, na kogo podświadomie czekała. Po części elf, a elfy zawsze Mirandę pociągały. Takie interesujące i zarazem niebezpieczne! Zgodnie z tym, co mówił Móri, jego najstarszy syn jest mieszanką człowieka i Lemura. A jakby tego było mało, otrzymał ostatnio owe dziwne, podniecające cechy, charakteryzujące elfy.

Nie dostrzegala niczego z tych ponurych sklonnosci, ktore Móri przypisywal swojemu synowi. Rozumiala jednak zaskoczenie czarnoksiężnika tym, że syn tak bardzo się zmienił, również jeśli chodzi o charakter.

Miranda patrzyła na Dolga Lanjelina i czuła drzenie w całym ciele. Należało to za wszelką cenę opanować, zaczynała bowiem żywić coraz silniejsze podejrzenie, że Dolg jest jak Marco:

Poza zasięgiem jej możliwości.

Jeśli chodzi o sprawy erotyczne, Miranda nie miała o nich wielkiego pojęcia. Skończyła siedemnaście lat, a nigdy jeszcze nie zakochała się w chłopcu na tyle, by pójść z nim do łóżka. Christian był właściwie pierwszym chłopcem, którego знаła bliżej. Do niczego między nimi jednak nie doszło, nie znajdowała czasu na takie sprawy pomiędzy walką o zachowanie mokradeł a demonstracjami dla poparcia bezrobotnej młodzieży.

W porównaniu z Dolgiem, wybrankiem elfów, młody Christian wypadł jednak żałośnie nieciekawie.

Zaczęła pogrążyć się w nierealistycznych rojeniach. Pozwolić się uwięzić takiemu elfowi jak Lanjelin... Być uprowadzoną do wnętrza góry...

Miranda czuła, że będzie miała uczuciowe problemy, jakich dotychczas jeszcze nie doświadczyła.

Mimo wszystko Dolgowi czegoś brakowało. Miranda domyślała się, co to. Zmysłowość. Fizyczny pociąg, z którego elfy są powszechnie znane. Sądząc po wyglądzie, on również powinien posiadać taką siłę. Ale nie posiadał.

Tak samo jak Marco.

Do takiej smutnej konkluzji doszła, stojąc przed nim od dłuższego czasu i rojąc mnóstwo głupich pragnień.

Ocknęła się na głos Addiego. Odpowiadał na jakieś pytanie Móriego...

- Nie - zaprotestował Islandczyk tak stanowczo, że wszyscy drgnęli - Nie, nie pójdziemy do Kverkfjöll! Owo podziemne jezioro, to ostatnie miejsce, na którym bym po-legał. Wewnątrz, pod lodowcem, zbiera się woda. Ale mniej więcej co pięć lat jezioro wysycha, woda wyparowuje w wyniku aktywności wulkanu i narusza powierzchnię lodu na Grimsvötn, dochodzi do kruszenia się lodowca, po czym wielkie masy wody i lodu pędzą w dół pod Skeidhararjökull, topiąc wszystko po drodze do samego morza. Lód na Grimsvötn może się wtedy osunąć nawet o dwieście metrów w dół. Kaldera, to znaczy głęboki krater, powstający po takim wybuchu, zostaje kompletnie pusty. Z czasem jezioro zapełnia się znowu. Tego rodzaju zjawiska mogą wystąpić w każdej chwili. Dla

znajdujących się tam ludzi oznacza to pewną śmierć. Nie, nie zawiozę was do Kverkfjöll! Nie chcę sobie brać morderstwa na sumienie.

Zaległa cisza. Addi nie mógł patrzeć na fanatyczną, ściągniętą twarz Móriego.

Islandzki mistrz kierownicy poszedł do samochodu. Wiedzieli, że mogą znaleźć innego przewodnika, który ich zawiezie, gdzie zechcą. Wiedzieli jednak również, że ze strony kierowcy byłaby to nieodpowiedzialna decyzja, mogą tak uczynić tylko mniej doświadczeni i bardziej żądni pieniędzy.

Młody Dolg, przybrany syn elfów, nie bardzo nadażał za tym, o czym rozmawiają. On musiał borykać się ze swoimi zagadkami. Z bardzo zdumionym wyrazem twarzy mamrotał coś sam do siebie i do Móriego zaczynało docierać, że w pośpiechu musiał się chyba wygadać. Dolg powiedział głośno:

- Coś mi się tu nie zgadza! Kiedy spotkaliśmy Sol i innych z Ludzi Lodu tamtego dnia przy mokradłach niedaleko Tiveden... oni wciąż prowadzili swoją walkę... Jak to się nazywał ten ich okropny przodek? Ach, tak, Tengel Zły? A teraz mówisz, ojczu, że Gabriel, który jest przecież dorosłym mężczyzną, miał dwanaście lat, gdy udało im się pokonać pana zła, Tengela?

Móri zastanawiał się gorączkowo, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji, w którą się wplątał, i to tak wcześnie, w fazie, kiedy cudem odnaleziony syn w niczym się jeszcze nie orientował.

Dolg sam rozwiązał problem. Popatrzył w ślad za Addim i...

Wciągnął głęboko powietrze.

- Co to, na Boga jest? Ojczu! Gdzie my jesteśmy, niczego nie rozumiem!

Móri odchrząknął. Podeszedł do Dolga i położył mu rękę na ramieniu.

- To jest samochód, Dolgu. Całkiem niedawno przeszedłem dokładnie to, co ty teraz przeżywasz. Udało mi się jednak otrząsnąć z szoku, ty również musisz próbować to zrobić. Mój synu, znajdujemy się po prostu w zupełnie innym czasie. Minęło dwieście pięćdziesiąt lat od dnia, w którym widzieliśmy się po raz ostatni.

16

Nie mogli pokazać się w Reykjaviku z Dolgiem, który wyglądał tak, jak wyglądał. Trudno wprost wyobrazić sobie poruszenie, jakie by na jego widok powstało.

Móri zresztą w ogóle się tam nie wybierał, on zamierzał natychmiast odszukać Wrota, tutaj na Islandii. I obaj z synem chcieli niezwłocznie przez nie przejść.

Addi był odmiennego zdania. Żadnej wyprawy do Kverkfjöll, w każdym razie nie z nim!

Posiadał spory dom turystyczny nad Thingvallavatn, wielkim jeziorem w pobliżu Thingvellir. Dom znajdował się na terenie gorących źródeł w pobliżu miejsca starego islandzkiego parlamentu.

Tam zamierzali zabrać Dolga, do domu bowiem rzadko kto zaglądał.

Podróż samochodem tym razem okazała się dość męcząca. Zwłaszcza że nie było prostą rzeczą złagodzić smutek i frustrację Dolga, który stracił dwieście pięćdziesiąt lat ziemskiego życia, a tym samym wszelką możliwość spotkania najbliższych. Poza tym w drodze na zachód raz po raz przeżywał szok, zadawał tysiące pytań, a współpasażerowie musieli wykorzystać całą zdolność przekonywania, by zrozumiał, że w tym okropnym współczesnym świecie także da się żyć.

Móri, całkiem niedawno przeżywający to samo co Dolg, był najbardziej odpowiednią osobą, mogącą mu wytłumaczyć, że nie wszystko zostało stracone. Ale nie należy się dziwić, iż syn całą nadzieję pokłada w odnalezieniu Wrót.

Współpasażerowie słuchali, jak Móri, a od czasu do czasu również Dolg, opowiadają, co ma się znajdować za owymi tak ich przyciągającymi Wrotami.

Najważniejszy zdawał im się fakt, że jest dla ludzi jakaś nadzieja, że ci, którzy nie są już w stanie znieść strasznej rzeczywistości pogrążonego w chaosie świata, mogą odnaleźć inny wymiar. Nie, nie umrzeć, jak wielu sądziło. Nie, po tamtej stronie Wrót życie trwa nawet o wiele dłużej, wolne jest od trudnych konfliktów, a człowiek nie musi umierać, dopóki sam tego nie zapragnie. Nie, nie, to nie żaden raj, Obcy z wielką stanowczością zawsze to podkreślali. To jest po prostu inny świat. Dość nawet zwyczajny, lecz udało się w nim osiągnąć równowagę pomiędzy tym, co dobre, a tym, co trudne. Nie, ani Móri, ani Dolg nie wiedzieli nigdy, gdzie owa kraina leży ani jak wygląda, widzieli jedynie, że Lemurowie i Obcy mają promienny wzrok, kiedy o niej opowiadają. Obcy znali prawdę, nie chcieli tylko jej zdradzić. Kiedy chodziło o ich wytęsknioną krainę, stawali się niezwykle tajemniczy.

Podczas gdy Móri malował piękne perspektywy, pozostali pasażerowie uświadomili sobie nagle, że Dolg już go nie słucha. Nie był w stanie utrzymać otwartych oczu, więc In-dra oddała mu swoje wygodne miejsce na tylnym siedzeniu.

Musieli jak najszybciej zatrzymać się na noc, ponieważ Dolg był śmiertelnie zmęczony. Kiedy w końcu zaakceptował, że znajduje się znowu w świecie ludzi, po dwustu pięćdziesięciu latach spędzonych u elfów, siły po prostu go opuściły. Obciążenie wynikające ze „zmiany strony” okazało się zbyt wielkie.

Móri i Marco wymienili spojrzenia. „To nie jest normalny sen”, zdawały się mówić ich oczy. „To robota elfów. Co my z tym poczniemy?”

W domu zastali goście, turystów z Francji i Niemiec, udało im się jednak przeprowadzić Dolga po kryjomu, żeby nikt nie widział. Ulokowali go w osobnym pokoju w sąsiedztwie Móriego. Dolg, czy też w dalszym ciągu Lanjelin, zasnął natychmiast.

Po kolacji zajrzeli jeszcze do niego; wciąż leżał jak nieżywy, potem Marco i Móri wyszli na dwór przejść się trochę i obejrzeć piękną okolicę wokół domu. Niedaleko stąd wybuchająca z gorących źródeł parę ujęto w rurę, czy rodzaj komina, by mieć z niej pożytek, ale w jaki sposób mogło to działać, tego ci dwaj, pochodzący z minionych czasów, nie potrafiliby określić. W miejscu, gdzie rura wychodziła z ziemi, coś ryczało ogłuszająco. Pospiesznie stamtąd odeszli.

Zatrzymali się nad niewielkim strumykiem, gdzie woda z gorącego źródła szumiała i rozpryskiwała się spadając po niezbyt stromym zboczu. Marco przykucnął, zanurzył rękę w przyjemnie ciepłej wodzie i zamyślił się.

- Móri... Z wielkim zainteresowaniem słuchałem tego, co nam opowiadałeś - uśmiechnął się jakoś nieśmiało. - Ja jestem wiecznym wędrowcem pomiędzy światami, nigdzie nie mającą przystani duszą, która nie może znaleźć spokoju. To, co mówiłeś o Wrotach, bardzo mnie pociąga. Przywiązałem się też do ciebie i twojego syna. Coraz częściej marzę o tym, by wam towarzyszyć.

Móri rozjaśnił się na te słowa niczym słońce po długotrwałej mgle.

- Ależ drogi przyjacielu, nic nie mogłoby nas ucieszyć bardziej. Tylko co będzie z twoją rodziną tutaj na ziemi?

Piękna twarz Marca posmutniała.

- Masz rację, czarnoksiężniku, jestem z nimi związany. Nataniel i Ellen zawsze byli mi bliscy, a także nasz sympatyczny, spokojny Gabriel i jego wspaniałe córki. Miło jest z nimi przebywać. No cóż, poczekajmy, zobaczymy, jak się to wszystko dalej rozwinie! Wciąż jeszcze przecież nie znamy drogi do jakichkolwiek Wrót.

Móri wolno zwrócił głowę ku wschodowi. Tam, gdzie znajduje się Vatnajökull, największy lodowiec w Europie. Tak ogromny, że w jego granicach pomieściłyby się wszystkie pozostałe.

Pod nim... w głębi Kverkfjöll. Trzeba iść wzdłuż ciągu wodnego. Do Grimsvötn... i tam!

- No właśnie, zobaczymy - rzekł krótko.

Dolg przespał dwie noce i dzień pomiędzy nimi. W końcu drugiego ranka dowiedzieli się, co elfy z nim zrobiły.

Gdy wstał z łóżka i zszedł do siedzącej przy śniadaniu rodziny, me był już elfem, w każdym razie nie tak bardzo.

Nie był przezroczysty i bardziej nieziemski, niż to miało miejsce przed przybyciem do Gjáin, krainy elfów. Troszkę, jeśli tak można powiedzieć, astralny, wydawał się od dawna, po tym jak dotykał dwóch szlachetnych kamieni, szafiru i farangila, a zwłaszcza Świętego Słońca. Większość cech charakterystycznych dla elfów zniknęła, lecz Miranda ku swojej wielkiej radości stwierdziła, że uszy Dolga są w dalszym ciągu spiczaste, a i usta podobne do ust elfów. Poza tym stał przed nimi po prostu dobrze zbudowany, urodziwy młody mężczyzna.

- Och, Bogu niech będą dzięki - szepnął Móri.

Mogli więc wracać do Reykjavíku, jeśli tak można powiedzieć o kimś, kto nigdy tam nie był. Mimo wszystko ta część kraju stanowiła ich punkt wyjściowy.

Indra, która przedtem sądziła, że cudownie będzie dotrzeć do cywilizowanych okolic, odkryła z wielkim zdumieniem, że się tutaj nudzi. Natychmiast zaczęła tęsknić do dzikich pustkowi ze wszystkimi ich niedogodnościami. Niepojęte!

Jedyną pociechę stanowiło wspańiałe, komfortowe łóżko, czekające na nią w znakomitym hotelu. Trochę słodczy, dobra książka i tak dalej...

Ellen i Nataniel nie mogli jednak odpocząć. Natychmiast po przyjeździe zadzwoniła Tova, która pod ich nieobecność pilnowała domu. Tova miała do przekazania ważne nowiny.

Opowiadała, że kilka dni temu, gdy właśnie podlewała kwiaty, ktoś zadzwonił do drzwi, a kiedy otworzyła, zobaczyła egzaltowaną, ale też dość agresywną damę z dziewczynką. Okazało się, że mała to jedyna wnuczka Ellen i Nataniela. Dziecko z buzią zeszpeconą głębokimi bliznami po oparzeniu.

Dama, będąca ich synową, wysłała dziewczynkę do ogrodu i dość bezceremonialnie wyjaśniła Towie, że jej zdaniem nadszedł czas, by dziadkowie zajęli się trochę wnuczką. Tova bardzo dobrze знаła tragedię Ellen i Nataniela, wpadła więc w złość, a kiedy Tova się wścieka, rzadko waży wypowiedane słowa. Wykrzyczała więc przybyłej, że przecież oni przez całe lata cierpią i tęsknią za dziewczynką, ale nic nigdy nie mogli na to poradzić.

Synowa lekko się zarumieniła i zaczęła coś bąkać, że teraz to się zmieni, ponieważ ona rozpoczyna nowe życie... „Aha” - syknęła Tova wściekła niczym osa. - „Jak rozumiem, pojawił się nowy mężczyzna. I sądzi, że twoja córka nie nadaje się do pokazywania

ludziom, prawda?” Pani, głęboko wzburzona, odrzekła: „Wcale nie!” Zrobiła to jednak w taki sposób, że Tova nie wątpiła, iż to ona ma rację. Powiedziała, że Ellen i Nataniel znajdują się na Islandii, ale że możliwość zajęcia się wnuczką sprawi im prawdziwą radość, a tymczasem ona może opiekować się dziewczynką.

„Nie zostawię jej byle komu” - odparła synowa wyniośle. „A ja cenię małą tysiąc razy więcej niż twój przyszły mąż” - odparła Tova i dodała, że nigdy nie mogła pojąć, dlaczego synowa odmawia teściom prawa do spotkania się z dziewczynką. Co oni takiego zrobili? Dlaczego Ellen musiała wylać tyle łez z powodu utraconej wnuczki?

„Co oni zrobili?” - krzyknęła dama. - „Oni wychowali swojego syna na zwyczajnego dziwkarza, oto co zrobili! Zdradzał mnie już w dwa lata po ślubie”.

„Nigdy w to nie uwierzę”, - rzekła Tova spokojnie. Zdążyła odzyskać kontrolę nad swoimi reakcjami, choć w dalszym ciągu była zła. - „On nie należał to takich, to był bardzo wrażliwy, pełen uczucia chłopiec”.

- Dziękuję ci, Tova - bąknęła Ellen do słuchawki.

Tova, obdarzona gwałtownym charakterem Ludzi Lodu, zdołała jednak rozmawiać uprzejmie z synową Ellen nawet po tym, co tamta powiedziała: „Musiałam przecież uwierzyć przyjaciółkom!” „Więc ty bardziej wierzyłaś przyjaciółkom niż swojemu mężowi?” - zareplikowała Tova ze złością. Synowa odwróciła się i mruknęła coś na temat, że później rzeczywiście dowiedziała się, iż przyjaciółki z niej zadrwiły, że to był tylko głupi dowcip, po czym Tova zapytała, dlaczego w takim razie nie przeprosiła męża. Młoda kobieta rozgniewała się i warknęła: „Tak, tylko że on wtedy już nie żył, a za to, to ja już nic nie mogę”. „Owszem, myślę, że to właśnie ty za to odpowiadasz” - odparła Tova. Po chwili zamieszania, kiedy młoda kobieta najbardziej ze wszystkiego pragnęła wyjść, głęboko urażona, rzekła w końcu: „Dobrze, no to jak będzie? Mogę tu na razie zostawić dziewczynkę? Mogę polegać na tobie i wierzyć, że będzie jej tu dobrze?”

„Lepiej niż mogłaby marzyć” - odparła Tova i na tym rozmowa się skończyła.

Ellen gorąco dziękowała kuzynce i oboje z Natanielem zaczęli natychmiast załatwiać bilety powrotne. Ich wykupione jeszcze w Norwegii miały być ważne dopiero za kilka dni.

Dopisało im szczęście. Ktoś oddał cztery bilety na samolot odlatujący następnego ranka.

Cztery? Gabriel skorzystał z okazji i postanowił lecieć, z nimi. Teraz, kiedy Móri odnalazł swojego syna, nie był już potrzebny. Indra wzięła czwarty bilet. Miranda za nic nie chciała jeszcze jechać do domu, a Móri i Marco pragnęli zostać z Dolgiem. Dolg będzie mógł wykorzystać jeden z dawnych biletów, gdyby chcieli polecieć do Norwegii.

Móri sądził, że nie będzie to konieczne. On stanowczo zamierzał spróbować w Kverkfjöll, a Marco zdecydował się mu towarzyszyć.

Miranda również.

- Ale my być może stamtąd nie wrócimy - protestował Móri.

To mi bardzo odpowiada, pomyślała Miranda. Bo ja też wcale nie mam takiego zamiaru.

Głośno powiedziała jednak niepewnym głosem, że przecież ona może przyjechać później z Addim, który ostatecznie ustąpił wobec silnego nacisku Móriego i obiecał zawieźć ich do Kverkfjöll. Zgodził się już na to, zanim Marco bardzo uprzejmie oznajmił, iż chcą mu tę dodatkową podróż wynagrodzić, ale... „nie chcielibyśmy cię urazić”. Addi tymczasem odparł żartobliwie, że owszem, mogą go w ten sposób obrażać, i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

No i znaleźli się u stóp lodowca. Już sama podróż była koszmarem, na wyboistych, krętych drogach, po których musieli się przeciskać pomiędzy wysokimi zaspami śniegu i tak gliniastym podłożu, że raz po raz koła traciły przyczepność. Przez cały czas nad ziemią leżała gęsta mgła.

Kiedy już Addi raz zaakceptował ten wyjazd, chętnie i dużo opowiadał im o lodowych grotach Kverkfjöll. Mówił o francuskich grotolazach, którzy uznali je za absolutnie fantastyczne, być może najwspanialsze na świecie, ale też niesłychanie niebezpieczne. Francuzi pływali w ciepłych rzekach, schodzili najgłębiej jak się dało i czynili wspaniałe obserwacje, dopóki nie uświadomili sobie, jak ogromne ryzyko podejmują, i nie zawrócili. To chyba ta grupa w ostatnich latach dotarła najdalej. Dawniej można było wchodzić jeszcze głębiej, teraz jednak warunki się zmieniły.

- Czy w tym roku wyprawa jest bardzo ryzykowna? - zapytał Marco.

- Bardzo! Ja sam pójdę kawałek z wami, potem jednak wypisuję się i zrzekam wszelkiej odpowiedzialności. Bardzo bym jeszcze chciał zobaczyć moich trzech synów.

Uzgodnili, że Addi będzie czekał na nich na zewnątrz przez dwie doby. Gdyby w tym czasie nie wrócili, może spokojnie wrócić do domu i zapomnieć o nich. Bo to będzie oznaczało, że albo odnaleźli Wrota, albo zginęli.

Addi spoglądał na nich spod oka.

- A przecież panowie są jakoby nieśmiertelni?

- Owszem, ale ja wcale bym nie chciał znowu zostać żywcem pogrzebany i wydobyty z grobu po jakiejś ciepłej zimie za dalszych tysiąc lat. Nie życzę sobie więcej takich przeżyć. Mam jednak pewien pomysł. Co byś powiedział na to, gdybyśmy przesyłali ci sygnały? Spróbujmy zaraz, żeby zobaczyć, jak dalece jesteś na takie sprawy wrażliwy.

Wszyscy trzej, Móri, Marco i Dolg, uzgodnili szeptem, o czym będą myśleć, i po chwili zapytali Addiego, jaki obraz pojawił się w jego mózgu.

Kierowca spoglądał na nich oszołomiony w tym zimnym, górskim świecie. Wszystko skrywała mgła, jedynie poszarpane szczyty lawowe sterczały ciemne na horyzoncie, odcinając się wyraźnie od wszechobecnej bieli.

- To jakiś pies? - zapytał, marszcząc czoło. - Czarny pies?

Wszyscy trzej roześmieli się.

- Znakomicie - powtarzali zachwyceni.

Móri wyjaśnił:

- Jeśli otrzymasz od nas sygnał, to będziesz wiedział. Zobacysz Wrota, to znaczy, że je odnaleźliśmy...

- Nie, nie, zaczekajcie - przerwał Addi. - Dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać do tego radia? Zabierzecie ze sobą nadajnik i będziemy mogli rozmawiać.

Patrzyli na niego zaskoczeni, po czym wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Nigdy nie nauczymy się myśleć tak, jak współcześni ludzie - rzekł Móri.

- Ja sam powinienem był na to wpaść - mruknął Marco. - Niebezpiecznie jednak przebywać w towarzystwie czarnoksiężników, człowiek mimo woli zostaje wciągnięty w ich czas. No więc gdzie mamy to wejście?

Addi wyjaśnił, że otwór rzadko kiedy znajduje się w tym samym miejscu, co przed rokiem. Niekiedy powstaje ich kilka, tworzą się pod lodem ogromne hale, innym razem tak jak obecnie, zwłaszcza wczesnym latem istnieje jedno. I on o jednym takim właśnie wie. Będą się musieli trochę wspinać...

Odnaleźli zejście pod lodowiec. Nie wyglądało specjalnie zachęcająco.

Addi przygotował trochę sprzętu dla odważnych badaczy, liny, pasy, czekany do lodu, karabińczyki do przypinania się do liny, raki do butów, latarki zakładane na głowę i tak dalej. On i Miranda odprowadzili ich kawałek. Prosił, by się postarali, tak żeby on nie musiał wzywać ratowników, bo to potwornie dużo kosztuje, poza tym bardzo by chciał

dostać z powrotem swoje kosztowne narzędzia. Uzgodnili, że jeśli odnajdą Wrota, cofną się kawałek ku wyjściu do umówionego miejsca, do którego każdy może bezpiecznie dotrzeć, i tam zostawią wyposażenie.

Weszli do fantastycznej groty z litego lodu, w której otwór wyglądał jak okno na zewnętrzny świat. Tutaj właśnie Miranda oznajmiła, że zamierza pozostać z poszukującymi aż do końca.

Marco zaprotestował. Mówił, że jej ojciec stracił już żonę i syna, nie może więc stracić jeszcze córki. Miranda wyjaśniła, iż odbyła z ojcem rozmowę na ten temat i on powiedział, że może postąpić zgodnie z własnym pragnieniem. Była to prawda, choć nieco zmodyfikowana. Miranda rozmawiała wprawdzie z Gabrielem, ale chodziło o inne sprawy niż zniknięcie na zawsze za tymi budzącymi wątpliwości, dość nieokreślonymi Wrotami.

Przez dłuższą chwilę dyskutowali wzburzeni, ale Miranda, jak coś postanowi, to zwykle to osiąga. „Jesteś jeszcze bardziej uparta niż Móri” - powiedział Addi, po czym wszyscy ustąpili. Addi otrzymał trudne zadanie przekazania wiadomości Gabrielowi, gdyby nie wrócili. Żaden z trzech mężczyzn nie miał rodziny, którą trzeba by zawiadamiać.

Addi poszedł z nimi jeszcze kawałek. Najpierw brnęli przez wielką, otwartą, lodową grootę. Im dalej jednak, tym robiła się ciaśniej. Pokazał im jeszcze małą rzeczkę, wzdłuż której powinni się posuwać. Woda początkowo była chłodna, w miarę jednak, jak czołgali się dalej, stawała się coraz cieplejsza. Wkrótce otworzyła się przed nimi kolejna sala i tutaj Addi pożegnał się, życząc wędrowcom szczęścia.

Bez niego poczuli się samotni i niepewni. Często musieli piąć się na ogromne zwały lodu, od czasu do czasu pomagali sobie nawzajem przeciskać się przez przejścia tak wąskie, że Marco, najbardziej barczysty, miał problemy z ich pokonaniem.

Nagle przystanęli. Znajdowali się w miejscu, w którym mogli stać wyprostowani, rzeczką płynęła niedaleko nich, wszystko było otoczone parą, a dach z lodu okazał się pięknie ukształtowany i idealnie gładki. Latarki na głowach, znakomicie rozjaśniały mrok.

- Co to jest? - szepnęła Miranda. - Co my słyszymy?

Mężczyźni niezbyt dobrze się czuli, ciągnąc za sobą tę młodą dziewczynę na tak niebezpieczną wyprawę, poza tym trochę wątpili, czy troskliwy Gabriel rzeczywiście udzielił zgody.

- Nie wiem - odparł Móri cicho. - Trudno cokolwiek odróżnić, bo szum rzeki zagłusza.

Stali bez ruchu w całkowitym milczeniu.

- To lód - rzekł Dolg na koniec.

I tak też było. W głębi lodowych ścian, przed nimi i wokół nich, rozlegały się złowieszcze skrzypienia, pęknięcia i gwizdy oraz huk niosący się daleko wewnątrz potężnej kopuły Vatnajökull. Źródła tych hałasów musiały się znajdować w wielkiej odległości, bo ledwie je słyszeli.

Miranda skuliła się gwałtownie i odczuła przemożną potrzebę, żeby zawrócić i uciec stąd. Próbowwała udawać, że się nie boi, ale to nieprawda. Do licha, cierpię na klaustrofobię! Nie wiedziałam o tym.

Znajdowali się teraz bardzo głęboko pod lodem, lecz nie mieli pojęcia, jak bardzo. Wciąż jeszcze czekała ich daleka droga do podziemnego jeziora.

Ostrożnie postąpili kilka kroków naprzód. Przeróżające hałasy ustały.

Po chwili znowu gwałtownie przystanęli. Dostrzegli chybotliwe refleksy, pochodzące z jakiegoś źródła światła. Czerwone, żółte i niebieskie pęłgające plamy.

Ruszyli dalej. Za sobą słyszeli przeciągłe skrzypienie lodu. Bardzo tego nie lubili. To przed taką sytuacją Addi ostrzegał ich najbardziej.

Okружили wystającą ścianę lodu i stanęli zdumieni. Przed nimi leżała ogromna grota, w której nie potrzebowali żadnych latarek.

W gorących źródłach bulgotało coś i syczało, zapach siarki kręcił w nosach, a intensywne, mieniające się światło rozjaśniało ogromne wnętrze. Tutaj rzeka utworzyła mniejsze jezioro, nie takie jak owo słynne wielkie, raczej sadzawkę, a w niej woda była bardzo gorąca. Z boku po lodowej ścianie spływał potok zastygającej lawy, tak niewielki, że sprawiał wrażenie szmerzącego w lesie strumyka. Wylądował się i wkrótce zniknął pod lodem po drugiej stronie groty. To z niego dobywał się głęboko czerwony blask. Ponieważ sufit stanowił niebieski, twardy i lśniący lód, barwne efekty świetlne wyglądały po prostu fascynująco. Miranda, która zabrała ze sobą aparat fotograficzny, zaczęła robić zdjęcia. Nikt tylko nie wiedział, kto i kiedy je obejrzy.

Nie mogli od tego widoku oderwać oczu, zdawali sobie jednak sprawę, że nie wolno dłużej stać w siarkowych oparach, więc Marco dał znać, że wracają.

Wtedy ogarnął ich potworny strach.

Znaleźli się już mniej więcej w połowie drogi, po której niełatwo było się posuwać, musieli zawrócić, przejść obok licznych otworów i parszających siarczanych źródeł. Nagle usłyszeli potworny grzmot gdzieś w głębi lodu, grzmot, który przetaczał się przez ukryte korytarze, i nagle od sufitu oderwała się ogromna bryła, zamykając im drogę. Dolg chciał pociągnąć Mirandę z powrotem ku bulgoczącym źródłom, ale Móri i Marco chwycili oboje młodych za ręce i pobiegli tym samym korytarzem, którym przyszedli.

Teraz cały lodowy sufit zaczął się chwiać.

- Spójrz! - zawołał Marco i szarpnął z całych sił Dolga, bo kolejny obluzowany blok lodowy w każdej chwili mógł się na niego zwalić. Wszyscy schronili się za rzeczką, w tym samym miejscu, z którego dopiero co odeszli.

Miranda trzymała Dolga za rękę i pomyślała, że po raz pierwszy znalazła się w tak bliskim kontakcie z tym samotnikiem ze świata elfów, ale była to tylko przelotna myśl, bowiem w następnym momencie musiała zająć się ratowaniem własnego życia.

Całe przejście zatrzęsło się, wszystko było w ruchu, nie ustawał ogłuszający grzmot i uświadomili sobie, że droga w głąb została zasypana ostatecznie i na długi czas, oni zaś nie mogą pozostawać w tej wypełnionej siarką grocie, bo się poduszają. Trzeba uciekać jak najszybciej!

Sufit łamał się na ich oczach. Wciąż jeszcze wyjście nie zostało odcięte, ale muszą się spieszyć.

Nie zdążyli się dobrze zastanowić, gdy usłyszeli, że kawałek przed nimi coś się zawaliło z potwornym łoskotem.

Droga do świata przestała istnieć.

17

Ellen ukucnęła obok swojej wnuczki Alice, nazywanej Sassą.

- Kochanie moje, taka jesteś słodka - powiedziała ze łzami w oczach, ponieważ widziała pod pokrytą bliznami skórą tę twarzyczkę, którą mała miała niegdyś, zaglądała w głąb samotnej i nieszczęśliwej dziecięcej duszyczki. - Ja jestem twoja babcia, Ellen, i tęskniłam za tobą zawsze. Chciałam cię znowu zobaczyć i lepiej poznać.

Mała nie odpowiedziała nic, była przestraszona, lecz nie usposobiona wrogo. Ellen wstała.

- A to jest dziadek, ma na imię Nataniel. Twój tata był bardzo do niego podobny.

W dalszym ciągu żadnej odpowiedzi. Dziewczynka wciąż odwracała twarz, zasłaniała ją rączką albo włosami.

- Dobrze ci było u Tovy? - zapytała Ellen.

Mała skinęła kilka razy głową.

- Kot ma na imię Hubert Ambrozja, bo Tova nie wiedziała, czy to kotek, czy kotka - mruknęła nieśmiało.

Niedawno Tova uznała, że ma obowiązek zająć się tym kociakiem, choć nie miała czasu na pielęgnowanie zwierząt, wciąż bowiem wiele podróżowała. Ellen wiedziała, że Alice przywiązała się do kotka, jakby istniała między nimi jakaś więź. Dwie samotne dusze.

- Tova mówi, że możesz zabrać Huberta Ambrozię. Będiesz przez jakiś czas mieszkała teraz u nas, z czego my się strasznie cieszymy, i chętnie udzielimy gościny również kotkowi. Zobaczysz, że wszystko znakomicie się ułoży.

Dziewczynka pobiegła i spod stołu, gdzie się bawił, wyciągnęła kociaka. Buzia jej się rozjaśniła w groteskowym, krzywym uśmiechu i Ellen patrzyła na to z krwawiącym sercem. Zaczęła się zastanawiać nad przyszłością. Jeśli Sassa ma mieszkać u nas przez dłuższy czas, a Bóg mi świadkiem, że niczego bardziej nie pragnę, to dla niej oznacza to również nową szkołę i prawdopodobnie nowe upokorzenia.

Nikt, nawet ktoś obdarzony najlepszą wolą, nie mógł przecież powiedzieć, że buzia dziewczynki jest pociągająca. Była słodkim dzieckiem, ale z pewnością przyjdzie jej wiele wycierpieć. Może nawet przez całe życie, bo lekarze zrobili już co mogli. Połatali skórę małej najlepiej, jak umieli. Ale to nie wystarczy.

Dziewczynka bawiła się z kotem, a Ellen i Nataniel spoglądali na siebie ze smutkiem.

- Powinniśmy byli porozmawiać z Markiem - powiedział w końcu Nataniel, wyrażając myśl obojga. - On mógłby coś na to poradzić. Teraz jednak jest za późno.

- Nie tylko na to jest za późno - westchnęła Ellen. - Natanielu, wiele ostatnio myślałam...

- Ja też. Powinniśmy byli pójść z nimi!

Popatrzyli na dziecko. Wiedzieli, że nigdy nie będą pewni, czy mogą zatrzymać Alice na dłużej, nowa miłość jej kapryśnej matki może się skończyć, a wtedy z pewnością... chociaż Tova opowiadała im o okropnym chłdzie uczuciowym, z jakim matka odnosiła się do dziecka.

Nigdy nie będą czuć się bezpiecznie.

Gdyby tak mogli odejść z Mórím, Dolgiem i Markiem... oraz z dziewczynką?

Ta myśl coraz bardziej i bardziej dojrzewała w ich umysłach od chwili, gdy spotkali wnuczkę. Nikt nie miał pojęcia, jak ułoży się w przyszłości życie dziecka.

Ale przepadło. Teraz najważniejsze już się stało, trzej mężczyźni prawdopodobnie sforsowali Wrota i znajdowali się na tej swojej ziemi obiecanej, o której właściwie nikt

niczego pewnego nie wiedział. Nic poza tym, że jest to cudowne miejsce, w którym mogą odpocząć ludzie źle potraktowani przez los.

Tacy jak Sassa. Albo jak oni sami. Oni bowiem utracili w sposób mniej lub bardziej tragiczny dwoje dzieci. Co teraz mogło ich jeszcze wiązać z Ziemią?

Z drugiej jednak strony, co znajduje się za Wrotami? I gdzie w ogóle leży to tak zwane idealne królestwo?

Ale niezależnie od tego, jak wiele Ellen i Nataniel się zastanawiali, to żadnemu nigdy nie przyszłoby do głowy, że Móri lub Dolg kłamią. Ich opowiadanie było po prostu fantastyczne, chociaż członkowie Ludzi Lodu nie takie fantastyczne rzeczy widywali.

Oboje gorzko żalowali, że nie poprosili tamtych o chwilę zwłoki, żeby mogli pojechać po wnuczkę i wrócić.

Wtedy jednak nie wiedzieli, jak bardzo dramatyczna jest jej sytuacja.

W domu Gabriela Indra leżała na swoim wygodnym łóżku otoczona wszystkimi niezbędnymi rzeczami, a mimo to złościła się jak nigdy przedtem.

Co z nią zrobiła ta podróż po Islandii? Tam na tej szarpanej wichrami wyspie na Atlantyku Indra wciąż była w ruchu. Pokonywała piechotą znaczne odległości i czuła, jak reaguje na to jej ciało, rozkoszowała się uczuciem, że mięśnie nóg pracują, oddychała lekko i swobodnie. Kiedy wróciła na swoje dobre, stare śmieci, poczuła się okropnie.

Może nawet więcej. Zaczęła żałować, że nie postąpiła tak, jak Miranda. Nie została jeszcze parę dni. Nie pojechała z Addim do Kverkfjöll, nie porozmawiała jeszcze trochę z Markiem i Mórim, a zwłaszcza z Dolgiem, z którym, szczerze powiedziawszy, zdążyła zamienić ledwie parę słów.

Przyszła jej do głowy pewna myśl i mimo prób nie mogła się od niej uwolnić: co by to było, gdyby mogła pójść wraz z tymi trzema niezwykleymi mężczyznami w głąb lodowca? Co by Miranda na to powiedziała? Nie, co tam Miranda, najważniejsze okazało się to, że Indra coraz częściej myślała, iż powinna była wraz z tamtymi niezwykleymi mężczyznami dojść do Wrót i może, może nawet je przekroczyć...

Nie mogła jednak sprawić ojcu takiego bólu.

Choć przecież ojciec ma jeszcze Mirandę.

Inna sprawa, czy ona sama byłaby w stanie opuścić ojca i siostrę na zawsze.

Jakie to wszystko skomplikowane! Biedny ojciec, cierpiał tak wiele. Nie mogła od niego odjechać w ten sposób.

Indra nie miała pojęcia, że podobne myśli krążą w głowie Gabriela. On także uważał, oczywiście, że nie wolno mu opuścić córek, ale przecież byłoby czymś wspaniałym zobaczyć ów tajemniczy świat po tamtej stronie mistycznych Wrót. No tak, ale teraz na wszystko za późno. Nigdy już nie porozmawia z Markiem, nigdy też nie spotka wspaniałego Móriego ani Dolga. To zasmucało Gabriela do głębi.

Miał nadzieję, że Addi zaopiekuje się dobrze jego młodszą córką, wsadzi ją do samolotu tak, by we właściwym czasie wróciła do domu.

Niech to licho, jakie dziwne myśli wzbudzili w nim tamci trzej tajemniczy mężczyźni! Myśli, których w żaden sposób nie umiał się pozbyć.

Ale jest za późno, za późno. Uświadamiał to sobie bez uczucia ulgi. Wprost przeciwnie.

Za nimi, w ogromnej grocie, którą dopiero co opuścili, sufit został mocno ściśnięty z dwóch stron, w wyniku czego obluźował się ogromny blok lodu i spadł wprost do wrzącej sadzawki. Syk i hałas powstał taki, że wędrowcom o mało nie popękały bębrenki w uszach, a gęsty dym siarkowy z hukiem napływał do korytarza tuż za nimi.

Uciekali w śmiertelnym strachu. Ślizgali się po lodzie, wpadli do gorącej rzeki, jakoś się z niej wydostali, pomagali sobie nawzajem wspinać się na wysokie zwały lodu i w końcu znaleźli bezpieczne schronienie, gdzie dymiąca masa, posuwająca się za nimi, nie mogła ich dosięgnąć. Okazało się jednak, że dotarli do końca drogi. Przejście było zasypane dokładnie tak, jak się spodziewali.

Marco wezwał Addiego przez radio.

- Wpadliśmy w pułapkę - powiedział spokojnie, by nie straszyć kierowcy. - Ale potrwa to tylko chwilę. Nie potrzebujemy pomocy, damy sobie radę sami, wyjdziemy stąd. Wyjdziemy na zawsze, zrezygnowaliśmy już z poszukiwania Wrót, to teraz zupełnie bez sensu. Tak, mieliśmy tu kilka eksplozji i zawałów, ale znajdujemy się w bezpiecznym miejscu. Musimy się tylko przedrzeć przez jeden z korytarzy.

Rany boskie, myślała Miranda, a serce tłukło jej się w piersi z przerażenia. „Tylko przedrzeć się przez jeden z korytarzy?” To przecież niemożliwe, do diabła, nigdy stąd nie wyjdziemy.

Potężny grzmot gdzieś daleko za nimi przestraszył ją tak, że była bliska utraty zmysłów.

Marco zakończył rozmowę.

- Właśnie tutaj jesteśmy bezpieczni - rzekł do swoich przyjaciół. - Lodowa skała ochroni nas przed tym, co się dzieje dalej pod lodowcem. Ale lodowa ściana po tamtej stronie, te bloki, które spadły na dół...? Tak, coś musimy z nimi zrobić, co wy na to, panowie czarnoksiężnicy?

Móri i Dolg potrząsali głowami.

- Tym razem nie pomogą żadne czarodziejskie runy - westchnął Móri. - Dolg, czy nie mógłbyś wezwać na pomoc Starca? A może elfy?

Dolg zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sądzę. Musicie wiedzieć, że nigdy nie opuściłem ani na chwilę Gjáin, w związku z czym pojęcia nie mam, jak się ich wzywa. Uratowali mnie kiedyś w Drekgil, ale przyszli do mnie z własnej inicjatywy. Teraz wypuścili mnie na zawsze, już do nich nie należę, więc nie sądzę, żeby...

- Tak - potwierdził Marco. - Dolg ma rację, nie możemy wymagać od elfów, by przesunęły setki ton lodu.

- Może znajdziemy jakąś szczelinę w innym miejscu? - zastanawiała się Miranda. - I może uda nam się ją poszerzyć.

Marco skinął głową.

- Już obejrzałem najsłabsze punkty w tej ścianie na prawo. Ale z tyłu za nią leży jeszcze jeden lodowy blok.

Stał długo pogrążony w myślach.

- Mógłbym może...

- Co byś może mógł? - zapytali, gdy milczał zbyt długo.

Marco przeczesał palcami swoje krucze włosy.

- Co prawda zrezygnowałem z moich spraw w Salach. Pożegnałem się ze wszystkimi, ale mam tam kilkoro wiernych przyjaciół. Między innymi te dwa anioły, które zjawily się owej nocy, gdy nasza matka urodziła Ulvara i mnie, pomogły małemu Henningowi, a naszą matkę zabrały do Sal. One mogłyby nam pewnie udzielić jakiejś rady.

- Niedokładnie zrozumiałem - rzekł Móri. - Ty sam jesteś księciem Czarnych Sal, a tymczasem zwykle anioły mają większą władzę niż ty?

Marco uśmiechnął się łagodnie. Był tak urzekająco piękny, że w oczach Mirandy pojawiły się łzy.

- Ja jestem na pół człowiekiem - przypomniał Marco.

- Czarne anioły posiadają znacznie większe siły niż ja. Ale jednak zawsze bardzo mnie szanowały. Nie wiem tylko... - zawahał się na chwilę. - Nie wiem, czy mam prawo pytać o radę, skoro nie należę już do Sal?

Po krótkiej przerwie, gdy starali się ocenić sytuację, Dolg wyszeptał:

- Myślę, że powinieneś spróbować, Marco.

Książę przyglądał mu się niezgłębionym wzrokiem. Ci dwaj mieli tak podobne charaktery, że nikt nie wątpił, iż połączy ich wieczna przyjaźń. Marco skinął głową.

Odwrócił się i zebrani widzieli już tylko jego niezwykle zgrabne i proste plecy. Stał przez chwilę pogrążony w głębokiej koncentracji i kompletnym milczeniu.

Reszta czekała.

W końcu opuścił ręce i ponownie odwrócił ku towarzyszom.

- Nawiązałem kontakt z tymi dwoma, o których wspominałem, Pojęcia nie mam, co się teraz stanie.

Miranda, może odrobinę bluźnierczo, pomyślała, dlaczego nie zdecydował się nawiązać kontaktu bezpośrednio z ojcem, który z pewnością potrafi dokonać o wiele więcej niż jego słudzy. Odpowiedź знаła jednak z kronik Ludzi Lodu. Ojciec, ów upadły anioł światłości, nie miał prawa opuszczać Czarnych Sal częściej niż raz na sto lat. I do następnej takiej okazji należało jeszcze bardzo długo czekać. Czarnym aniołom mógł jednak zlecać pełnienie różnych misji na Ziemi i często z tego korzystał.

- Teraz pozostaje nam tylko mieć nadzieję - westchnął Marco. - Jeśli się jednak nic nie zdarzy, to marny nasz los.

- Czy naprawdę niczego nie możemy zrobić? - zastanawiał się Móri. - Może spróbujemy topić lód? Kawałek po kawałku.

- Chętnie - zgodził się Marco, popatrzawszy na masy lodu otaczające ich ze wszystkich stron. - Lepsze to niż bezczynne czekanie.

- Patrzcie, jeden mniejszy blok wbił się tam, w wąskie przejście. Gdybyśmy tak zdołali...

Nie, to wszystko jest po prostu beznadziejne.

Na zewnątrz, w pogrążonym w gęstej mgle świecie, Addi wrócił do swego jeepa. Nastawił się na długie czekanie. Głos Marca nie brzmiał zbyt przekonująco, gdy oznajmiał, że muszą sforsować jedno trudne przejście, skoro jednak Addi obiecał, że zaczeka, to zaczeka, żeby nie wiem co. Powiedzieli, że nie potrzebują pomocy, więc trudno. Okaże się z czasem.

Wezwał raz jeszcze Marca i dowiedział się, że na razie wszystko w porządku. Wkrótce będą chyba na zewnątrz.

Właśnie owo „chyba” zaniepokoiło Addiego.

Usiadł wygodnie. Ze swego miejsca miał widok na wejście do lodowych pieczar.

Dziwne, jaki się poczuł zmęczony! I mgła zaczęła gęstnieć. Stało się to nagle, stwierdził po prostu, że nie widzi już wejścia.

Powieki mu opadały, walczył, żeby nie zamykać oczu. Chyba nigdy w życiu nie odczuwał takiego zmęczenia i senności. Jakby gdzieś w głębi głowy słyszał nieoczekiwane w tym miejscu odgłosy, potężny szum czy też łopot wielkich ptasich skrzydeł. Przez ułamek sekundy wydawało mu się nawet, że widzi dwa ogromne, czarne ptaki opadające w pewnej odległości od niego na śnieg, ale to tylko jakieś senne widzenie, bo kiedy następnym razem udało mu się unieść powieki, otaczała go wyłącznie mlecznobiała mgła

Addi dał za wygraną i pogrążył się w głębokim śnie.

- Są tutaj - szepnął Marco. - Są po tamtej stronie zawału.

Miranda zdjęła z lodu przemarznięte, zsiniałe palce.

Na powierzchni został ledwie widoczny odcisk. Zauważyła, że mężczyźni zdołali wyżłobić głębsze ślady, ale nawet gdyby kontynuowali, to w takim tempie i tak musieliby spędzić w lodach całe życie.

Usłyszeli kilka słów w nieznanym języku i Marco natychmiast odpowiedział tak samo. Reszta nie rozumiała nic.

- Proszę, byśmy się cofnęli odrobinę - objaśnił Marco. - Musimy stać daleko od lodu, zamykającego przejście.

Nie bardzo ich zachwycała perspektywa cofania się ku wnętrzu lodowca i odsunęli się tylko tyle, ile to niezbędne. Potem zatrzymali się i czekali. Miranda nie pojmowała, co się ma stać, aż nagle musiała uskoczyć w bok przed potężną kaskadą wody, wydobywającą się z korytarza i walącą ku rzece.

Przybysze stopili lodowy blok! W jednej krótkiej chwili, jednym dotykem czy tylko rozkazem, nie umiałyby powiedzieć, stopili przeszkodę zamykającą przejście.

Kiedy woda spłynęła, czwórka wędrowców zdecydowała się ruszyć z miejsca.

Przejście było otwarte i... Miranda nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Stali w nim dwaj przybysze, dwie potężne, czarne sylwetki o ogromnych czarnych skrzydłach. Spoglądali na ludzi z poważnymi twarzami, surowymi, a mimo to niezwykle pociągającymi.

Uśmiechnęli się do Marca, który pospieszył ich witac i dziękować za ocalenie. Potem nowo przybyli zwrócili się do Mirandy, która drgnęła gwałtownie, nie spodziewała się, że będzie przedmiotem ich zainteresowania. Dygnęła niczym mała dziewczynka, kiedy podeszli bliżej.

Jeden odezwał się bezbłędną norweszczyszczą:

- Twój przodek, Henning, stał się w młodości bardzo dobrym przybranym ojcem osieroconych bliźniaków, Marca i Ulvara, Mirando. W Czarnych Salach nigdy nie będzie to zapomniane. Dlatego z życzliwością patrzymy teraz na ciebie, jak zresztą zawsze na twoich krewnych.

- Dż... dziękuję - wykrztusiła, z wdzięcznością myśląc o prapradziadku Henningu.

Anioły spojrzały teraz na Móriego i jego syna.

- Czarnoksiężnik z Islandii. Przybrany syn elfów. To dla nas wielki zaszczyt, że możemy was powitać.

- Cały honor po naszej stronie - wtrącił Móri i zarówno on, jak i jego syn skłonili się w najgłębszym szacunku. - Najserdeczniej dziękujemy, iż zechcieliście przyjść nam na ratunek.

- Dlaczego jednak właśnie tutaj szukacie Wrót do Królestwa Światła? - zapytał jeden z aniołów wyraźnie rozbawiony. - Czy naprawdę musicie wybierać najtrudniejszą drogę?

Królestwo Światła? To świetnie brzmi. Bardzo obiecująco w każdym razie.

- Nie znaliśmy innej, wasza wysokość - wytłumaczył Móri.

- Marco, Marco - zwrócił się anioł ze śmiechem do przyjaciela. - Dlaczego nie zapytałeś nas?

- Co? Naprawdę znacie tę drogę? - zawołali jeden przez drugiego Marco i Móri, a Marco przypomniał sobie, że istotnie, kiedyś już słyszał o istnieniu Wrót.

- Bardzo dobrze znamy owo Królestwo i wiemy, że można do niego dojść na wiele sposobów.

- Wskażcie chociaż jeden! Najodpowiedniejszy dla nas - poprosił Móri.

- Ach, opowiada się tyle legend o Królestwie Światła! Nie ma ono żadnych powiązań z Czarnymi Salami, mimo to świetnie wiemy, jak się tam dostać. Wyjdźmy jednak na zewnątrz, nie podobają mi się te trzaski w lodowym stropie...

Miranda podzielała jego niepokój. Lód pękał i trzeszczał przejmująco ponad ich głowami. Ruszyli więc w stronę wyjścia, posuwali się bardzo wolno, droga bowiem okazała się niezwykle trudna. Miranda trzymała się blisko jednego z czarnych aniołów, a grupa towarzyszy, idąca obok drugiego, wyglądała, jej zdaniem niczym komary lecące za gigantycznym, wspaniałym ptakiem.

Cała grupa trzymała się zresztą blisko siebie nawzajem.

Czarny anioł powiedział:

- Najpewniejsze dla was Wrota znajdują się... Tak, chyba najbezpieczniejsze byłyby Wrota w grotach Adelsbergu.

- To znaczy w grotach Postojny - odpowiedziała mu Miranda.

Marco zmarszczył brwi.

- Ludzie Lodu niechętnie z nich skorzystają, mamy związane z tamtymi grotami bardzo nieprzyjemne wspomnienia. Poza tym w Jugosławii jest wojna.

- Ale Postojna leży w Słowenii - wtrąciła Miranda. - A tam panuje spokój.

Marco potrząsnął głową.

- Nasz zły przodek, Tengel, przez wiele setek lat ukrywał się właśnie tam.

- W takim razie rozumiemy twoje obiekcje - odparł czarny anioł - Wrota Wrót w Andach peruwiańskich leżą zbyt daleko, ale przecież możecie się zdecydować na najbliższe wam, czyli norweskie!

- Co? - zawołali zebrani chórem. - W Norwegii istnieją jakieś Wrota?

- Niezbyt wiele, ale istnieją. Dwoje. Jedne znajdują się w stolicy i mogą wymagać od was wiele trudu i poświęceń. Drugie jeszcze trudniej osiągnąć, bo to wysoko w górach.

- No ale te w Oslo, opowiedzcie o nich coś więcej - prosił Móri.

To brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdą. Upragnione Wrota aż tak blisko?

Czarny Anioł, rozbawiony ich ożywieniem, powiedział:

- Jeden z kościołów waszego miasta został zbudowany na miejscu dawnej pogańskiej świątyni. To zresztą nic dziwnego, na ogół tak właśnie postępowano, bo od czasów pogańskich wybierano na chwałę Bożą najpiękniejsze miejsca.

Miranda robiła w myślach gorączkowy przegląd kościołów w Oslo. Nie uważała, by lokowano je szczególnie pięknie, na ogół w centrach brudnych dzielnic, w otoczeniu nieładnych budynków. Gdyby to chociaż był Sztokholm, to ona osobiście wybrałaby kościół świętego Engelbrekta. Chociaż dawniej Oslo przecież wyglądało inaczej. Wzgórza, łąki, widok na fiord...

Kiedy czarny anioł wymienił nareszcie, który kościół ma na myśli, zdumiała się. Ten?

No w końcu, czemu nie?

- Dlaczego jednak miałyby być tak trudno dostać się do Wrót?

- Kościoły w Norwegii są nieustannie pozamykane. Podczas nabożeństwa nie wypada wchodzić w takiej sprawie. Można jedynie prosić o pozwolenie zwiedzania świątyni bez przewodnika, ale to także trudne.

Rzeczywiście, anioł ma rację.

- Jak to często bywa - mówił dalej, kiedy przechodzili pod przypominającym niesamowitą firankę nawisem lodowym - w średniowieczu znajdował się tam również klasztor. Nic jednak z niego już nie zostało, klasztor odszedł w niepamięć, podobnie jak pogańska świątynia. Minio to są w kościele drzwi prowadzące do grobowej krypty, a tam znajduje się mur pochodzący z czasów szarych braci. Mnisi wiedzieli, że istnieje tajemnicze przejście, i zamurowali je. Nie chcieli bowiem mieć nic wspólnego z pogańskimi rytuałami, jakie się tu kiedyś dokonywały, ani z owym tajemniczym wejściem, uważali zresztą, że przynosi ono nieszczęście.

Teraz wyjaśnienia podjął drugi anioł:

- Tak jest. Sądźli, że przejście prowadzi do piekła. Gdyby zbadali je dokładnie, znaleźliby coś dokładnie odwrotnego, są to bowiem jedne z Wrót do Królestwa Światła.

- Paganie musieli chyba o tym wiedzieć?

- Oni widzieli jedynie czarną dziurę w ziemi. Wrzucali do niej swoich wrogów.

No, a czarne anioły znają najdrobniejsze nawet szczegóły, pomyślała Miranda, próbując jednocześnie utrzymać równowagę na lodowym bloku. One wiedzą o wszystkim, co kiedykolwiek miało miejsce w czasie i przestrzeni. O wszystkim! Trzeba przyznać, że to trochę przerażająca świadomość.

- A ci wrogowie? - zapytał Dolg. - Gdzie oni się później podzieli?

- Większość wrzucano do otworu już po śmierci, więc nie było problemu. Inni umierali w lochach. Niektórzy jednak odnaleźli drogę dalej. Są nawet tacy, którym udało się dotrzeć do Królestwa Światła. Inni, źli z natury, znaleźli się poza jego granicami.

Kiedy wszyscy spoglądali na niego pytająco, wyjaśnił:

- Istnieje również Królestwo Ciemności... Poza granicami Królestwa Światła, do którego dotrzeć jest bardzo trudno. Nawet jeśli uda wam się przekroczyć Wrota, istnieje niebezpieczeństwo, że traficie do państwa Ciemności, które jest o wiele większe. W takim razie powinniście się ze wszystkich sił starać iść dalej, nie poddawać się.

Kolejny daleki grzmot przywołał ich do rzeczywistości.

- Musimy uciekać - westchnął anioł. - Chodźcie, wyprowadzimy was.

- Ale nasz szofer was zobaczy... - zaniepokoił się Móri, kiedy biegli ku wyjściu.

- On śpi. Głęboko. I będzie spał, dopóki go nie obudzimy.

Spieszyli się, ale też posuwali znacznie szybciej niż poprzednio, bowiem dwie nadprzyrodzone istoty usuwały im z drogi wszelkie przeszkody.

Przy samym wyjściu Marco zatrzymał się i głęboko wciągnął powietrze. Mgła opadła, mieli przed sobą rozległy biały krajobraz, w którym widoczne były tylko najwyższe szczyty. Rozpoznawali Askję, Herdhubreidh. Dolg zadrżał.

- To była samotna wędrówka - powiedział cicho.

Inni przytakiwali ze zrozumieniem.

- Moi przyjaciele - zwrócił się Marco dziwnie stanowczym głosem do aniołów. - Od dawna już rozmyślałam o pewnej, sprawie.

Tamci czekali w milczeniu, więc ciągnął dalej:

- Otóż, jak wiecie, nie wszyscy członkowie Ludzi Lodu znaleźli sobie miejsce w Czarnych Salach, nie wszyscy czują się tam dobrze. Większość tak, są jednak niespokojne dusze, wciąż bezskutecznie poszukujące przystani.

- Wiemy - uśmiechnął się jeden z aniołów. - Na przykład ty.

- Tak jest. Ale teraz myślę o moich krewnych, Sol, Tengelu Dobrym, Villemo i wielu, wielu innych, Zastanawiam się mianowicie, czy oni nie chcieliby nam towarzyszyć na drugą stronę Wrót.

Czarne anioły popadły w zadumę.

- Porozmawiamy z twoimi kuzynami - oznajmiły po chwili. - Jeśli zechcą iść z wami, nie będzie przeszkód.

- Znakomicie! Dam wam znać, kiedy i skąd wyruszamy.

Przecież Sol i inni zmarli już bardzo dawno temu, chciała zaprotestować Miranda, przypomniała sobie jednak opowiadanie Móriego. W tamtej grupie, w której przekroczyła Wrota jego rodzina, znajdowało się wiele dusz zmarłych i innych nadprzyrodzonych istot.

Podziękowali tedy czarnym aniołom, które natychmiast wzbiły się w niebo i odleciały ku północy.

Ku Dimmuborgir, pomyślała Miranda.

Kiedy ludzie podeszli do jeepa, Addi przeciągnął się i obudził.

- No Bogu dzięki, jesteście - westchnął z ulgą i popatrzył na zegarek. - Dobrze, żeście zrezygnowali z tego pomysłu i tak szybko wyszli na świat.

W drodze powrotnej do cywilizacji Marco zadał czarnoksiężnikowi nieprzyjemne pytanie:

- Czy jesteś pewien, że twoja rodzina i wszyscy wasi przyjaciele dotarli do Królestwa Światła? Że ich droga nie zakończyła się natychmiast po przekroczeniu Wrót? Że nie zginęli? Jesteś tego całkiem pewien?

- Nie jestem - przyznał Móri, - Szczerze mówiąc, nie wiemy nic. Możemy jedynie żywić nadzieję. Powinniśmy mieć prawo zachować wiarę, że wszystko tam skończyło się dobrze, nic innego nam nie pozostaje.

Tylko życie wieczne, pomyślał Marco zgnębiony. Wieczne życie w tęsknocie i żalu.

Następny wieczór spędzili w Reykjavíku, Ponieważ ranny samolot do Oslo startował o jakiejś zupełnie barbarzyńskiej porze, Addi pożegnał się z nimi już teraz, dziękowali mu gorąco za wspaniałą współpracę.

Addi to naprawdę godny szacunku reprezentant świetnej grupy islandzkich przewodników, wożących turystów na dzikie pustkowia.

On również dziękował za wszystko i zapraszał znowu,

Obie strony wiedziały jednak dobrze, że nigdy więcej się nie zobaczą.

Wrota bowiem stanowią granicę pomiędzy dwoma światami.

Jeśli zdołają je odnaleźć...

18

Ellen cierpiała.

Szczęście z odzyskania wnuczki mąciły jej poważne zmartwienia. Dzieci na miejscowym placu zabaw odkryły Sassę, ale konfrontacja okazała się bardzo nieprzyjemna. Wprawdzie Ellen zdołała dzieciom wytłumaczyć, co się stało, ale nadejść przecież nowe spotkania z innymi dziećmi. W dodatku żadne z tych już poznanych nie podjęło inicjatywy wciągnięcia Sassy do gromady.

Wyglądało na to, że dziewczynka przywykła do samotności. Najchętniej zamykała się w swoim pokoju i bawiła z kotkiem, którego uwielbiała. Ellen nie miała odwagi zapytać synowej, jak sobie z tym wszystkim radziła, w głębi duszy myślała o niej bardzo ciepło, jako o matce, która tak znakomicie chroniła swoje okaleczone dziecko. Mimo wszystko to ładnie z jej strony, że nigdy nie chciała oddać córeczki, myślała Ellen.

Sassa jednak, która obdarzała babcię coraz większym zaufaniem, wspominała raz po raz o sprawach i wydarzeniach, które zdawały się świadczyć o czymś odwrotnym.

Na przykład o tym, że nigdy nie wolno jej było posiadać zwierzątka, ponieważ one przeszkadzają i okropnie brudzą. W ciągu ostatnich czterech lat życie Sassy było udręką. Przedtem zdarzało się, że mama przytulała ją gwałtownie i szeptała coś w rodzaju: „Zostaniesz ze mną, twój ojciec nigdy cię nie dostanie, bo on zrobiłby ci krzywdę”. Po śmierci ojca jednak dziecko okazało się znacznie mniej przydatne, matka nie miała się

już na kim mścić. Wspominała nawet od czasu do czasu o tym, by umieścić dziewczynkę u jakiejś rodziny albo po prostu w domu dziecka, bo przecież nie można jej pokazywać ludziom.

Sassa, rzecz jasna, nie mówiła tego wyraźnie, w każdym razie nie świadomie. Wspominała tylko podczas serdecznych rozmów z babcią o różnych faktach ze swego nieszczęśliwego życia.

Nataniel wyprawiał się z wnuczką na długie spacery. Dziewczynka bardzo to lubiła, chętnie trzymała dziadka za rękę, kiedy wieczorem przechodzili obok jakichś ponurych miejsc. Zdarzało się, że całą drogę z nim rozmawiała, a kiedy Nataniel i Ellen zebrali razem wszystko, czego się dowiedzieli, postanowili, że Sassa nigdy nie wróci do matki, chyba że sama bardzo by tego chciała.

Wyglądało jednak na to, że nie chce. Absolutnie nie.

Ulęgę, z jaką Ellen powitała wracających z Islandii wędrowców, trudno opisać.

Gdy już złożyli raport ze swojej nieudanej wyprawy do Kverkfjöll, czego Sassa wysłuchała z wytrzeszczonymi oczyma, Ellen zabrała Marca do innego pokoju i przedłożyła mu swoją ogromną, ogromną prośbę.

Żeby spróbował coś zrobić z twarzą wnuczki.

Marco skinął głową w zamyśleniu.

- Spróbuję - odparł. - Ale na to potrzeba trochę czasu.

- Dziękuję ci - szepnęła Ellen. - Dziękuję, najdroższy Marco!

Potem opowiedziała mu jeszcze, na jaki pomysł wpadli oboje z Natanielem. Że natychmiast po powrocie do domu żalowali, iż nie poszli z nimi do Kverkfjöll. Skoro jednak istnieją jakieś Wrota w podziemiach kościoła w Oslo, to czy oni by mogli...? Wszyscy troje? Plus jeden mały kociak...

Marco uśmiechnął się do niej promiennie. Naturalnie, że możecie, musicie tylko wszystko dobrze przemyśleć.

Już to uczyniliśmy, zapewniała Ellen.

Ponieważ teraz jeden pokój w domu dziadków zajmowała Sassa, a z Islandii przyjechała jedna osoba więcej, Dolg zamieszkał w domu Gabriela.

A tam same radosne niespodzianki! Przede wszystkim radość z powodu powrotu oczekiwanej Mirandy do domu, a także radość ze spotkania z Mórim, Dolgiem i Markiem.

- Ja tak strasznie żałowałam... - zaczęła Indra.

- Ty także? - zapytał Dolg. - Nataniel i Ellen podobno też bardzo tęsknili, do tego stopnia, że postanowili nam towarzyszyć, jeśli odnajdziemy Wrota.

- Tak, a ja byłam na to gotowa już na Islandii - wtrąciła Miranda z podnieceniem.

Wtedy również Gabriel odważył się wyrazić swoje pragnienie. Jeśli córki zechcą towarzyszyć Móriemu i Marcowi, to on sam też nie chce na tym świecie zostać.

Wszystko skończyło się wybuchem gromkiego śmiechu, a Miranda zaczęła tańczyć dookoła ojca.

Cieszyli się, mimo że motywacja Indry do opuszczenia Ziemi wydała im się niepoważna:

- Chcę odejść, bo prędzej czy później Bodil wypuszczą z więzienia, a ja nie zniósłabym już jej obecności!

Prawdziwych powodów swojej decyzji głośno nie wyjawiała. Nie przyznała się, że chce opuścić świat, by nie tracić kontaktu z tymi trzema wspaniałymi mężczyznami, których poznała, z Markiem, Mórím i Dolgiem. Nie należy mężczyźni wbijać w dumę!

Ale nikt nie wiedział, jak bardzo za nimi tęskniła, kiedy opuściła Islandię.

Tego wieczora dziewczęta i Dolg siedzieli długo w noc w pokoju Indry i rozmawiali. O tak wiele rzeczy pragnęły go zapytać, a on również chciał się dowiedzieć jak najwięcej o dziwnym życiu we współczesności. Inni, którzy wrócili z Islandii razem z nim, zdumiewali się, jak niewielkie wrażenie zrobiła na nim podróż samolotem, on jednak z uśmiechem odrzekł, że przecież ma doświadczenie w lataniu po wyprawie do twierdzy Sigiliona w Karakorum. To przecież zupełnie co innego, zaprotestował Móri. Lot to lot, upierał się Dolg.

Było bardzo wiele rzeczy i pytań, na które domagał się odpowiedzi. Najbardziej rozczarowało go to, że wiara w tak zwane zjawiska ponadnaturalne nie pogłębiła się, a raczej zmalała od czasu, kiedy on żył na ziemi. Indra, rzecz jasna, nie mogła usiedzieć w milczeniu.

- „Czas, kiedy ty żyłeś na Ziemi...” To właściwie brzmi dość okropnie. Czy miałaś wtedy ukochaną?

- Indra, coś ty! - zawołała Miranda. - Nie sądzę, żeby Dolg...

Młody człowiek uśmiechnął się lekko.

- Miranda ma rację. Nie miałem czasu na takie sprawy.

- To wspaniale - zaszcebiotała Indra, a wszyscy uznali, że to próbka jej poczucia humoru.

O tym, co te słowa znaczą, wiedziała tylko sama Indra.

Sassa patrzyła na cudownie pięknego mężczyznę stojącego przed nią. Wyglądał trochę dziwnie. I mówił też niezwykle rzeczy, jak na przykład to, że wydobędzie jej dawną twarz spod szpecących blizn. Sprawdzi, że blizny znikną. Czy to jeszcze jeden lekarz? Lekarzom dziewczynka od dawna już nie wierzyła. „Sama się przekonasz, jaka będziesz śliczna, Sasso!” - powtarzali nieustannie, ale nic z tego nie wynikało. Musiała tylko leżeć bez ruchu przez długie miesiące, cierpiała przy tym bardzo, a oni przenosili kawałki skóry z innych części ciała. Za każdym razem było chyba odrobinę lepiej, nigdy jednak nie nastąpiła dostateczna poprawa. Wciąż połowa twarzy była ściągnięta przez co druga wydawała się zbyt wielka, a jednego oka w ogóle nie było widać. Nic dziwnego, że dziewczynka nie miała nigdy kolegów do zabawy ani żadnej przyjaciółki.

Teraz zaczynało być naprawdę niedobrze. Sassa bardziej niż przedtem interesowała się swoim wyglądem. Skończyła już dwanaście lat i zdarzało jej się ukradkiem spoglądać na chłopców. Oni jednak nie... Wolą nie myśleć o tym, jak chłopcy zazwyczaj ją nazywali.

Nigdy jeszcze nie widziała tak przystojnego mężczyzny, jak Marco. W ogóle nie przypuszczała, że mogą być ludzie tak doskonali, tak wspaniali. Spoglądanie w jego przyjazne oczy sprawiało jej niemal ból. Był jakiś dziwnie ciemny. Nie tak, jak bywają Afrykanie, nie, to zupełnie inny rodzaj czerni. Sassa nie potrafiła tego określić.

Marco położył dłonie na jej twarzy. Och, jaki przyjemny jest dotyk jego ciepłych dłoni, zarazem jednak poczuła drżenie w całym ciele, jakby przenikał ją prąd elektryczny. Nie, on nie może być zwyczajnym lekarzem.

W twarzy pojawił się dojmujący ból, jakieś dziwne szarpanie, jakby coś rozrywało skórę, chociaż Marco ledwie jej dotykał.

- To będzie, niestety, trochę bolało - rzekł przyjaznym głosem. - I poprawa nie nastąpi od razu za pierwszym razem, to musi nam zająć trochę czasu.

- Ja wiem - odparła nieśmiało. - Jestem przyzwyczajona do tego, by czekać wiele miesięcy.

- Nie, tym razem aż tak długo czekać nie musisz - uśmiechnął się Marco, a jego uśmiech był tak piękny, że przepelnił serce dziewczynki dziwnym bólem i tęsknotą. Jakaś nieznośną tęsknotą za czymś nieznanym. Może za tym, by pokazać go całemu światu? Nie po to, by się chwalić, że go zna, lecz po to, by wszyscy ludzie mogli go podziwiać.

Nie pragnęła jednak, by został czymś w rodzaju gwiazdy filmowej, nie, nie, to zbyt banalne. Chciała, żeby... nie, nie mogła się zdecydować, czego naprawdę chce.

Czuła rozrywający ból w skurczonym, pokrytym bliznami policzku. Choć Marco sam niczego właściwie nie robił, trzymał tylko swoje ciepłe dłonie tuż przy jej skórze.

Jęknęła cichutko. Nie chciała tego, postanowiła, że będzie dzielna, ale jęk po prostu sam wyrwał się z piersi.

Wtedy Marco wstał i odsunął od niej dłonie.

- No, to tyle - rzekł. - Na dziś chyba wystarczy. Wrócimy do tego jutro, jeśli zechcesz.

Cóż mogła mu odpowiedzieć? Po prostu skinęła głową.

- Powinnaś się teraz przejrzeć w lustrze - zachęcał ów przyjazny mężczyzna, którego Sassa już pokochała całą duszą. - Na razie jednak nie oczekuj cudu!

Co by to miało znaczyć? Po pierwsze, niczego w ogóle nie zrobił, a po drugie, ona po niezliczonych rozczarowaniach była teraz odporna. Wielokrotnie przeżywała tę chwilę, kiedy trzeba było zdjąć bandaże. A potem spoglądała w lustro. Och, nie! Jakieś pośpieszne słowa: „Będzie lepiej, kiedy zniknie opuchlizna i zaczerwienienie”. Nigdy jednak dużo lepiej nie było.

Tak więc Sassa, zbliżając się do lustra, nie żywiła żadnych iluzji. Co on sobie wyobraża?

Kiedy jednak zobaczyła swoje odbicie, serce zaczęło tłuc się w piersi jak szalone. Ów paskudnie ściągnięty policzek został wyraźnie wygładzony, także oka już nie ciągnęło w dół i Sassa przestała wyglądać jak stary spaniel. Dzięki temu również zniknął nieustanny grymas, przypominający złośliwy uśmiech. A skóra...? Zrobiła się niemal gładka.

- No i co na to powiesz? - zapytał cicho za jej plecami. Sassa długo przelykała ślinę. Mogła tylko kiwać głową.

- Więc uważasz, że jutro możemy kontynuować? Wygładzić wszystko do końca?

- Tak, dziękuję - zdołała nareszcie wyszeptać, ponieważ głos wciąż odmawiał jej posłuszeństwa. To, co się stało, było dla niej głębokim wstrząsem.

Musi się pokazać babci!

Nagle uświadomiła sobie, że najpierw pomyślała o babci, a nie o mamie. Dziś rano dziadek powiedział, że będzie mogła wybierać, że nie musi wracać do mamy, jeśli woli

zostać z dziadkiem i babcią i wyprawić się z nimi w bardzo daleką i, być może, niebezpieczną podróż.

Kiedy dziadek mówił „z powrotem do mamy”, Sassa zeszywniała ze strachu. Musiałaby wtedy opuścić Huberta Ambrozję i znowu musiałaby słuchać złego, przejmującego głosu matki w każdym momencie, kiedy dziewczynce coś się nie udało, znowu musiałaby być doskonała. I jeszcze ten okropny wujek, który teraz mieszka u mamy. Ten, który nie pozwalał, by Sassa pokazywała się przy stole, ponieważ na jej widok traci apetyt. A mama zawsze trzyma jego stronę. Zawsze!

Nie, za nic nie chciała wracać!

Zapytała dziadka, czy będzie mogła wziąć także Huberta Ambrozję w tę długą podróż, a on odpowiedział, że to oczywiste, przecież nie zostawia się na pastwę losu małego kotka, który na całym świecie ma tylko Sassę. Wtedy ucieszyła się bardzo i obiecała, że pojedzie z nimi, dokądkolwiek zechcą.

Przez cały dzień nieustannie przeglądała się w lustrach, uszczęśliwiona, i myślała, że ładniejsza nie może już być!

Okazało się jednak, że może. Następnego dnia Marco zajął się najpierw jej ramieniem, były na nim paskudne, bliznowate zrosty, które należało rozprostować. Sama zobaczyła, że kiedy Marco przesuwając swoją piękną dłoń po bliznach, one powolutku się wygładzają, w końcu poparzone ramię wyglądało dokładnie tak jak to drugie, zdrowe. Marco najpierw przyglądał się właśnie zdrowemu, prawdopodobnie po to, aby wiedzieć, jak ma prawidłowo wyglądać to drugie.

Sassa była trochę rozczarowana. Skoro Marco postanowił się zająć ręką, to z pewnością uznał, że jeśli chodzi o twarz, nic więcej zrobić już nie można. Trudno, sama przecież tak właśnie myślała od wczoraj i raczej była zadowolona, ale kiedy zobaczyła, czego dokonał z ramieniem, poczuła się tak...

Marco jednak nie miał zamiaru sprawiać jej zawodu.

- No to teraz buzia - powiedział z uśmiechem. - Wytrzymasz jeszcze trochę?

- O, tak - szepnęła.

Znowu położył dłonie na jej twarzy. Znowu poczuła ostry ból, myślała, że ogłuchnie i oślepnie od niego, ale starała się niczego nie dać po sobie poznać.

Trwało to bardzo długo, o wiele dłużej niż z ramieniem.

- No to już - rzekł w końcu Marco zadowolony. - Wiedziałem, Sasso, że jesteś śliczna, ale nie przypuszczałem, że taka słodka! Idź no i przejrzyj się w lustro!

Podeszła do toaletki i bez słowa patrzyła na swoje odbicie... Nagle wybuchnęła głośnym szlochem.

- Prawda, że nam się udało? - szepnął Marco, stając obok Oplotła rękami jego talię i wstrząsana szlochem zdołała wykrztusić: „Dziękuję, och, dziękuję! Ale czy myślisz, że to już tak zostanie? A może mi się tylko śni? Myślisz, że będę mogła taka być...?”

- W każdym razie dopóki nie skończysz osiemdziesięciu lat i nie pojawią się pierwsze zmarszczki - roześmiał się.

Sassa była w stanie tylko opaść na fotel dziadka, śmiać się i płakać na przemian z ogromnego, rozpierającego ją szczęścia.

To dziecko miało przecież za sobą wiele lat cierpień i upokorzeń, które musiało wypłakać.

Trwało to dość długo, a potem Marco pomógł dziewczynce zmyć łzy i oboje poszli się pokazać.

Od tej chwili Marco był największym idolem Sassy.

Większym nawet niż dziadek Nataniel, który tyle jej opowiadał o tatusiu. Sassa prawie nie pamiętała swego ojca i dziadek wyjaśnił jej, że on wcale nie był taki, jakim mama go przedstawiała, nie był zły, kochał swoją małą córeczkę i bardzo cierpiał, kiedy uległa wypadkowi, ale mama obciążyła go całą winą.

Sassa czuła, że to dziadek ma rację. Tatuś na pewno chciał ją widywać. Nie uważał, że jest brzydka i zła, pod żadnym względem, tęsknił za nią równie mocno jak babcia i dziadek.

Bardzo dobrze było się o tym dowiedzieć. I bardzo dobrze było mieszkać z dziadkami. To tak, jakby się wróciło do domu.

19

Kiedy trzeba było niepostrzeżenie wejść do kościoła, Gabriel okazał się nieoceniony. Dzięki swoim zawodowym znajomościom mógł pociągnąć za właściwe nici i oto pewnego późnego wieczora, kiedy większość mieszkańców miasta już spała, on stał z ciężkimi kościelnymi kluczami w ręce, czekając na rodzinę i przyjaciół.

Tymi, którzy, podpiszwszy sobie, chcieli się przespać na pobliskim cmentarzu, nie należało się przejmować.

Nadeszli liczną grupą wszyscy, którzy zamierzali przekroczyć Wrota. Nie tak może liczną jak wtedy, gdy rodzina czarnoksiężnika schodziła do Królestwa Światła w roku 1746 koło Tiveden, lecz także sporą.

Móri i Dolg po raz trzeci podejmowali próbę. Teraz musi się udać. Nataniel i Ellen przyszli z Sassa, która niosła Huberta Ambrozję w małym koszyczku pokrytym siatką. Dziewczynka została ostrożnie poinformowana, o co w tej całej sprawie chodzi i co może się stać. Potraktowała to jako podniecającą przygodę, a poza tym absolutnie nie chciała wracać do matki. Dziadkowie napisali więc list, informując synową, że w całości przejmują odpowiedzialność za dziewczynkę, natomiast dom i majątek przekazali Tovie. Wszystko miało należeć do niej, jeśli, oczywiście, oni nie wrócą z kościoła.

Gabriel postąpił podobnie. Przekazał, co posiadał szwagrom a zarazem kuzynom, Finnowi i Olemu Voldenom z Ludzi Lodu. Fakt, że Gabriel jest również bratankiem Nataniela, sprawił, iż w żyłach Indry i Mirandy płynęła niemal czysta krew Ludzi Lodu. To pewnie dlatego Miranda odziedziczyła co nieco ze starego przekleństwa ciążyącego nad rodem, które w pewnych przypadkach okazywało się błogosławieństwem. Istnieje na to wiele przykładów.

Niektórych z obciążonych dziewczęta za chwilę spotkają.

Czarne anioły bowiem spełniły życzenie Marca. Porozmawiały z członkami Ludzi Lodu, którzy nie znaleźli dla siebie miejsca w Czarnych Salach, i to oni właśnie teraz nadchodzą. Wyłonili się z ciemności pod drzewami cmentarza.

Dziewczyny nie zdążyły rozpoznać zbyt wielu twarzy, niektóre jednak były tak charakterystyczne, że nie można się pomylić. Na przykład Sol ze swoimi płonącymi żółtymi oczyma i szelmowskim uśmiechem na pięknej twarzy. Ulvhedin górował nad resztą grupy, równie przystojny jak inni. Dwaj mężczyźni bardzo do siebie podobni: władczy Tengel Dobry i Heike, jeden z najważniejszych w rodzinie.

Nikogo więcej nie zdążyły rozpoznać, bowiem drzwi kościoła zostały otwarte i zaczęto wchodzić do środka.

Prowadził Gabriel. Już przedtem odwiedził świątynię żeby się zorientować, którędy mają iść. Nie mieli czasu na poszukiwania.

Co się stanie z tymi, którzy odeszli od Kościoła? zastanawiała się Indra. Na przykład z Sol. Ona absolutnie nie pasuje do tego miejsca. Ani Mar, który wyłonił się z mroku ze swoim wielkim łukiem na ramieniu. Mar zawsze był przecież poganinem, pochodził z najdalszych krańców Syberii!

Kościół okazał się jednak tego wieczora wielkoduszny i przepuścił wszystkich.

Po paru sekundach znaleźli się w ciasnej krypcie. Miranda starała się nie patrzeć na ustawione pod ścianami trumny, czuła się od tego źle, choć przecież nie powinna. Pozbawieni wszelkiej złości umarli, leżący tutaj spokojnie od niepamiętnych czasów.

Być może właśnie ów długi czas tak mnie przeraża, myślała Miranda, która w otoczeniu duchów Ludzi Lodu, czarnoksiężników i w towarzystwie księcia Czarnych Sal posuwała się naprzód.

Dość długo musieli szukać słynnego muru, bowiem ze starości porósł mchem czy czymś takim, i stał się zupełnie niewidoczny. Gdy go odnaleźli i oczyścili, okazało się, że jest zbudowany z wielkich kamiennych bloków. Mężczyźni wypatrywali jakichś szczerb lub innych słabych punktów, od których można by zacząć rozbiórkę. Pojęcia nie mieli, co znajduje się po drugiej stronie, być może kolejny mur. A może otwór, o którym słyszeli, został całkowicie zasypany? Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

Powinniśmy teraz mieć do pomocy czarne anioły, pomyślała Miranda. Właściwie to czyste szaleństwo, że zgromadziliśmy się tutaj wszyscy, nie wiedząc, co nas czeka. Nikt jednak nie chciał zostać, nie wiadomo bowiem, kiedy znowu będzie można otworzyć kościół.

Jak strasznie odmieniło się moje życie od chwili, gdy tata odebrał telefon ze Szwecji. Telefon w sprawie tajemniczego grobu w jakimś lesie...

Przypomniała sobie rozmowę, którą słyszała przed kilku dniami wieczorem, gdy ich dom odwiedzili Ellen z Natanielem. Nataniel rozmawiał z Dolgiem. O tym, że cała paranormalna siła skupia się teraz w Marcu i Mórím. Losy ich obu zaś, to znaczy Nataniela i Dolga, okazały się bardzo podobne. Obaj zostali wybrani. Nataniel po to, by unicestwić siłę Tengela Złego, Dolg natomiast, by odnaleźć święte kamienie, a przede wszystkim złote Słońce. Teraz, kiedy zadania zostały wykonane, ich siła bardzo zmalała. Zresztą siła Dolga brała się głównie stąd, że posiadał dwa cudowne klejnoty, szafir i farangil. Wspominał też, że gdyby teraz miał przy sobie szafir, on również spróbowałby uzdrowić buzię Sassy. Szafir jednak znajdował się po drugiej stronie Wrót, tam gdzie jest jego właściwe miejsce.

Miranda strasznie polubiła Dolga. Ten spokój, który zniknął, kiedy młodzieniec powrócił z królestwa elfów, a który teraz pojawił się znowu. Jego znak rozpoznawczy.

W jego marzeniach odnajdywała wiele ze swoich myśli i pragnień. Tak im się dobrze ze sobą rozmawiało, choć na ogół nie mówili wiele. Oboje wiedzieli, że lubią te same rzeczy. Jak na przykład wędrować po bezludnych okolicach i tylko słuchać, odkrywać to, co w naturze ukryte.

Kiedy jednak Miranda zaczynała mówić o problemach społecznych, Dolg nie nadążał za tokiem jej myśli. Tego świata nie rozumiał.

Miranda dbała więc, by mówić tylko o sprawach, które dotyczą ich obojga.

Teraz usłyszała jakiś okrzyk. Mężczyźni przebili się przez mur.

Jakim sposobem tego dokonali, nie wiedziała. Przez cały czas jednak docierały do niej ciężkie odgłosy młota i łomu.

Kiedy już raz znaleźli słabe punkty w murze, nietrudno było wykuć odpowiednio duży otwór. Marco ofiarował się, że pójdzie pierwszy, co zostało przyjęte z radością. Móri i Dolg posuwali się tuż za nim.

Zaraz też zawołali do podążających z tyłu:

- Znaleźliśmy zejście w dół! Tuż po drugiej stronie muru, więc uważajcie, żeby nie spaść!

Móri i Dolg stanęli przy otworze i pomagali innym przedostać się na drugą stronę. Marco zsunął się nieco niżej z wielkim reflektorem. Tymczasem Gabriel odniósł klucze kościelne na umówione miejsce i zamknął drzwi na zasuwę.

Kiedy wrócił, większość już przeszła. Nataniel, on i Móri zostali jeszcze, by spróbować zatkać dziurę w murze. Nieproste zadanie, lecz wszyscy na nich czekali. Uporządkowali kryptę, jak mogli najlepiej.

Tak więc opuszczali ten świat, nie zostawiając śladów.

Ostatniego dnia Gabriel wysłał wyjaśnienia do Petera, Jenny i robotników budowlanych w Szwecji. Nie wspomniał jednak o zamiarze opuszczenia świata.

Dolg szepnął do Mirandy, kiedy pomagał jej zejść ze zbocza:

- Tu wszystko jest inaczej niż w Tiveden. Tam Wrota zatrząskiwały się nieubłaganie za tymi, którzy przeszli, i nieodwołalnie odcinały drogę powrotną. Tutaj można po prostu zawrócić, gdyby na przykład korytarz się skończył albo gdybyśmy zaczęli żałować. Ale też szwedzkie Wrota były wyjątkowe. To Wrota Świętego Słońca.

Miranda miała nadzieję, że Dolg „słyszy”, jak ona w ciemności kiwa głową.

Nagle przyszło jej na myśl coś tak nieprzyjemnego, że na moment zeszytniała ze strachu.

- Ja wiem - powiedział Dolg ze śmiechem. - Zastanawiasz się, gdzie leżą wrogowie pogan. I czy nie depczemy ich ziemskich szczątków.

- No właśnie.

Korytarz gwałtownie schodził w dół. Przed nimi wędrował tłum ludzi. Niektórzy rozmawiali ze sobą cicho, inni milczeli przygnębieni. Sassa obawiała się o Huberta Ambrozię, więc

Marco wziął od niej koszyczek. Miranda widziała, że dziewczynka trzyma swego opiekuna mocno za rękę. Wielu uchodźców przewidująco zaopatrzyło się w kieszonkowe latarki, a nawet duże reflektory. Ona sama o niczym takim nie pomyślała.

Nagle obok niej przemknęła bezszelestnie grupa duchów. Prawdopodobnie chciały się znaleźć w kręgu światła latarki Nataniela. One chyba widzą w ciemności, pomyślała Miranda, ale nie miała odwagi o to zapytać. Nie wiedziała też, czy w ogóle mogłyby jej odpowiedzieć.

Korytarz się rozszerzał, a podłoga zrobiła się znacznie równiejsza. Pojawiały się też jakieś boczne przejścia. Wyglądało to, jakby wszystko powstało w sposób naturalny, ale trudno ocenić, ponieważ korytarze były stare, znajdowała się tu tylko ziemia i kamienie.

- Pomyśleć, że coś takiego istnieje pod Oslo - mruknęła Indra krocząca przed nimi. - Że też budowniczkowie metra na to nie natrafili!

- Znajdujemy się teraz znacznie poniżej wykopów metra - wyjaśnił Nataniel. - Ale niebezpieczeństwo, rzecz jasna, istnieje, bo koparki mogą schodzić bardzo głęboko.

Jak to dobrze, że myśmy już przez to przeszli, myślała Miranda. Ogarniały ją takie same refleksje, jak Theresę i Tiril wtedy koło Tiveden. Nie mogła pojąć, dlaczego wciąż idą tylko w dół, w głąb Ziemi. Wrota powinny przecież prowadzić do innej rzeczywistości.

Zdawało się, że trwa to całą wieczność. Od czasu do czasu napotykali na miejsca, w których osypała się ziemia ze ścian, niekiedy korytarz się rozgałęział, oni jednak nigdy nie mieli wątpliwości, w którą stronę się kierować. Jakby była przed nimi tylko jedna droga.

Oczywiście zdarzały się i poważniejsze przeszkody. Na przykład ściany, które się zawaliły i zasypały cały wąski korytarz... Zawsze jednak udało im się oczyścić przejście. Jeszcze nie zostali definitywnie zatrzymani.

Szli już całą noc, gdy Marco dał znak, że należy odpocząć. Sassa padała ze zmęczenia, i nie ona jedna. Poza tym powinni coś zjeść, Ellen wyjęła więc zapasy w nadziei, że dla wszystkich wystarczy. Nigdy by się nie spodziewała, że pójdzie ich tak wielu. Może jednak duchy nie potrzebują jedzenia?

Gdy się pożywiali, Marco powiedział:

- Nie wiemy, jak daleko zaszliśmy, wiemy tylko, że nieustannie kierowaliśmy się na północ, jakby w głąb kraju. Droga wciąż jest otwarta, więc możemy po prostu iść dalej. Zgadza się na krótki sen tutaj?

Zebrani spoglądali po sobie. Miejsce nie należało do szczególnie sympatycznych z tymi wilgotnymi ścianami i podłogą z ziemi w ciasnym korytarzu. Czy jednak zdołają znaleźć

lepsze? Nikt nie mógł tego przewidzieć. Wobec czego kiwali głowami na znak, że się zgadzają. Parogodzinny sen może przywrócić wędrowcom chęć do życia.

Dolg wstał.

- Chciałbym coś zaproponować - rzekł ze swoim łagodnym uśmiechem. - Jeśli jesteście jeszcze w stanie posłuchać chwilę.

Byli w stanie. Cóż to za niezwykły człowiek, myślała Miranda. Teraz, kiedy podobieństwo do elfa zniknęło, stała się widoczna jego własna osobowość i jego uroda. Te ogromne, czarne oczy, całkiem pozbawione białek, skośne i błyszczące. Móri mówi, że to rysy Lemurów. I ta skóra koloru kości słoniowej przy czarnych, wijących się włosach. Sylwetkę miał gibką, a jednocześnie bardzo silną. Był jak postać młodzieńca ze starego obrazu.

To z pewnością nie jest człowiek, którego można wielbić, myślała dziewczyna. Mimo to... Och, jak bardzo go lubię!

Dolg z przepaszającym uśmiechem zwrócił się w stronę Marca.

- Mój przyjaciel Marco, nie wiedząc o tym, podsunął mi pewną ideę. Kiedy znaleźliśmy się w pułapce we wnętrzu Kverkfjöll, on wezwał swoich krewniaków i przyjaciół, dwa czarne anioły, które nas ocaliły. To, że żyjemy, jest wyłącznie ich zasługą. Przed chwilą właśnie przyszło mi do głowy, że przecież ja też mogę postąpić tak jak Marco. Również mam dwóch bardzo potężnych przyjaciół. To są Obcy. Wiem, że starsi członkowie Ludzi Lodu o nich nie słyszeli...

- Owszem, opowiedziałem im twoją historię - wtrącił Marco.

- Znakomicie! Postanowiłem się dowiedzieć, czy jesteśmy na właściwej drodze, czy też może po prostu schodzimy coraz głębiej i głębiej do czegoś, co nie wiadomo gdzie się kończy. Albo może wkrótce droga zostanie przed nami definitywnie zamknięta, a my nie będziemy mieli już ani sił, ani jedzenia.

Przodkowie Ludzi Lodu przyglądali się Dolgowi z takim samym zainteresowaniem, jak ich żyjący krewni. Indra zauważyła, że na ustach Sol błąka się niebezpieczny uśmieszek, i pomyślała: „O, nie, od Dolga trzymaj się z daleka, on jest mój!” Chociaż znakomicie wiedziała, że ten człowiek do nikogo nie należy. Nie chciała, by Sol próbowała swoich uwodzicielskich sztuczek na tym czystym, niewinnym chłopcu.

Indra spostrzegła też, że i na Marca Sol spogląda pożądlivym wzrokiem. Ale kto tego nie czynił?

Najlepszą dla niej pociechą był fakt, że z konkurencji została wyłączona Bodil. Gdyby Indra musiała wybierać, wołałaby oddać owych wspaniałych mężczyzn Sol, w każdym razie nie Bodil.

Mój Boże, co za dziwne myśli krążą mi po głowie? Przestraszyła się i skoncentrowała się na tym, co mówi Dolg.

- Zrób to, Dolgu, jeśli możesz. Wezwij swoich przyjaciół. Obu Obcych - prosił Gabriel.

Dolg uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

- Już to zrobiłem - oznajmił, - Nie mogę twierdzić, że otrzymałem odpowiedź, chciałem tylko poinformować was, że próbowałem nawiązać kontakt. A teraz proponuję, byśmy poszli za radą Marca i spróbowali się trochę przespać. Nie mogę obiecać, że jutro coś się stanie, natomiast przed całodziennym marszem powinniśmy być wypoczęci.

Całodzienny marsz, zastanowiła się Miranda. Skąd, na Boga, będziemy wiedzieć, czy jest dzień, czy noc?

Ułożyli się najwygodniej jak to możliwe w tych nieprzytulnych warunkach. Sassa już zasnęła, zaciskając mocno rączkę na uchwycie koszyka. Również Hubert Ambrozja spał spokojnie, tak jak to zwykle czynią kocięta. Nie trwało długo, a wszyscy pogrążyli się w letargicznym, głębokim śnie...

Dwie niewiarygodnie wysokie istoty weszły do korytarza.

- A więc tutaj są! Miałeś rację, to nasz przyjaciel Dolg nas wzywał.

- A tam widzę jego ojca, czarnoksiężnika! Nareszcie, nareszcie się odnaleźli!

- Długo wędrowali, więc nie powinni już się męczyć. I widzę, że mają ze sobą jakieś dziecko. O, i kota! To znakomicie, nasza hodowla potrzebuje nowej krwi. Och... Chodź i zobacz sam!

Jego towarzyszysz podszedł bliżej.

- Na Święte Słońce! Co to jest?

- Duchy, dokładnie tak, jak w poprzedniej grupie, wtedy gdy rodzina czarnoksiężnika przekraczała Wrota. Patrz, a tę tam poznaję! Ona była z nami na bagnach... Jak to oni się nazywają?

- Ludzie Lodu. Bardzo nam wtedy pomogli.

Obcy uśmiechał się.

- Pamiętam, co ona zrobiła rycerzom złego zakonu. Zdarła z nich spodnie i stali całkiem nadzy, wyglądali żałośnie. Tak, tę grupę powitamy w Królestwie Światła z radością!

- Dolg zawsze wie, kogo wybrać. Na tych z pewnością można polegać.

- Jest wśród nich kilkoro żyjących ludzi, jak widzę. Zastanawiam się, dlaczego zdecydowali się na tę podróż, I... spójrz!

Obaj popatrzyli na śpiącego Marca.

- Moc - rzekł jeden z nich. - Szlachetna moc!

- Tak, to dla nas bardzo cenna osoba. I w ogóle wydaje mi się, że przybywa do nas wiele wartościowych istot.

- Bez wątplenia. W Królestwie Światła zapanuje wielka radość. Nie tylko w rodzinie czarnoksiężnika.

- My też będziemy się bardzo cieszyć - skinął głową ten drugi. - Dzięki nim zdołamy się znacznie zbliżyć do celu.

KRÓTKIE PODSUMOWANIE TEGO, CO SIĘ OSTATNIO ZDARZYŁO W KRÓLESTWIE ŚWIATŁA

Czworo najmłodszych członków rodziny czarnoksiężnika zakończyło wspólny wieczór urodzinowy wycieczką gondolą, na którą zaprosili również dwoje przyjaciół. Wyruszyli w stronę zakazanych terenów nad Złocistą Rzeką. Wkrótce przybyli do jeszcze bardziej zakazanego Srebrzystego Lasu i weszli w jego głąb.

Następnego dnia ich zniknięcie wywołało ogromne poruszenie i kłopoty. Wśród sześciorga zaginionych byli:

Jori, dziewiętnaście lat, roztrzepany syn Taran i Uriela, wnuk Móriego, który go nigdy nie widział. Jori miał brązowe, kręcone włosy, które zbyt rzadko strzygł. Odziedziczył łagodne oczy swego ojca i fatalną nieodpowiedzialność matki. Chciał być przywódcą, lecz nigdy do tego nie doszło. Fakt, że nie jest tak wysoki i przystojny jak jego kuzyni, kompensował sobie szaloną, czasami głupią odwagą.

Jaskari, lat dziewiętnaście, syn Villemanna i jego fińskiej żony Mariatty, wnuk Móriego, najsilniejszy w całej grupie, z długimi blond włosami i intensywnie niebieskimi oczyma. Posiadał tak silne muskuły, że czasami zdawało się, iż zaraz popękają mu rękawy koszuli. Przyjaźnił się z babcią Tiril, żoną Móriego, łączyła ich miłość do zwierząt.

Elena, lat dziewiętnaście, córka Danielle i Leonarda, zupełnie niepodobna do swojej delikatnej matki, wygląd zewnętrzny odziedziczyła po ojcu, chłopskim synu. Zgodnie z jej

własną opinią, miała „talię pod pachami, a biodra jak wycięte z kłody drewna”. Była wesoła i sympatyczna, brakowało jej jednak pewności siebie, bardzo chciała upodobnić się do innych. Nosiła gęste, mocno kędzierzawe włosy i nie chciała ich obciążyć, ponieważ pragnęła wyglądać jak jej przyjaciółka.

Berengaria, córka Amalie i Rafaela, najmłodsza w grupie, nie skończyła jeszcze piętnastu lat. Równie romantyczna z usposobienia jak jej imię, pięknie zbudowana, o długich ciemnych włosach i promiennych, również ciemnych oczach. W jej charakterze można się było dopatrzeć wszystkich ludziach cnót i słabości. Radosna i wesoła, chichocząca i złośliwa, często miewała tak zwane humory. Rodzice bardzo się o nią martwili.

Armas, lat dziewiętnaście, syn Fionelli, byłej pokojówki Theresy, i jednego z Obcych. Bardzo wysoki, inteligentny, zrównoważony. Miał głębokie, przenikliwe spojrzenie i jedwabiste włosy, które niczym peleryna spływały mu na ramiona. Poruszał się spokojnie, jakby z namysłem, mógł jednak również działać błyskawicznie. Armas przyniósł ze sobą na świat niezwykle zdolności, a poza tym został wychowany dużo surowiej niż inni.

Oko Nocy, indiański chłopiec o długich, gładkich, czarnych z niebieskim odcieniem włosach, szlachetnym profilu i oczach ciemnych jak noc. Idol Berengarii. Ma dwadzieścia lat.

Wśród zaginionych znajdowały się jeszcze dwie młode istoty, lecz ich w Królestwie Światła nie poszukiwano, ponieważ nikt nie wiedział o ich istnieniu.

Tsi-Tsungga, istota natury z bardzo starej, zniszczonej twierdzy na krańcach królestwa. Młodzi z rodziny czarnoksiężnika poznali go już dawniej, a teraz znaleźli ponownie, mógł im bowiem pomóc wydostać się z pułapki. Tsi-Tsungga, który nosił ze sobą wiewiórkę o imieniu Czik, zaskoczył ich tym, jak bardzo urósł. Nie był już małym, złośliwym chłopakiem, niezdarnym i jednocześnie ruchliwym niczym kuna; stał się młodym, przypominającym elfa mężczyzną o szerokich barkach, zielonym, brązowo nakrapianym ciele, ładnym i zwinnym.

Mógł znieść wielkie obciążenia. Twarz mu dojrzała, rysy stały się trochę jakby zbyt wyraźne, miał wystające kości policzkowe, owalne, połyskujące zielenią oczy, ostry podbródek i jeszcze bardziej spiczaste uszy, gęste brwi uniesione w górę, długi nos i usta jak u fauna. Elena uznała, że po prostu kipi zmysłowością. Rzeczywiście był naprawdę bardzo sexy.

Siska, mała księżniczka, uciekła z Królestwa Ciemności, bo jej scytyjskie plemię chciało ją złożyć w ofierze. Miała to jednocześnie być kara za to, że nie zdołała sprowadzić Światła do ich doliny. Siska była trochę podobna do Berengarii, dzięki czemu młodzi ludzie zdołali ją uratować i przeprowadzić na drugą stronę muru, do Królestwa Światła.

Miała wielkie, piękne, lekko skośne, lodowato szare oczy, pełne czerwone wargi w wykrzywionej strachem twarzy oraz przepyszne, długie, gładkie i czarne jedwabiste włosy. Starła się trzymać z daleka od Tsi-Tsunggi i jego wiewiórki.

Do tej bardzo niebezpiecznej wyprawy przyczyniły się prezenty, które młodzi dostali na urodziny. Jori otrzymał gondolę powietrzną, mogącą się również poruszać po wodzie. To dzięki niej popłynęli rzeką, a później polecili, by sprowadzić Tsi-Tsunggę. Za pomocą laserowego pistoletu Armasa wycięli dziurę w murze i przeprowadzili Siskę. Teraz jednak stali, wpatrując się w wielki otwór w tym murze, którego obiecali nigdy nawet nie dotykać, a po drugiej stronie czekały żądne krwi, śmiertelnie niebezpieczne plemiona, by także wejść do Królestwa Światła. Na razie jeszcze nie odkryły dziury... W jaki sposób jednak młodzi zdołają załatać otwór? I to tak, by Strażnicy z Królestwa Światła nie dowiedzieli się o niczym. I aby śmiertelnie groźni dzicy nie weszli do środka.

20

Tiril, żona czarnoksiężnika Móriego, była bardzo zmartwiona.

Wnuki i ich przyjaciele nie wracali już zbyt długo.

Nie mogła ich utracić! Móri i Dolg zniknęli na zawsze, nie byłaby w stanie przeżyć kolejnego nieszczęścia.

W jej domu zebrały się kobiety, Taran i Mariatta, Fionella i Danielle, Amalie i matka Oka Nocy. Wszystkie matki zaginionych młodych. Ojcowie wraz ze Strażnikami wyruszyli na poszukiwania.

Wciąż jeszcze nie natrafili na żaden ślad.

Nagle Nero uniósł w górę pysk i zawył tak przejmująco, jakby zapowiadał nadejście sądnego dnia. Tiril drgnęła gwałtownie i krzyknęła przerażona.

- Nero, uspokój się! - ofuknęła go Taran, - Nie musisz i ty dokładać swojego!

Ale czarny wielki pies rzucił się na drzwi, które ustąpiły pod jego ciężarem, i niczym strzała pomknął na drogę wiodącą do stolicy.

- Na Boga, co się dzieje? - zadrżała Mariatta. - Czy on może wyczuł obecność naszych nieszczęsnych dzieci?

- Zadzwoń do Rama - rzekła Taran stanowczo. - Muszę mu o tym powiedzieć.

Ram odebrał telefon w swojej gondoli, z której badał południową część kraju. Dobrze, powiedział, pojedę sprawdzić, co się stało psu, ale poza tym nie mam żadnych nowych informacji dotyczących poszukiwań. Wprost przeciwnie, Ram otrzymał wiadomość, że w

drodze do kraju jest duża grupa mieszkańców Ziemi. Fionella pewnie wie, że jej mąż i Strażnik Słońca wyjechali gdzieś w tajemniczej misji?

Owszem, Fionella wiedziała o tym, nie miała jednak pojęcia, czego misja dotyczy. Grupa nowo przybyłych zmierza do stolicy, wyjaśnił Ram, i zakończył rozmowę. Kobiety patrzyły jedna na drugą, milczące, negatywnie nastawione do wszystkiego, co nazywa się nadzieją, która zaraz okaże się płonna. Od czasu do czasu pojedynczy ludzie przybywali do Królestwa Światła, niekiedy również niewielkie grupki. Wiadomo było, oczywiście, że Obcy wyprowadzają ich z podziemnych korytarzy, zabierają od Wrót, przez które przeszli, lub też zbierają na drogach wiodących do tajemniczego świata w centralnym punkcie Ziemi. Wiadomo też, że Obcy nie przejmują się wszystkimi zabłąkanymi grotołazami. Jeśli ich osobowości nie są zbyt silne, a charaktery dostatecznie dobre, muszą radzić sobie sami. Tyle tylko, że żaden człowiek nie zdoła na własną rękę dotrzeć aż do Królestwa Światła lub Królestwa Ciemności. Drogi wiodące do nich są zbyt długie.

- Nero? - mruknęła Danielle.

- Cicho bądź - upomniała ją Tiril ze stężałą twarzą. - Wiesz przecież, że nie wolno ci budzić w nas nadziei!

Z domu Tiril rozciągał się znakomity widok na trakt, wiodący do stolicy. Tylko że rzadko kiedy ktoś tamtędy chodził, ludzie przeważnie podróżowali powietrznymi gondolami.

Właśnie jedna taka sunęła teraz ponad polami i domami. Bardzo wielka gondola. Kobiety stały na werandzie i patrzyły, jak pojazd schodzi niemal do ziemi i zatrzymuje się tuż obok psa, który w tej chwili wyglądał niczym mała, czarna kropka, i oto... Nero został wciągnięty do pojazdu i gondola natychmiast znowu się wzniosła.

- Nie - rzekła Tiril. - Nie, oni po prostu zobaczyli psa bez opieki i ulitowali się nad nim. Spójrzcie tylko, kierują się w naszą stronę, rozpoznali Nera, wiedzą, do kogo należy.

- Nie gadaj tyle, mamó - skarciła ją Taran ostro. - Czy nie możemy czekać w milczeniu?

Tiril zirytowana umilkła. Lecz jej serce milczeć nie chciało. Tłukło się w piersi jak szalone.

Zapomniała o zaginionych wnukach.

Móri w zdumieniu spoglądał w dół na zielonozłociste łąki i białe miasteczka. Wszystko pławiło się w blasku Świętego Słońca, wszystko miało mniej lub bardziej złote zabarwienie.

Wiedział, że Święte Słońce jest tylko maleńkim płomykiem tamtego wielkiego i potężnego. Potężnego światła, które rozjaśnia świat równoległy, czy też, jak inni to nazywają, tamten świat. Intensywne, ciepłe światło miłości.

Wyczuwał jednak jego obecność i ciałem, i duszą. Świętemu Słońcu zawsze towarzyszy wspaniała pogoda. Człowiek odczuwa głęboką miłość do wszystkiego, co żyje, a także do wszystkiego, co się nie porusza. Stajemy się znacznie lepsi, myślał.

Reszta nowo przybyłych siedziała pogrążona w zadumie. W przeciwieństwie do rodziny czarnoksiężnika, która musiała przejść przez Królestwo Ciemności, ich droga wiodła wprost do Królestwa światła.

To nie może być prawda, myślała Miranda. Nic tak cudownie pięknego jak ten krajobraz nie istnieje! Choćby te wszystkie kwiaty, te ogrody, te złociste rzeki i żółtozielone lasy!

Dolg był równie napięty jak inni. Widział przecież królestwo elfów, tutejsze rzeczywiście przypominało dolinę Gjain, było tylko o wiele, wiele większe. Znajdowały się tu również roziskrzane wodospady i żółte kwiatki kwitły w cieniu drzew. Także tutaj człowiek czuł się spokojny i lekki na duszy, nic go nie martwiło ani nie obciążało tak, jak to niemal zawsze bywa w świecie ludzi.

Chciałbym tu pozostać, myślał. Wciąż jeszcze nie odważył się uwierzyć, że reszta rodziny już tutaj jest. To byłoby zbyt wiele szczęścia na jeden raz.

- Spójrzcie tam! - zawołał nagle Móri. - Dolg, zobacz, tam biegnie Nero! Spogląda w górę, podskakuje i...

- Zejdziemy na dół - roześmiał się Strażnik Góry, mąż Fionelli i ojciec Armasa. Wciąż jeszcze nie wiedział nic o tym, że jego tak znakomicie zapowiadający się syn zniknął.

Nataniel i Ellen, Gabriel i Indra uśmiechali się tylko rozkosznie. Ale, ale, ale...

Do Królestwa Światła przybyła oto Miranda, bojowniczką o sprawy społeczne, szczególnie uwrażliwiona na niesprawiedliwość, i to mogło oznaczać nieprzewidziane konsekwencje!

Kobiety zebrane w domu Tiril stały na schodach, kiedy gondola z Nerem na pokładzie schodziła do lądowania. Od dawna słyszały radosne ujadanie psa. Takiej jego radości nie widziały od nie wiadomo kiedy. Tiril zaciskała dłonie tak mocno, że aż paznokcie jej pobielaly. On się po prostu cieszy, że wraca do domu, myślała rozgorączkowana. Wtedy Taran zawołała, pokazując w górę:

- Oni tam są! Oni tam są! W każdym razie ojciec. Nie widzę tylko...

Gondola schodziła coraz niżej.

- Owszem! - wrzasnęła Taran. - Widzę również Dolga. Nie, nie, Nero, nie skacz! Nie skacz! O Boże, czy ten pies postradał rozum!

Nero wylądował po skoku z wysokości kilku metrów, ale nic sobie nie zrobił. Musiał przecież dostać się jak najszybciej do domu i opowiedzieć, że dwaj jego panowie wrócili, trzeba to zrozumieć! Tiril zasłaniała dłońmi usta, by zdławić płacz, ale niczego nie widziała, bo oczy miała pełne łez. Niecierpliwym ruchem odsunęła którąś z kobiet, stojącą przed nią.

To on, Móri, dokładnie taki sam jak przedtem! Móri podszedł do niej, a Tiril nie wierzyła, że zdoła utrzymać się na nogach.

Ale Móri wyglądał na zdumionego.

- Tiril? Czy to naprawdę ty? A nie córka, czy nawet wnuczka?

Wtedy Tiril przypomniała sobie, że przecież po przybyciu do Królestwa Światła jej wiek cofnął się do mniej więcej trzydziestu lat. Wszyscy dorośli byli właśnie w tym wieku.

Próbowała mu wytłumaczyć, że to naprawdę ona, ale znalazła się w jego ramionach i natychmiast wszystko inne przestało mieć znaczenie.

Chociaż nie, przypomniała sobie, że jest jeszcze Dolg.

Jej najstarszy syn, dziecko bólu. Witania go teraz cała rodzina i Tiril musiała poczekać na swoją kolej.

Ale już widziała wyraźnie. Zarówno Móri, jak i Dolg zostali naznaczeni jakimś wielkim cierpieniem. Przede wszystkim Móri. Dolg natomiast miał w sobie coś nowego, coś eterycznego, nie wiedziała, jak to określić. Będzie musiała ich wypytać szczegółowo o to, co się z nimi działo.

- Gdzie Rafael i Leonard? Gdzie Theresa i Erling?

- Theresa jest tutaj, poszła tylko trochę odpocząć. O właśnie, wychodzi z domu - wyjaśniła Tiril.

- Co? - wykrzyknęli Móri i Dolg niemal równocześnie. - Kim jest ta młoda dama, która z taką radosną miną idzie nam na spotkanie?

Teraz Móri przypomniał sobie, że Theresa wyglądała dokładnie tak, kiedy spotkali się po raz pierwszy, bardzo dawno temu. Może nawet teraz była jeszcze młodsza.

- Tiril - rzekł cicho. - Czuję się taki stary!

- Wcale nie jesteś stary - zapewniła go z czułością, - A gdy pobędziesz tutaj przez jakiś czas, wszystkie oznaki starości znikną. Będziesz wyglądał tak samo jak Theresa, jak Taran i jak wszyscy. To fantastyczne, Móri. Wydaje mi się, że przywiozłeś kogoś, kogo znam. Czy to nie... Sol z Ludzi Lodu i Villemo, i...

- To prawda - odparł. - Oni przybyli tu z nami. A Strażnik Słońca obiecał, że jeśli zechcą, nie muszą w Królestwie Światła być duchami. Zostaną przywrócenii do życia.

- To cudowne! Ale jest jeszcze wiele osób, których nie znam.

- To są współcześnie żyjący Ludzie Lodu. Przedstawię ci ich później.

- A ten, który stoi i rozmawia ze Strażnikiem Góry?

- O, to jest Marco. Marco z Ludzi Lodu, księżę Czarnych Sal.

- Och - jęknęła Tiril cicho. Czuła się kompletnie porażona widokiem tego wspaniałego mężczyzny imieniem Marco. - On musi być wyjątkowy!

- Nawet bardzo. Obcy potraktowali jego przybycie jak dar od Świętego Słońca. A to chyba najwyższa pochwała, jaką można tutaj otrzymać. Nie odpowiedziałas jednak na moje pytanie, gdzie są wszyscy mężczyźni z naszej rodziny?

Wtedy Tiril uciszyła zgromadzonych i opowiedziała o zaginionej młodzieży. „To twoje wnuki, Móri”. Ze specjalnym naciskiem zwracała się do Strażnika Góry, którego syn Armas znajdował się wśród poszukiwanych. Podkreślała, że Strażnicy nie powinni zbyt surowo osądzać ich przestępstwa, a Strażnik Góry ze zrozumieniem kiwał głową.

- Nie jesteśmy przecież tacy groźni - śmiał się.

Oj, oj! Nie wiedział jeszcze o tym, że młodzi złamali wszystkie istniejące zakazy. Popłynęli najpierw Złocistą Rzeką w nieodpowiednim kierunku, zlekceważyli wszelkie ostrzeżenia, sprowadzili Tsi-Tsungę z twierdzy, której nie wolno im było odwiedzać, weszli do Srebrzystego Lasu i, co najgorsze, podeszli do samego muru, a nawet wycięli w nim otwór. Tamtędy przeprowadzili jakąś istotę z Królestwa Ciemności i narazili Królestwo Światła na odwiedziny okropnych stworzeń żyjących poza murem.

Czy można na coś takiego spoglądać przez palce?

Strażnik Góry został wezwany przez kogoś ze stolicy. Madrag Chor długo szukał z nim kontaktu.

Rozmawiali przez radio, więc wszyscy słyszeli, co mówią. Nowo przybyli Ludzie Lodu nie rozumieli naturalnie ani słowa w języku Strażnika Góry ani też gulgotu, jaki wydawał z siebie Madrag, ale mieszkający tutaj od dawna, ku swemu wielkiemu przerażeniu,

rozumieli, o czym tamci rozmawiają. Tiril pośpiesznie przymocowała aparacik Madragów Móriemu, inne kobiety postąpiły tak samo i wkrótce wszyscy mogli przysłuchiwać się rozmowie. To niewiarygodne, myśleli Ludzie Lodu.

- Szukam cię od wieki godzin - mówił Chor gorączkowo. - Wiemy, gdzie znajdują się młodzi, uważamy jednak, że nie powinno się o tym informować Strażników.

Po czym powiedział, że Madragowie spotkali młodych w Srebrzystym Lesie, widzieli, jak biegli w stronę muru, by ratować jakąś dziewczynkę po tamtej stronie; mała rzeczywiście wymagała pomocy i nie ponosi za to żadnej winy.

- Srebrzysty Las? - szepnęła Tiril przerażona. - Ależ nasze dzieci nigdy tam nie chodzą!

Strażnik Góry nie miał już dobronusznej miny. Był po prostu wściekły.

- Armas powinien mieć więcej rozumu! - Madraga zaś zapytał: - Wiesz, czy oni podeszli do...?

Nie dokończył zdania, nie odważył się wypowiedzieć go głośno.

- Nie - odparł Chor. - Jesteśmy pewni, że tego nie zrobili. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Wystarczy już sam mur - mruknął Strażnik Góry.

Dlaczego nie wymienili tego groźnego niebezpieczeństwa? Taran coraz bardziej nabierała pewności, że w Królestwie Światła kryją się jakieś tajemnice. Na przykład cała północna część kraju... Podejrzała też, że za różnymi drobnymi niedopowiedzeniami istnieje jakaś wielka zagadka. Często się nad tym zastanawiała, ale nie doszła do żadnych Wniosków.

Przypuszczała jedynie, że ma to jakiś związek z owym strasznym wyciem po nocach oraz z wysokimi, czarnymi górami wznoszącymi się daleko, daleko poza granicami królestwa. „Żalosne krzyki umarłych”, określała te wołania. Ani Obcy, ani Strażnicy, ani Lemurowie nigdy o tym nie wspominali. Dlatego Tiril uważała, że oni również mają coś wspólnego z zagadką.

Theresa, której słowa zawsze wiele znaczyły, poprosiła, by pozwolono jej porozmawiać z Chorem i jednocześnie z dwoma Obcymi: ze Strażnikiem Słońca i Strażnikiem Góry. Otrzymała pozwolenie.

- Bardzo was proszę - rzekła. - Proszę, byście nie wysyłali tam swoich oddziałów, zanim mój zięć Móri i mój wnuk Dolg nie zobaczą, co dałoby się zrobić. Nie ma powodu karać dzieci, jeśli szkody można naprawić.

- O tym samym właśnie myślałem - odparł Chor. - Dlatego chciałem rozmawiać tylko ze Strażnikiem Góry.

Ten zaś, którego jedyny syn był zaplątany w sprawę, powiedział:

- Dziękuję wam za troskliwość! Wcale też nie jestem zainteresowany, by popsuć Armasowi opinię. Wezwę teraz centralę Strażników i odwołam poszukiwania, powiem, że dzieci się znalazły i właśnie wracają do domu. Czy możemy się spotkać nad Złocistą Rzeką?

Madrag wyraził zgodę.

Móri wtrącił:

- Możliwe wprawdzie, że Dolg i ja moglibyśmy coś zrobić, jest jednak z nami ktoś jeszcze, kto rozporządza dużo większą siłą. Mam oczywiście na myśli Marca z Ludzi Lodu.

Strażnik Słońca popatrzył na księcia.

- Nie wiemy, co się stało pod murem, jednak to, że wprowadzili do środka kogoś z Królestwa Ciemności, brzmi alarmująco. Jest alarmujące nawet, jeśli nie udało im się przebić muru na wylot. Gdyby im się jednak udało, to... Tak, wtedy nie biorę odpowiedzialności za konsekwencje. Dziękujemy, Marco, gdybyś zechciał być tak dobry... To okropne, że coś takiego przydarzyło się w dniu waszego przybycia, ale... jeśli mam być szczery, to muszę wyjaśnić, iż nasza pełna życia młodzież już dawniej znikła, tyle tylko że nigdy nie pozostawali tak długo poza domem. I nigdy nie weszli do Srebrzystego Lasu! To najgorsze miejsce. I mur... Ach, Święte Słońce, zlituj się nad nami!

Nie wyglądał jednak na szczególnie zagniewanego. Sprawiał wrażenie, jakby ta cała smutna historia trochę go bawiła. Taran postanowiła, że pojedzie z nimi, i wsiadła do gondoli.

- To ja też. - zawołała Miranda zdecydowanie. - Ja też potrafię co nieco.

- No nie... Zresztą, jak chcecie.

- Jedzie Miranda, to i ja także - oznajmiła Indra.

Strażnik Góry potrząsał głową. Domyślał się, że oto grupa przedsiębiorczej młodzieży powiększyła się co najmniej o dwie osoby.

- Jedźcie - powiedział. - Ale już nikt więcej. Wsiadajcie zatem do gondoli! Thereso, wezwij mężczyzn z twojej rodziny, którzy wciąż szukają, i powiedz im, że dzieci się znalazły, nie mów tylko gdzie.

Theresa skinęła głową. Po chwili gondola wzniosła się w powietrze, zostawiając Theresie i Tiril obowiązek zajęcia się przybyszami, żywymi i duchami z Ludzi Lodu. Oraz Hubertem Ambrozją, Nero bowiem wyciągnął pysk i obwąchiwał kociaka. Ten zaś wymachiwał łapą i prychnął.

21

Zgromadzeni pod murem młodzi ludzie urodzili się już w Królestwie Światła. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak wygląda ciemność, z wyjątkiem tylko Oka Nocy, który w Królestwie Ciemności odbywał swoją męską próbę.

- No, to co teraz? - zapytał Jori, a jego ciemna grzywa sterczała ponuro nad zmartwioną twarzą. Jego wuj Villemann w dzieciństwie wyglądał w takich przypadkach dokładnie tak samo. - Kto się poświęci, wyjdzie na zewnątrz i spróbuje zatkać otwór?

- A potem sam zostanie po tamtej stronie, wydany na pastwę dzikusów? O, nie, dziękuję bardzo - rzekł Jaskari sucho.

Jori zachichotał. Nie zgłaszał przecież tej propozycji poważnie.

Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana. Chłód z Królestwa Ciemności przenikał przez dziurę w murze. Berengaria, która wychodziła przez otwór, by sprowadzić Siskę, wiedziała, że cienie są tam okropne. Cały kraj to po prostu jeden wielki, ponury cień. Jak ktoś w ogóle może tam mieszkać?

Ale też czy tamci mają jakiś wybór?

Grupa młodzieży wciąż wpatrywała się w otwór w murze, wycięty laserowym pistoletem Armasa.

Nie używali, co prawda, słowa „laser”, nie znali go, nie wiedzieli, że w świecie zewnętrznym rozwój techniki posunął się niemal tak samo daleko jak u nich. Co zresztą dokonało się głównie dzięki temu, że Obcy dość często łączyli się z ziemskimi kobietami i zasilali ludzkość swoją krwią.

„Drzwi”, które wycięli w murze, leżały na zewnątrz, w Królestwie Ciemności, tak jak upadły, w trawie. A po tamtej stronie było naprawdę nieprzyjemnie.

Jęki z „gór umarłych” słyhać było dużo wyraźniej...

Żadne z młodych nie chciało zwracać uwagi na to, o czym wszyscy wiedzieli: że po zboczach nieodległych wzgórz skradają się w zaroślach milczące, żądne krwi istoty. Wciąż jeszcze pełne lęku. Będą się jednak ostrożnie do nich przybliżać. Staną się coraz bardziej agresywne.

Tsi-Tsungga w ostatniej chwili złapał wiewiórkę, która chciała smyrgnąć na drugą stronę.

- Koniecznie musimy zatkać tę dziurę - powtórzył po raz nie wiadomo który Armas. - Tylko jak?

- Wiecie co? - zaczął Jaskari. - A gdybyśmy tak powiązali wszystkie paski i chustki, jakie mamy, to by powstała długa lina, którą można opasać „drzwi” i od naszej strony wciągnąć je na miejsce...?

- Niegłupi pomysł - pochwalił Jori. - Tylko czy mamy wystarczająco dużo takich rzeczy?

- Och, wy geniusze! - zawołał Oko Nocy. - Może moglibyście czasem wykorzystać choć odrobinę waszej inteligencji?

Zwrócili się ku niemu.

- Wiesz więcej niż my?

- Po prostu patrzę i myślę. Otóż te, jak je nazywacie, drzwi, zwężają się ku górze. Lina nie musi być bardzo długa, żeby opasać ich górną część.

Popatrzyli znowu na potworną ziejącą dziurę.

- Oko Nocy - powiedział Jaskari głęboko przejęty. - Geniuszem to jesteś ty! Oczywiście, że ustawimy drzwi, przyciągniemy je do muru, a potem założymy linę. Wspólnymi siłami powinniśmy się z tym uporać.

- Tylko że kilkoro z nas będzie musiało wyjść na zewnątrz - mruknął Jori.

- Poradzimy sobie - stwierdził Armas. - Dziewczyny zabierzcie stąd Siskę! Idźcie z nią do łodzi i czekajcie, dopóki nie wrócimy. W ten sposób przynajmniej wy będziecie bezpieczne.

Berengaria posłuchała natychmiast, Elena natomiast, zajęta głównie gapieniem się na Tsi-Tsunggę, zaprotestowała:

- Ja zostaję! Jestem silna i mogę pomóc przy naprawie muru.

- Przestań stwarzać problemy! - syknął Jori. - To robota dla mężczyzn.

- Owszem, niech Elena zostanie - przerwał mu Jaskari. - Mam wrażenie, że te drzwi są bardzo ciężkie.

Pamiętali jeszcze głuchy łoskot, jaki się rozległ, kiedy padały. Ziemia zadrżała im pod stopami.

Czternastolatki, Berengaria i Siska, podskakując zniknęły im z oczu i zatopione w rozmowie biegly brzegiem rzeki do łodzi. Reszta odczuła ulgę, że nie trzeba się już będzie nimi opiekować. Berengaria zabrała ze sobą Czika.

Uwagę gromadki pod murem zwrócił jakiś ruch w zaroślach po tamtej stronie. Po chwili ucichło.

Spoglądali na siebie.

- No to idziemy - zdecydował Armas.

Starali się ustawić tak, by ciężar drzwi rozkładał się mniej więcej zgodnie z siłami dźwigających. Najsilniejsi chłopcy mieli unosić je w najszerszej partii.

- Tutaj mech jest znacznie zimniejszy - stwierdził Jaskari zdumiony.

- I jest tu też zdecydowanie ciemniej - dodał Tsi-Tsungga w swoim dziwnym języku. - Chociaż Siska twierdzi, że w jej krainie mrok jest jeszcze gęstszy. Chodźcie, trzeba się spieszyć! Cieszę się, że moja wiewiórka przebywa w bezpiecznym miejscu. Uff! Ale to ciężkie!

Starali się pewniej uchwycić drzwi, ale dłonie ześlizgiwały się po gładkim materiale.

Wtedy dzikie istoty na zewnątrz odkryły, co się dzieje. Z odległości nie dostrzegały, że w murze powstał otwór, mur bowiem był przezroczysty. Teraz jednak stwierdziły, że owe przekłete stwory z Królestwa Światła znalazły się na zewnątrz. Przeszły przez mur!

Co najmniej pięćdziesiąt dzikich istot rzuciło się z wyciem w dół zbocza.

Drzwi zostały z trudem ustawione na boku. Okazały się potwornie ciężkie.

Młodzi wydali równoczesny okrzyk zgrozy.

- Do środka! Wszyscy do środka! - komenderował Armas.

- No a drzwi?

Próbowali ciągnąć je ze sobą. Udało im się jakoś ustawić je kantem w otworze, ale Jori, który szedł na końcu, nie mógł się już obok nich precyzyjnie przesuwać do środka.

- Ratunku! - wrzeszczał. - Oni mnie zaraz złapią! O Boże, ale oni okropni... wyglądają strasznie... potwornie! Na Boga, pomóżcie mi!

Tsi-Tsungga próbował go wciągnąć, ale drzwi obsunęły się nieco i ostatecznie zatarasowały przejście.

- Pomóżcie Joriemu! - krzyčili wszyscy równocześnie, nikt jednak nie był w stanie się do niego przedostać, ogarnięci paniką nie potrafili zorganizować działań, zapanował chaos.

W pewnym sensie cofnęli się do punktu wyjścia. Uratowali jedno istnienie przed kanibalami, ale zostawili przyjaciela w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Bo z pewnością dzicy to kanibale. Nawet z daleka widać było przecież małe ludzkie główki, które tamci nosili przytroczone do pasów. Poza tym nie mieli na sobie prawie nic.

Niedużego wzrostu, mogli się bez trudu przedostać przez szczelinę zbyt ciasną dla Joriego, syna Uriela i Taran.

Berengaria i Siska, przekrzykując się nawzajem, biegły do łodzi, urodzinowego prezentu Joriego. Do gondoli, która mogła się poruszać zarówno w powietrzu, jak na wodzie i która przyczyniła się do nieszczęścia, jakie młodzi spowodowali już pierwszego dnia jej użytkowania. Obie dziewczynki rozsiadły się wygodnie, a Berengaria opowiadała z dość ważną miną, co to takiego i do czego służy, gładząc równocześnie Czika.

- Mój ojciec jest wodzem - oznajmiła Siska uznawszy, że nowa przyjaciółka chyba zbyt mocno nad nią dominuje.

- A mój poeta - odparła Berengaria.

- Co to znaczy?

- Znaczy to mianowicie tyle, że mój tata nie potrzebuje dużo pracować.

- Ja też nie potrzebuję. Jestem boginią i...

Nagle przypomniała sobie te ostatnie straszne dni, które spędziła w rodzinnej osadzie. Oraz nieskończenie długą ucieczkę. Przerażenie. Potworne niebezpieczeństwa. Dopiero tutaj poczuła się bezpieczna.

Dolna warga zaczęła jej drżeć,

- Oj! Zbliża się jakaś gondola! - krzyknęła Berengaria. - Zaraz nas znajdą i będzie awantura. Kryj się!

Ale ludzie w gondoli już je dostrzegli i pojazd schodził w dół.

- No, nareszcie! Tu jest nasza Berengaria! - zawołała Taran surowo. - A gdzie reszta? I... Na Boga, kto to siedzi obok ciebie?

- To Siska. Właśnie ją uratowaliśmy. Przeprowadziliśmy przez mur.

Obaj Obcy zeskoczyli na brzeg rzeki.

- Czyście wy kompletnie powariowali? Jak do tego doszło? Berengario, musicie obie zostać w łodzi. I siedźcie jak najdalej jedna od drugiej! - ryknął Strażnik Góry poblady.

Dziewczynki potulnie usłuchały.

- Dotykałaś jej, Berengario? - zapytał Strażnik Słońca tak samo rozzłoszczony.

- Tak. To ja ją przeprowadziłam na naszą stronę. Trzymałyśmy się za ręce.

- O, Święte Słońce! Taran, zostań tu z nimi i pilnuj, by żadna nie dotykała niczego poza łodzią. Sama też się do nich nie zbliżaj, mogą rozsiewać śmiertelną zarazę. A to zwierzę? Do kogo ono należy? Nie wolno wypuszczać go na swobodę!

- Ale ja nie jestem na nic chora! - zaprotestowała Siska. - Jestem księżniczką i boginią-dziewicą, żądam szacunku!

Strażnik Słońca patrzył na nią udręczony.

- Nie, nie jesteś chora, moje dziecko. Ale masz na sobie bakterie z tamtej strony, które mogą okazać się bardzo groźne dla naszego społeczeństwa. Jesteśmy wobec nich bezbronni. A teraz powiedzcie mi, tylko szczerze, gdzie reszta zaginionych?

- Pod murem - wybąkała Berengaria cichutko. - Próbują załatać dziurę.

Obaj Obcy w poczuciu bezsiły przymknęli oczy.

- Widział was ktoś z tamtej strony?

- Och, tak! Mnóstwo okropnych ludożerców - odparła Siska.

W tym momencie w lesie zadudniło i nad rzekę przybiegło dwóch Madragów. Siska krzyknęła przerażona i próbowała ukryć się za Berengaria.

- Siedź spokojnie! - wrzasnęła Taran, najwyraźniej bardzo serio traktująca swoją misję. Siska umilkła ze strachu.

Madragowie przysporzyli Królestwu Światła wielu nowych wynalazków, między innymi owych nieocenionych aparacików translatorskich, które pozwalały porozumiewać się nawzajem bardzo różniącym się od siebie istotom, jak Siska, Tsi-Tsungga czy wreszcie oni sami. Ba, ludzie mogli nawet dzięki nim nawiązywać kontakt ze zwierzętami, w każdym razie obie strony rozumiały się nawzajem. Tsi-Tsungga odkrył to już dawno temu i bez problemu komunikował się teraz z Czikiem, który od wielu lat był jego jedynym przyjacielem. W każdym razie do chwili, gdy wrócili młodzi, za którymi tak bardzo tęsknił.

Poza tym Madragowie to istoty niezwykle sympatyczne. Spokojne, skromne i przyjazne. Wszystkim życzą szczęścia, dlatego też wszyscy zawsze pozdrawiają ich z wielkim szacunkiem. Powitanie Madragów z Mórím i Dolgiem było doprawdy wzruszające. Taran również się ucieszyła.

Ktoś, kto widział jaka lub samca bawołu, może sobie wyobrazić, jak wygląda Madrag. Ma piękne, ciepłe oczy pod długą kędzierzawą grzywą i wielką, zwierzęcą głowę. Madragowie chodzą jednak na dwóch nogach, podobnie jak ludzie, tylko że mają u kończyn po trzy palce, a nie po pięć. Madragowie, ludzie-bawoły.

- A więc nareszcie wszyscy są razem? - zagadał Chor dobrodusznie. - A dzieci, jak widzę, sprowadziły tę obcą dziewczynkę. W takim razie, moim zdaniem, czas nagli...

- No właśnie - potwierdził Strażnik Słońca.

- Chodźcie z nami. Wiemy, gdzie oni są.

Zostawili dziewczynki pod opieką Taran i weszli do Srebrzystego Lasu.

Już z daleka słyszeli krzyki pełne podniecenia i strachu. Strażnik Góry, którego syn znajdował się pod murem, ruszył z miejsca niczym rakieta. Reszta biegła tuż za nim.

- Coś musiało się stać Joriemu - zauważył Strażnik Słońca. - Wciąż wykrzykują jego imię.

- A on sam wrzeszczy najgłośniej - rzucił Strażnik Góry przez ramię. - Dobrze, że Taran tego nie słyszy. Jej syn...

Dobiegli do muru na tyle szybko, że zdążyli jeszcze na własne oczy zobaczyć, iż Jori został porwany i tamci wloką go teraz po zboczu do Królestwa Ciemności, natomiast mnóstwo innych niedużych istot tłoczy się przy otworze i za chwilę dosłownie wleje się do Królestwa Światła. Chłopcy podejmują rozpaczliwe próby, by ich powstrzymać. Obcy, Strażnik Słońca i Strażnik Góry, jęknęli rozpaczliwie na ten widok.

- Armas, twój pistolet laserowy! Powystrzelaj ich! - wołał Jaskari.

- Nie! - krzyknął Strażnik Góry i wyrwał pistolet z rąk syna. - Dobrze wiesz, że dostałeś go nie po to, by zabijać.

- Och, ojczu! - Armas był bliski załamania. - Dziękuję wam, że przybyliście z odsieczą! Paru zdążyło nam uciec do Srebrzystego Lasu.

- Ilu?

- Trzech, może czterech.

- Móri! - zawołał Strażnik Słońca. - Co proponujesz? Przecież te nieszczęsne istoty również mają prawo do życia!

Miranda, na razie trzymająca się na uboczu, z przekonaniem kiwała głową. Wszyscy mają równe prawo do życia. Jej poczucie sprawiedliwości uzyskało wsparcie.

Tylko że te małe bestie wyglądają na spragnione krwi. Nagie, długowłose, pół ludzie, pół zwierzęta, obdarzone ludzką swobodą poruszania się, miały jednak brudne, zwierzęce twarze z wyraźnie widocznymi zakrwawionymi kłami. Miranda nigdy nie widziała czegoś podobnego. Nie małpy, to w żadnym razie, raczej dzikie bestie w ludzkiej skórze.

I uprowadziły Joriego. Młodego, pięknie zbudowanego chłopca. Nic dziwnego, że młodzież tak strasznie chciała uchronić przed nimi Siskę!

Kiedy tak stała, oglądając ową szaloną scenę, Móri, Dolg i Marco podjęli „atak” na bestie. Również Obcy, którzy nie chcieli zabijać, tylko odepchnąć intruzów, zatrzymali się zdumieni. To Móri rozpoczął działanie, a Dolg go wspierał. Obaj szeptali jakieś prastare islandzkie zaklęcia, a ponieważ wszyscy rozumieli, co mówią, do zebranych dotarło coś w rodzaju: „Zamknij swoje zmęczone oczy, prześpij swój ból, swój głos...” i tak dalej.

Słowa podziały natychmiast. Dzicy przystanęli, oczy zwrócone ku Móriemu zmętniały, bestie zaczęły chwiać się na nogach, a potem, jedna po drugiej, padały na ziemię.

Nie było jednak czasu, by stać i patrzeć.

- Chodźcie! - zwrócił się Marco do Obcych. Wspólnymi siłami podnieśli „drzwi” na tyle, by zrobić przejście, po czym wybiegli ścigać tych, którzy uprowadzili Joriego.

Młodzi stali mniej lub bardziej porażeni rozwojem wypadków, kiedy nagle została z nich zdjęta odpowiedzialność. Miranda zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby okazać się przydatna, Indra natomiast dostrzegła Tsi-Tsunggę i zapomniała o wszystkim. „Wow”, jęknęła, ponieważ została wychowana w czasach amerykańskich seriali telewizyjnych.

Miranda poszła za jej wzrokiem i doznała szoku znacznie silniejszego niż na widok wszystkich rozgrywających się wokół niej scen.

Że Indra zareagowała w ten sposób na tę niebywałą męskość, jaka emanowała z Tsi-Tsunggi, tego można się było spodziewać. Ale żeby Miranda, taka przecież niedoświadczona, również do tego stopnia uległa jego urokowi? Gorące fale erotycznego podniecenia przenikały jej ciało, musiała oprzeć się o drzewo, bo nogi nie chciały jej dźwigać. On na siostry nie patrzył, zajęty był dzikimi, którzy pogrążeni we śnie leżeli na ziemi. Odwrócony był jednak w ich stronę i obie zdawały sobie sprawę, że jeśli nie będą się miały na baczności, to ta twarz może kiedyś przysporzyć im poważnych kłopotów. Indra nie miała na myśli takich określeń, jak na przykład naruszenie czci, może raczej

przeciwnie, ale Miranda uznawała znacznie surowszą moralność. W tej chwili jednak również i jej zasady moralne umilkły. Chociaż ten ktoś, kto tak bardzo nią wstrząsnął, pochodził z całkiem obcej rasy.

Oprzytomniały, kiedy w lesie za nimi znowu rozległy się hałasy. Wołanie o pomoc?

Rozejrzały się uważnie. Kto to...?

- Gdzie jest Elena? - zapytał Jaskari matowym głosem.

Wszyscy dysponujący wielką siłą byli już zajęci. Obcy i Marco zniknęli w ciemnościach. Móri musiał utrzymywać leżących dzikusów w hipnotycznym śnie, nie mógł ich zostawić. Może jednak Dolg mógłby odejść?

Oceniwszy pośpiesznie sytuację, Dolg zawołał do Mirandy:

- Chodź ze mną!

Zabrał też Tsi-Tsunggę i Armasa. Do Oka Nocy zaś powiedział:

- Ty pomożesz memu ojcu w utrzymaniu tutaj porządku.

A do Jaskariego:

- Jesteś dość silny, by przytrzymać drzwi! Pilnuj tylko, aby nikt więcej nie wślizgnął się do środka! Indra, pomożesz mu.

Po czym Dolg ze swymi pomocnikami ruszył do lasu po stronie Królestwa Światła.

Nie musieli szukać daleko. Wkrótce spotkali dwie małe bestie, które minęły ich w szalonym pędzie, kierując się w stronę otworu w murze, gdzie Jaskari wypuścił je na zewnątrz. Przez cały czas stwory oglądały się za siebie, wrzeszcząc ze strachu.

- Powinniśmy byli się domyślić - rzekł Dolg z ulgą. - To Madragowie ich tak przestraszyli.

Zaraz też nadbiegli dwaj z nich w tempie, na jakie było ich stać.

- Dwóch nam uciekło! - zawołał Madrag Tam. - Tędy. Spieszcie się! Oni mają dziewczynę!

Sami nie biegali dość szybko, by kontynuować pościg. Dolg i jego towarzysze podjęli dzieło Madragów.

Tsi-Tsungga pomknął przed siebie niczym strzała. Reszta miała wielkie problemy z dotrzymaniem mu kroku. Wyglądało na to, jakby wiedział, dokąd zmierza, jakby węchem rozpoznawał, gdzie uciekli porywacze.

To nie takie trudne, myślała Miranda, biegnąc z sercem w gardle. Te potwory okropnie śmierdzą.

Słyszeli podniecone mamrotanie i parskanie Tsi-Tsunggi, a potem straszliwy wrzask dzikusów. Zaraz potem Miranda zobaczyła Elenę leżącą na ziemi w Srebrzystym Lesie. Ubranie miała podarte, była nieprzytomna, krwawiła, Miranda nie traciła nadziei, że dziewczyna żyje, choć trudno być pewnym.

Zaraz się jednak domyśliła, że porywacze musieli upuścić Elenę w biegu, przerażeni niespodziewanym pojawieniem się Tsi-Tsunggi. On zaś stał teraz nad dziewczyną, gotów do odparcia ataku napastników, ale był zupełnie bezbronny, miał po prostu tylko gołe ręce.

I wtedy po raz pierwszy mogli się przekonać, jaką niezwykłą siłę nosi w sobie Armas, pół Obcy, pół człowiek. Jeszcze spory kawałek dzielił ich od uciekających, gdy nagle Armas oderwał się od ziemi jednym... nie, nie podskokiem, on jakby popłynął, taki długi był ten skok, i wylądował na plecach jednego z dzikusów. Uderzył raz i tamten padł na ziemię.

Dolg i Miranda poznawali nawzajem swoje możliwości od chwili spotkania na Islandii. Teraz on ujął jej rękę, by wzmocnić siłę dziewczyny, i powiedział:

- Uśpij go!

Nie wahala się ani chwili. Miał, oczywiście, na myśli drugiego dzikusa i podczas gdy magiczna siła Dolga przepływała przez jej rękę, Miranda koncentrowała się na jednej myśli:

- Śpij!

Dziki człowiek zatrzymał się na chwilę, spojrzął na Dolga, który coś do niego krzyknął... po czym kolana mu się ugięły i zwałił się na ziemię.

Gorzej, że Tsi-Tsungga również poczuł się senny, Dolg jednak szybko naprawił ten drobny błąd.

Chor podszedł do Eleny i wziął ją na ręce. Ocknęła się natychmiast i dziękowała za ocalenie.

- Dziękuj przede wszystkim swemu odzianemu na zielono przyjacielowi, to on cię uratował - wyjaśnił Dolg.

- Dziękuję, Tsi - uśmiechnęła się Elena zmęczona przeżyciami. Od tego dnia nikt już nie mówił Tsi-Tsungga, wszyscy zaczęli nazywać go Tsi. Elena podziękowała również Armasowi za jego niezwykły atak na dzikusa i zapytała, gdzie się tego nauczył.

- Nie wiem - odparł zakłopotany. - Byłem po prostu wściekły i...

Wspólnymi siłami dostarczyli ogłuszonych intruzów z powrotem pod mur.

Czy tamci zamierzali zgwałcić Elenę? zastanawiała się Miranda. Wiedziała jednak, że w ich głowach lęły się z pewnością jeszcze straszniejsze plany.

Zaczęli wynosić na drugą stronę muru uśpionych mieszkańców Królestwa Ciemności i układali ich rzędami na ziemi.

Wysoko w lesie Marco oraz obaj Obcy gonili tych, którzy uprowadzili Joriego. Załatwili sprawę krótko. Przeciwko takiej przewadze dzicy nie potrafili się bronić. Kiedy trzej potężni dotarli do Joriego, jakieś dwie kobiety ciągnęły chłopca, każda w swoją stronę, zaś mężczyźni z wściekłością próbowali im coś tłumaczyć. Podejrzewali, jak się okazało, że nieco wyżej czatuje na nich inne obce plemię.

Książę Czarnych Sal uniósł rękę i wszyscy zamarli, kobiety puściły chłopca, który bez sił opadł na ziemię. Strażnik Góry podniósł go i obejrzał, czy nie jest ranny. Na szczęście skończyło się na podrapaniach, natomiast stracił niemal całe ubranie. Potem Strażnik Słońca przemówił do dzikich i to, zdaje się, nie po raz pierwszy. Podkreślił wyrozumiałość, z jaką traktują ich władcy Królestwa Światła, i postraszył, że to się może zmienić. Jeden z tamtych najwyraźniej wódz, wybełkotał coś niezrozumiale, z czego wynikało, że oni też pragną Światła, i Strażnik Słońca odpowiedział, iż może do tego dojść jedynie pod warunkiem, że na dzikich plemionach można będzie polegać.

- A teraz idźcie! - rzekł na koniec. - I nie róbcie tego więcej.

Wódz mamrotał, że dziewczyna była ich zdobyczą, dopytywał się, jak przeszła na drugą stronę i dlaczego.

- Dlatego, że nie jest niebezpieczna. A poza tym samotna i nieszczęśliwa - odrzekł Strażnik Słońca. - I w ogóle to był pech, że mur został otwarty.

Rozmowa została zakończona, przybysze opuścili Królestwo Ciemności.

Zdołali bez większego trudu ustawić „drzwi” na właściwym miejscu, a Obcy zespawali je jakimś innego rodzaju pistoletem tak, że nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Móri rozluźnił swój hipnotyczny uścisk i więźniowie mogli wyjść naprzeciw krewnym niosącym im pomoc.

Bardzo ponuro usposobiona gromada wlokła się przez las ku rzece, gdzie czekały gondole. Nie pomogło to, że Elena nie przestawała chwalić Tsi-Tsunggi za jego odwagę, skoro on przecież nie należał do cywilizowanych części Królestwa Światła, nie pomogło też tłumaczenie, że chcieli jedynie pomóc małej księżniczce, będącej w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Obaj Obcy szli zagniewani i w końcu wszyscy umilkli.

Nieźle zaczęliśmy życie w cudownym Królestwie Światła, myślała Miranda z goryczą. Można zwątpić, czy rzeczywiście wszystko jest tu takie wspaniałe.

Przez cały czas dojrzywał w niej opór.

To przecież niesprawiedliwe, żeby tylko niektórzy mogli korzystać ze Światła, gdy tymczasem inni skazani są na życie w półmroku lub nawet w kompletnych ciemnościach. Muszę coś z tym zrobić, postanowiła Miranda.

22

Wszyscy bez wyjątku musieli poddać się radykalnemu oczyszczeniu, a następnie rozpoczęli długą kwarantannę bez możliwości komunikowania się z kimkolwiek z Królestwa Światła.

Najgorzej miała się Siska, jedyna pociecha, że mogła przez kratę rozmawiać z Berengarią. Długo musieli też siedzieć w odosobnieniu Jori i Elena, ale nie oszczędzono nikogo, nawet Obcych ani wiewiórki, która przecież nie zbliżyła się do dzikich.

Nikt z nowo przybyłych, Dolg, Miranda ani reszta, nie wiedział, że już po raz drugi tego samego dnia poddani zostali oczyszczaniu. Każdy, kto zjawiał się w Królestwie Światła, musiał przez to przejść, na ogół jednak zabieg odbywał się w czasie podróży, gdy ludzie pogrążali się w hipnotycznym śnie. Tak było z Theresą, Tiril i innymi członkami grupy w roku 1746.

Tsi-Tsungga przeszedł drobiazgowo przesłuchania. Siska też musiała ze szczegółami opowiadać o życiu w swojej ciemnej dolinie.

Młodzi, którzy wywołali całe zamieszanie, nie uniknęli surowych wymówek. Najczęściej jednak Obcy rozmawiali z Markiem i Mórim.

Tiril przeżywała głębokie rozczarowanie, bo ledwo zdążyła przywitać się z mężem i synem, oni natychmiast zostali pozamykani w kłatkach, jak to określała.

W końcu jednak kwarantanna dobiegła końca, nikt nie zdradzał objawów choroby, wobec czego pozwolono im wrócić do domów.

Tsi-Tsungga miał zostać odesłany do swoich ruin, ale młodzi protestowali tak gwałtownie i tak szczerze, że w końcu zamieszkał w pobliżu Wschodniej Rzeki, w osadzie Joriego i Jaskariego. Tam też osiedlili się Móri i Dolg, bo właśnie w tej osadzie Tiril miała dom.

Ludzie Lodu woleli mieszkać w Zachodnich Łąkach, czyli w sąsiedztwie rodziców Berengarii i Eleny oraz Oka Nocy. Tam też, u Berengarii, tymczasem ulokowano Siskę.

Strażnicy tak chcieli. Po przykrych doświadczeniach woleli rozdzielić młodych.

Po jakimś czasie zostali zaproszeni do nowo zbudowanego miasteczka, gdzie miała się odbyć podniosła ceremonia.

Miranda zdążyła się już przyzwyczać do życia w Królestwie Światła. Indra i ojciec byli szczęśliwi, więc ona również. Zresztą kraj był naprawdę wspaniały.

Do stolicy polecili wygodną gondolą. Widzieli w dole strumienie, pokryte kwieciami wzgórza, niewielkie osady, a w oddali Srebrzysty Las.

Pierwsze, dość dramatyczne spotkanie z Królestwem Światła mogło im dać fałszywe wyobrażenie, ale w miarę upływu czasu ogarniał ich spokój.

Mimo to Mirandę dręczyły wyrzuty sumienia. Siska opowiedziała o swoim plemieniu i innych ludach, jeśli ludożerców można nazywać ludźmi, ale to już inna sprawa. Miranda nie mogła zapomnieć zaciekłych, nienawistnych twarzy istot spoza muru. Ale tamten lud, żyjący w górach, powyżej terenów zamieszkałych przez ludożerców... Nie tylko Siska o nim wspominała, Armas również. To wysocy blondyni, niebezpieczni, ale nie aż tak do gruntu źli, jak te małe bestie. Dużo rozmyślała o istotach, których nigdy nie widziała. Dlaczego zmusza się je do życia w Królestwie Ciemności?

To niesprawiedliwość!

Zdążyła pokochać swój nowy kraj. I wszystkich przyjaciół, owo przyjemne ciepło i światło, które nigdy nie gaśnie.

Kiedyś Indrze przyszła do głowy okropna myśl, co by się, mianowicie, stało, gdyby nagle zaczęło się palić. Albo gdyby cała ta przestrzeń w głębi Ziemi nieoczekiwanie napełniła się wodą? Albo trującymi gazami? Nie ma tu przecież żadnej drogi ucieczki!

Wiadomo, co by się stało, wyjaśnił Armas. Wtedy mieszkańcy musieliby zostać ewakuowani do północnej części kraju. Tam otrzymaliby pomoc.

Północna część. Jedyne zakazane miejsce, do którego młodzi nie dotarli. Co więcej, nie mieli zamiaru się tam wybierać.

Gondola Mirandy wylądowała na rynku nowej osady wspaniale przystrojonej na święto. Znajdowało się tam już mnóstwo ludzi, wyglądało na to, że zaproszono wielu.

Tych z zewnątrz, oczywiście, nie...

Nie, nie wolno nieustannie o tym myśleć! Przynajmniej teraz.

Gabriela z córkami skierowano do odpowiedniego sektora rynku, gdzie spotkali przyjaciół. Przyszli i Ludzie Lodu, i rodzina czarnoksiężnika, wszyscy jak jeden mąż. Chociaż nie, brakowało Dolga. I Marca też. Miranda zobaczyła Tsi-Tsunggę z Czikiem na

ramieniu, zwróciła uwagę, że zebrani przyglądają mu się z podziwem. Rzeczywiście bardzo się różnił od innych. W tłumie kręcili się Madragowie, ich jednak tutaj znano i szanowano. Tsi-Tsungga pomachał na powitanie i uśmiechnął się do niej, ale Miranda zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna na niego zbyt długo patrzeć, czuła, iż krew się w niej burzy. Usłyszała, że Indra wzdycha głęboko. Uważaj, siostrzyczko, on nie należy do rodu ludzkiego!

- Zbudowali nową wieżę - rzekł Villemann, ojciec Jaskariego. - I świątynię, najpiękniejszą, jaką widziałem!

- Tak jest - potwierdził jeden z Madragów. - Nigdy osobiście nie byłem w tamtym mieście, ale budowla przypomina do złudzenia opis świątyni Świętego Słońca w starej Lemurii.

Ta nowa była wysoka, piękna, w kolorach złotym i białym. Ustawiono ją równolegle do stołecznego ogromnego „minaretu”, na którym spoczywało najwspanialsze Słońce. I największe. Również nowa świątynia miała wysoką, smukłą wieżę, tylko Słońca na niej nie było.

Nikt z rodziny czarnoksiężnika nigdy nie widział rządzących krajem, wiedzano jedynie, że są niezmiernie starzy. Nagle ze świątyni wyszła grupa kobiet i mężczyzn ubranych na biało. Zatrzymali się na najwyższej, szerokiej części schodów, tworzącej rodzaj podium.

Jeden z mężczyzn, starszy chyba niż sama Ziemia, podszedł do mikrofonu i pozdrowił zgromadzonych. Należał do rodu Lemurów.

- Megafony, które działają - zdziwiła się Indra. - Nieźle. Kiedy ostatnio byłam na Wyspach Kanaryjskich, w megafonach trzeszczało tak okropnie, że nie dosłyszałam informacji i spóźniłam się na samolot.

- Cii! - syknęła Miranda.

Starzec długo mówił o nowej budowli, która dziś zostanie poświęcona. Wzniesiono ją na cześć Słońca i obu szlachetnych kamieni. One dawno temu powróciły do kraju, czekano tylko na tego, który je odnalazł.

Skoro więc mamy takie wspaniałe święto, to zostaną rozdane nagrody i odznaczenia najbardziej zasłużonym, co musi zabrać trochę czasu. Taran zwróciła uwagę, że obecni są również mieszkańcy osady niezadowolonych. Nikt z nich jednak żadnej nagrody nie dostał.

Wyróżniono natomiast wielu członków rodziny czarnoksiężnika, zwłaszcza tych, którzy już od jakiegoś czasu przebywali w Królestwie Światła. I Tsi-Tsungę... Nie, on żadnego honorowego odznaczenia nie otrzymał, ale ów stary mistrz ceremonii powiedział, że rada postanowiła przyjąć go do tutejszej społeczności. Mimo wszystko jest przecież pół-

Lemurem i jako taki nie powinien mieszkać w zrujnowanej twierdzy, odepchnięty nawet przez własnych ziomków. Na wieść o tym jego młodzi przyjaciele wybuchnęli wielką radością.

Zbliżał się główny punkt programu Zanim zacznie się wielkie obżarstwo, czas na uroczystość.

Na górę została wezwana Miranda oraz reszta Ludzi Lodu. Z wyjątkiem Marca, który gdzieś się zapodział. Podziękowano im serdecznie za pomoc w odnalezieniu Móriego, on z Villemannem również został wezwany na podium.

Wtedy właśnie ze świątyni wyszli Dolg z Markiem w towarzystwie trzech Lemurów. Wszyscy nieśli jakieś ciężkie, szczelnie owinięte przedmioty. O Marcu powiedziano, że jest najważniejszą istotą, jaka kiedykolwiek przybyła do Królestwa Światła. „My go znamy” - pisnęła Sassa. Poinformowano też, że Móri i Marco zostali włączeni do rady, a z nimi również Strażnik Góry i Strażnik Słońca, którzy już bardzo długo na to czekali.

- Jezu, ale uroczyście - szepnęła Indra, ocierając ukradkiem kilka łez. - Kto by pomyślał, że ów spokojny Dolg ma aż takie znaczenie?

- Ty chyba o tym wiedziałaś - uśmiechnęła się Miranda.

Dolg, najwyraźniej zawczasu poinstruowany, podszedł do jednego z Lemurów. Zdjął okrycie z tajemniczego przedmiotu i uniósł go w górę. Oczom zebranych ukazał się wielki szafir. Rozległo się westchnienie wielu wzruszonych widzów. Pod dotknięciem Dolga kamień zaczął się iskrzyć i mienić różnymi odcieniami błękitu.

Po chwili Dolg złożył szafir w ręce swego brata, Villemanna. Ten nosił go wiele razy w czasach, gdy żyli jeszcze na Ziemi, teraz więc sprawnie oburącz uniósł klejnot ponad głową.

Dolg podszedł do drugiego Lemura i po chwili został odsłonięty czerwony farangil. Rozbłysło jeszcze silniejsze światło, Miranda miała wrażenie, że słyszy syk, jaki niekiedy towarzyszy błyskawicy, a zebrani zasłaniali oczy.

Kiedy bracia stali obok siebie, unosząc oba szlachetne kamienie, nad ich głowami mieniła się niezwykła feeria barw.

Potem Dolg oddał klejnot Urielowi, który stanął obok Villemanna. Sam Dolg natomiast odsłonił przedmiot spoczywający w rękach trzeciego Lemura.

Wrażenie było kolosalne. Zgromadzeni krzyczeli, rozległ się jeden wspólny szloch, ludzie zakrywali twarze rękami.

- Oto - rzekł najstarszy silnym głosem. - Oto jest Słońce, które my, Lemurowie, mogliśmy wypożyczyć dla naszego miasta na Ziemi. I które musieliśmy pozostawić, kiedy wyruszyliśmy w drogę tutaj. Lemurowie, dzisiaj niosący nasze szlachetne kamienie, to ci sami, którzy zostali na świecie ludzi, by strzec klejnotów. Prosty człowiek, chłopiec jeszcze, uwolnił kamienie i ich strażników. On też znalazł Święte Słońce. Dolg, okryj je teraz!

Taran, siedząca obok Mirandy, szepnęła do Tiril:

- Spójrz, co to kombinuje nasz Tsi-Tsungga?

Miranda spojrzała w jego stronę. Tsi-Tsungga przepychał się przez tłum ku niewielkiej grupie, stojącej obok najważniejszych. Podczas gdy najstarsi ogłaszali, że nowa osada została zbudowana dla księcia Marca, a także dla młodego człowieka o czystym sercu, Dolga, że ma to być rezydencja ich obu, ona widziała tylko tamtą grupę dziwnych stworzeń.

To chyba elfy, te, które sprowadziły tutaj rodzinę czarnoksiężnika. Witwały teraz Tsi-Tsunggę z wielkim zaskoczeniem i radością. Miranda stwierdziła, że jest do nich bardzo podobny. On sam podskakiwał ze szczęścia, że nareszcie znalazł krewnych.

Utracisz go, Indro, myślała Miranda, choć sama również czuła się marnie. Zagajnik elfów leży tak daleko od siedzib ludzkich.

Niechętnie wróciła do wydarzeń rozgrywających się na podium. Straciła wiele z przemówienia.

- Ale Dolg nie był sam - mówił najstarszy Lemur. Nieoczekiwanie mówca uśmiechnął się serdecznie. - Wiesz co, Dolg, nasi włoscy przyjaciele z Zachodnich Łąk narzekają na twoje imię. Trudno im je wymawiać, proponują, byś nazywał się Dolgo.

Dolg roześmiał się od ucha do ucha,

- Bardzo chętnie! I tak nikt tego imienia nie rozumie.

- Świetnie! W takim razie od dziś nazywasz się Dolgo! Móri, wielki czarnoksiężniku, czy zechciałbyś podejść do swoich synów? Dziękuję, stań tam! Móri i jego rodzina, stojąca po lewej stronie, pomogła odnaleźć nasze kamienie. Mieli oni jednak potężnych pomocników... - Uczył zapraszający gest. - Oto właśnie nadchodzą...

- Duchy - wykrztusił Móri. - Moi wytęsknieni przyjaciele! Ale... jakie wy jesteście piękne!

Rzeczywiście, na całą ósemkę przyjemnie było popatrzeć. Nawet Nauczyciel i Duch Zgasłych Nadziei, owe budzące grozę postaci, powróciły do swego pierwotnego wyglądu. Nidhogg nadal był nieco chwiejnym, zielonym cieniem, ale przy tym bardzo

pociągającym. Zwierzę, o, Bogu dzięki, całe i zdrowe, bez żadnych ran. Po prostu piękny wilk. Pustkę, prawdę powiedziawszy, nadal ledwo było widać. Przypominająca Nidhogga, leż jakby nierzeczywista, zarazem jednak pełna godności, była wspaniała. Rodzina czarnoksiężnika witała ich radośnie. Nero stojący obok Tiril wył głośno.

- I oto, Dolgo - rzekł starzec. - Oto czas się dopełnił. Teraz nadejdzie ten, który wprowadzi was i skarby do świątyni.

Na podium wyszedł wysoki, dostojny Lemur, śmiejąc się radośnie do młodego człowieka.

- Cień! - wykrzyknął Dolg z zachwytem. - Drogi, stary przyjacielu!

- Żadnych wielkich wzruszeń na razie - śmiał się Cień. - Chodź ze mną!

Długa procesja, cała rada oraz ci, którzy nieśli kamienie, weszła do świątyni. Jeden z Obcych dał znak zgromadzonym, by czekali.

Z zewnątrz widać było windę wznoszącą się na wieżę.

Dolg sam pojawił się na najwyższym podium u szczytu wieży. Tam ponownie odłonił klejnot, okrycie spadło na podłogę. Potem uniósł roziskrzony, mieniące się złotem, ogromne Słońce ku niebu, a ludzie i inne istoty na jego widok westchnęły z przejęciem, następnie ulokował skarb na przeznaczonym dla niego miejscu, by świecił nad osadą jego i Marca.

Z wnętrza wieży Cień przyglądał mu się pełnym czułości wzrokiem.

- Jak dobrze znowu cię widzieć, mój mały - szeptał, a oczyma duszy widział niedużego chłopca, który płacząc ze strachu i zmęczenia pokonywał największe trudności, by uwolnić pierwszy kamień, szafir, i jego strażniczkę.

Dolgo samotny, wybrany przez duchy, wychowanek Cienia, nadzieja Lemurów i bohater elfów, nareszcie może cieszyć się chwałą, na jaką sobie zasłużył.

1 Płaskie żytnie chlebki, rodzaj podplomyków z wędzonym mięsem, sprzedawane w barach, na ulicach itd. – przyp. tłum.